

Conan i bogowie gór

Robert Green



calibre 0.9.27

CONAN I BOGOWIE GÓR

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN AND THE GODS OF THE MOUNTAIN

PRZEKŁAD GRZEGORZ WOJTKOWSKI

SMOK W PIECZARZE

Jeszcze raz powietrze rozdarł przenikliwy, wyzywający ryk. Zanim wybrzmiały echa, potwór zaszarżował. Jak ciężko obładowany statek przez wzburzone fale, przedzierał się przez gąszcz, przewracał i tratował grzyby. Głowę trzymał nisko, pracę naprzód pyskiem jak galera dziobem. Valeria stała bez ruchu. Bestia weszła pomiędzy nich.

W tym momencie Conan wyskoczył jak kamień z procy. Chwycił się górnego rogu i przerzucił ciało wysoko nad pyskiem bestii, mierząc w jej szyję...

PROLOG

Myśliwy pochodził z kwanyjskiego Klanu Lamparta. Gdy się urodził, wzrok i słuch miał równie bystre jak klanowy totem. Jeszcze bardziej je wyostrzył, spędzając wiele lat w lasach, które na zachodzie stykały się z rzeką Gao i rozciągały na wschód aż do zakazanego miasta Xuchotl.

W tym lesie, otaczającym podnóże Góry Burz, Myśliwy czuł się bezpiecznie. Poznał tu wszystkie ścieżki, strumienie, źródelka, nawet powalone drzewa, zanim przeszedł ceremonię inicjacji. Oczy ani uszy nie sygnalizowały mu teraz żadnego niebezpieczeństwa. Mimo to uciekał, jakby wszyscy bracia smoka, na którego natrafił wcześniej niedaleko bram Xuchotl, podążali jego tropem.

Utrzymywał takie tempo od trzech dni. Biegł, dopóki starczyło mu sił; kiedy nie mógł już dłużej, padał bez czucia na ziemię i spał jak syty wąż. Potem budził się, by popić wody z najbliższego

źródłka, i znów biegł.

Taki wysiłek miał swoją cenę. Jego śniadej skóry niemal nie było widać spod warstwy brudu. Wytatuowana na lewym ramieniu łapa lamparta, znak myśliwego, i widniejąca na piersi włócznia, znak wojownika, prawie całkiem znikły. Jedyne klanowe blizny na piętach, które identyfikowały go — nawet po śladach — jako Kwanyjczyka, pozostały widoczne. Oddychał ciężko, z trudem łapiąc powietrze. Biegł na ślepo, ze wzrokiem utkwionym w dal. Od czasu do czasu chłostały go zwisające liany. Wystający kikut gałęzi zerwał mu z bioder przepaskę, więc dalej biegł nago, za odzienie mając tylko mokre bransolety z piór wokół kostek i włócznię w rękę.

Biegłby szybciej, gdyby porzucił włócznię. Ciężkie, wysokie jak człowiek dębowe drzewce, zakończone trójkątnym, szerokim na dłoń żelaznym grotem, czyniło z niej broń bardzo nieporęczną podczas biegu. Ale ta myśl nawet nie przeszła mu przez głowę. Póki miał swoją włócznię, żaden wojownik z Kwanyi nie mógł zwątpić w jego odwagę.

Myśliwy zakończył bieg dość niespodziewanie — na sterczącym korzeniu, w który zaplątała mu się stopa. Szarpnęło nim, usłyszał trzask łamanej kości. Ból przeszył go najpierw, gdy upadając uderzył głową w zbutwiały pień, i zaraz potem jeszcze mocniej, kiedy złamana noga dała o sobie znać.

Leżał nieruchomo, aż ból zelżał na tyle, by dać mu pewność, że nie straci przytomności. To oznaczałoby śmierć. Chociaż w tej części lasu niewiele niebezpieczeństw czyhało na zdrowego i uzbrojonego myśliwego, bezbronny kaleka miał się czego obawiać. Kiedy wreszcie zdołał ruszyć głową, spojrzał na swoją kostkę. Mocno napuchła, a ból był tak dotkliwy, jakby w nodze tkwił rozpalony grot. Wyglądało na to, że nie będzie mógł chodzić aż do pory deszczowej, a i to pod warunkiem, że pomogą mu Ludzie–Bogowie z Góry Burz. Okłady, maści czy przykładanie rąk, wszystkie umiejętności znachorek z wioski, nie mogły pomóc przy takiej ranie.

W chwilę później Myśliwy zważył, czy w ogóle doczeka uzdrowienia przez Ludzi–Bogów. Tam, gdzie uprzednio widział tylko liany i grube pnie drzew, stało teraz czterech ludzi. Każdy z nich trzymał włócznię, a jeden miał prócz tego łuk. Krój ich przepasek biodrowych oraz tatuaże zdradzały, że są wojownikami z Klanu Małpy.

Widok ten nie napawał optymizmem. Chabano, Najwyższy Wódz Kwanyjczyków, również pochodził z Klanu Małpy i zapewne nie wytrzymałby na tym stanowisku dwunastu już lat, gdyby pozwalał swym współplemieńcom na wojny z Lampartami, Pająkami czy Kobrami. Jednak wiadomo było, że czasem przymykał oko na przytrafiające się tym klanom drobne nieszczęścia, na przykład zaginięcie jakiegoś myśliwego, którego losu nie znali ludzie ani bogowie.

Myśliwy obrócił się i nie zważając na ból podniósł włócznię.

— Ho, ho, kogóż my tu mamy? — odezwał się najwyższy z Małp. — Zdaje się, że to jeden z Małych Kotków.

Myśliwy powstrzymał się przed złośliwą odpowiedzią. Na honorową śmierć będzie jeszcze czas; na razie opowie im, gdzie był i co widział.

— Bracia... — zaczął i usłyszał, jak włóczni Małp głucho uderzyły o mech.

— Nie jestem dla ciebie bratem — warknął jeden z nich.

— Chabano mówi co innego — odparł Myśliwy i zanim zdążyli rzucić nowymi wyzwiskami, rozpoczął opowieść. Najpierw powiedział, że pod Xuchotl znalazł martwego smoka, zabitego bez żadnej przyczyny. To przykuło uwagę najwyższego z Małp.

— Tak, słyszałem pogłoski, że w tamtej części lasu żyje smok. Ale uważa się powszechnie, że nikt nie może zabić smoka. Może umarł ze starości albo struł się grzybami?

— Posłuchajcie, co jeszcze mam do powiedzenia, a potem możecie ze mnie kpić — powiedział Myśliwy. — Opowiem, co widziałem, najszybciej jak mogę.

Przywódca Małp przystał na to. Kiedy po paru minutach jeden z jego wojowników chciał przerwać Myśliwemu, drzewce włóczni twardo spadło na jego stopę, a wściekłe spojrzenie przywódcy uciszyło mamrotane pod nosem przekleństwo.

Myśliwy opowiadał, jak postanowił pójść do zakłętego miasta Xuchotl, kiedy przekonał się, że smok, jego strażnik, nie żyje. Gdy tam dotarł, ujrzał miasto całkowicie wyludnione; przez otwartą bramę powoli wdzierała się do niego puszcza.

— Jak daleko zaszedłeś? — zapytał przywódca Małp.

— Nie tak daleko jakbym chciał — przyznał Myśliwy. — Ja też słyszałem opowieści o ognistych kamieniach, które można znaleźć w mieście. Szukałem ich i odkryłem... — Myśliwy przełknął ślinę. — Odkryłem, że zakłęcie Xuchotl w końcu zniszczyło swój własny lud.

Opowiadał o ciałach mężczyzn i kobiet, zamordowanych nie dalej jak kilka dni wcześniej. Część miała rany od zwykłej broni — mieczy, włóczni, sztyletów — ale niektóre także od pazurów i zębów. Wielu wyglądało tak, jakby zabił ich piorun, tyle że znajdowali się w podziemnych komnatach, gdzie piorun nie mógł dotrzeć.

— Wtedy zrozumiałem, że Xuchotl jest jeszcze ciągle zakłęte i że mogę podzielić los pomordowanych, jeżeli zostaną tam dłużej — rzekł na koniec. — Wybiegłem z miasta, a po drodze zobaczyłem świeże ślady prowadzące od bramy.

— Mordercy ludu Xuchotl? — odezwał się ten, którego przedtem przywódca tak brutalnie uciszył. Teraz jego głos zdradzał szacunek i zaniepokojenie, a nawet odrobinę strachu. Myśliwy niemal zapomniał o obolałej kostce z radości, że udało mu się przyciągnąć uwagę Małp.

— Tego nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że jeden z nich był ogromny, a drugi wzrostu zwykłego wojownika Kwanyi. Obaj byli mocno obładowani i mieli na nogach buty.

Wojownicy spojrzeli po sobie, a potem rozejrzeli się wokół. Myśliwemu zdawało się, że wie, o czym oni myślą. Powiedział więc:

— Myślę, że właśnie dlatego mówiące bębny nic o tym nie powiedziały. Czarownicy, którzy zniszczyli Xuchotl, mogą mieć innych wrogów na naszej ziemi. Bębny ostrzegłyby, gdyby odkryto ich obecność...

Przywódca Małp skinął głową. Myśliwy domyślił się, że i tamtemu także zaschło w gardle. Jeden z wojowników odwiązał od pasa bukłak z wodą i podał Myśliwemu, który, jak wymagał rytuał, wylał kilka kropel na dłoń i skropił ziemię, zanim się napił. Kiedy zaspokoił pragnienie, oddał bukłak.

— Bracie, w twoich słowach jest wiele prawdy — powiedział wreszcie przywódca i zwrócił się do pozostałych wojowników — Zróbcie nosze. Zaniesiemy go do Ludzi–Bogów. Ponieważ bębny nie przemówiły, on musi to zrobić... z naszą pomocą.

— Ale jeżeli Ludzie–Bogowie naprawdę... — zaczął jeden z wojowników.

— Uważaj, co mówisz, albo zostaniesz strącony do Groty Żywego Wiatru — warknął przywódca.

— Jeżeli Ludzie–Bogowie — ciągnął uparcie wojownik — naprawdę są tacy jak się o nich mówi, to pewnie już o tym wiedzą.

— I tak nie robimy nic złego — odparł przywódca. — Przynajmniej pokażemy, że my, zwykli wojownicy, rozumiemy zło, jakie może przynieść magia.

— A jeśli... — zaczął jeszcze raz wojownik.

— To będą potrzebowali naszej pomocy przeciw czarownikom, którzy umieją zabijać smoki i przegnali życie z Zakłętego Xuchotl.

Ten argument uciszył wojownika, ale nie zadowolił ani jego, ani pozostałych. Po krótkim namyśle Myśliwy doszedł do wniosku, że to żaden wstyd dla Małp. Jego też przerażała myśl o czarownikach silniejszych od Ludzi–Bogów z Góry Burz.

I

W lesie między wymarłym Xuchotl i podnóżem Góry Burz przybysze, którzy zostawili ślady odnalezione przez Myśliwego, podążali teraz szlakiem zwierzyny.

Jednym z nich była kobieta o skórze i włosach tak jasnych, że nie mogła pochodzić z tych stron. Miała na sobie jedwabną koszulę i spodnie, które dawno straciły pierwotny biały kolor. Włosy związała skrawkiem czerwonego jedwabiu. Ubranie, mimo że obszarpane, nadal podkreślało doskonałe kształty jej piersi i bioder. Jej buty były typowe dla mieszkańców wybrzeża. Cholewki z miękkiej skóry rozszerzały się ku górze, tak że wystarczyło jedno kopnięcie, by je zrzucić w wodzie. Nie nadawały się jednak zupełnie na leśne szlaki.

Za jedwabny pas wokół bioder kobieta zatknęła stary miecz i dwa noże — krótki marynarski kozik i wąski sztylet z rękojeścią ozdobioną wijącymi się stworami rodem z koszmarów sennych.

Chociaż była wysoka i dobrze zbudowana, jej towarzysz przewyższał ją więcej niż o głowę, a jego mięśnie zdradzały siłę tytana. Ubrany podobnie jak ona, niósł olbrzymi miecz zawieszony na szerokim skórzanym pasie, za którym tkwiły jeszcze trzy noże. Czarne włosy luźno opadały na szerokie barki, a lodowato niebieskie oczy lśniły pomocną zawziętością. W ciągu ostatnich lat wielu ludzi oglądało te oczy jako ostatnią rzecz w życiu.

Potężnym mężczyzną był Conan z Cymerii, a towarzyszyła mu Valeria z Czerwonego Bractwa. Swoje stroje zawdzięczali temu, że dawniej trudnili się piractwem na Wyspach Baracha. Poznali się w przedziwnych okolicznościach. Przyczyniła się do tego stoczona w murach Xuchotl bitwa, w której mieli za przeciwników zwierzęta, ale także ludzi uzbrojonych w żelazo i czary. W końcu zaklęte miasto zostało oczyszczone z wszelkich niepotrzebnych intruzów.

W czasie bitwy każde z nich zdobyło sztylet. Był to jedyny łup, jaki odważyli się wynieść z pełnego tajemnic miasta. Przestronne, zielono oświetlone sale cuchnęły przelewana od wieków krwią i złymi zaklęciami; strach będzie odbijać się w nich echem jeszcze długo po tym, jak kości zabitych rozsypią się w proch na lśniących kamiennych posadzkach.

Conan już kiedyś gościł w Czarnych Królestwach; wprowadzie akurat nie w tym, ale w innym, wcale nie bardziej gościnnym. Nie bał się ludzi ani potworów; gdyby jednak kwanyjski Myśliwy mógł zobaczyć teraz Cymeryjczyka, wybuchłby śmiechem. Conan też co chwila oglądał się za siebie, wypatrując, czy zamieszkujące Xuchotl złe duchy nie podążają ich śladem.

Wśród ludów Kwanyi zabronione było pozostawienie zabitego w miejscu, w którym padł, choćby to miejsce było zupełnie niedostępne. Kwanyjczycy wierzyli, że ciało porzucone tam, gdzie się z niego wyzwolił duch, może zostać odnalezione przez tegoż ducha i stać siqyaquele, czyli chodzącym trupem. Zatem jak tylko urosną na tyle, żeby móc pomagać starszym, uczą się robić nosze z czegokolwiek; używają do tego gałązek, pnączy, a nawet liści ostrokrzewu.

Na noszach przeznaczonych dla zmarłego można równie dobrze nieść żywego, który nie może iść. Myśliwy mógł więc ruszyć w dalszą drogę w czasie krótszym niż potrzeba do wypicia bukłaka piwa. Dwóch wojowników z plemienia Małp niosło go na noszach, za nimi szedł trzeci, a przewodził wódz. Myśliwy zauważył, że dowódca trzyma włócznię oburącz, w każdej chwili gotów nią rzucić lub pchnąć. Wojownicy wracali z polowania, więc nie mieli ze sobą tarcz, natomiast wódz najwyraźniej uważał, że wycieczka na Górę Burz nie będzie całkowicie pokojowa. Wyglądało na to, że nie chce, aby ktokolwiek wiedział o ich obecności; dwukrotnie zatrzymywał swój mały orszak ruchem włóczni, a raz nakazał im ukryć się w gęstwinie.

Myśliwy nie miał pojęcia, przed czym tak się ukrywają, choć na pierwszym przystanku słyszał głosy kobiet i brzęk niesionych w siatkach z lian naczyń. Zapewne była to grupa piwowarek, niosących do browaru garnki z ziarnem lub przenoszących gotowe piwo. Dlaczego zatem wódz zachowywał taką ostrożność, jakby to nie były kobiety, ale oddział wojowników z plemienia Ichiribu? Nie mógł na to

pytanie znaleźć odpowiedzi, przynajmniej takiej, która podniosłaby go na duchu. Napomknął tylko dowódcy, że Ludzie–Bogowie zapewne wiedzą o jego prośbie, aby jego wojownicy zanieśli go na Górę Burz. Czyżby wojownicy z plemienia Małp ośmielili się sprzeciwić woli Ludzi–Bogów? Czy może właśnie wypełniali ich wolę, niosąc go tam w tajemnicy?

Conan nie był zupełnym nowicjuszem w tych stronach, przecież kiedyś zasiadał nawet na tronie Czarnych Królestw, gdzie nazywano go czcigodnym imieniem Amra Lew. Ale to było daleko na południowy zachód od miejsca, w którym się znajdowali, na pewno więcej, niż dwa dni drogi od Xuchotl. Za jakiś czas zapewne dojdą do okolic znanych Conanowi, albo nawet do krain, w których on sam jest sławny. Ale przedtem czekała ich jeszcze długa droga. W dodatku niewiele wiedzieli o czyhających tu niebezpieczeństwach, choć wydawało się, że nic, co żyje w puszczy, nie może być groźniejsze od tego, czemu stawili czoło w Xuchotl.

Conan miał dość doświadczenia, aby przeżyć w każdych warunkach, nawet gdyby został nago na samym środku pustyni, ale Valeria czuła się jak wyjęta z wody ryba, czy raczej jak żeglarz z dala od morza. Zapewne nie przyznałaby się do tego, choćby ją łamano kołem, ale jednak zdała się na niego, aby poprowadził ich do morza.

Oparła się o jakieś nieznane drzewo. Jego kora wyglądała jak bezładna platanina białych i czarnych pasków; w spękaniach widniała pleśń i grzyby. Odetchnęła z ulgą i zrzuciła najpierw jeden, potem drugi but. Rozcierając obolałe stopy rozglądała się za strumieniem, ale w pobliżu była tylko mała kałuża po ostatnim deszczu. Zgrabna stopa Valerii właśnie miała dotknąć jej powierzchni, gdy Conan położył rękę na jej ramieniu.

— Lepiej nie używaj stojącej wody. Te pęcherze mogą zacząć ropieć albo przyciągną pijawki.

— To są moje pęcherze, Conanie!

— Ale to moje plecy będą cię nieść, jeśli nie zdołasz iść o własnych siłach. A może wolisz, żebym cię tu zostawił?

To miał być dowcip, ale kiedy Valeria błyskawicznie sięgnęła po zabrany z Xuchotl sztylet, Conan zrozumiał, że wzięła to poważnie.

— Spokojnie, moja pani. Żartowałem.

— Twój dowcip nie pachnie lepiej niż reszta ciała.

— Powąchaj, jak sama pachniesz, zanim zaczniesz krytykować innych. Każde z nas, wszedłszy do „Złotej Kotwicy” w Messantii, w mgnieniu oka wypędziłoby stamtąd wszystkich gości.

Valeria lekko się uśmiechnęła i zrezygnowała z zanurzenia stopy. Sięgnęła po garść liści z najbliższej gałęzi i umoczyła je w wodzie.

— Tego też lepiej nie rób — ostrzegł Conan. — Nawet ślepiec pozna, że ktoś tędy przechodził.

— A co ów ślepiec mógłby z tą wiedzą uczynić? — warknęła Valeria, choć tym razem nie sięgnęła już po broń.

— Gdybym to wiedział, odgadłbym też, którędy pójść, aby zgubił nasz ślad — odpowiedział Cymeryjczyk. — Posuwalibyśmy się trochę wolniej, ale...

— Na Mitrę, i tak posuwamy się okropnie wolno! — oburzyła się Valeria i spojrzała na swoje buty, jakby były jej śmiertelnym wrogiem. — Dotąd prowadziłeś nas tak, jakby całe plemię tych ciemnoskórych bandytów i czarowników deptało nam po piętach.

— Nie mogę przysiąc, że tak nie jest — odparł Conan i zaraz dorzucił, widząc iskry w oczach Valerii: — Chociaż założę się, że nikt nas nie śledzi. Gdybyś nie uparła się szukać naszych ubrań, wyszlibyśmy z Xuchotl...

— O czym ty mówisz? Nie pamiętasz, jak byłam ubrana?

Conan uśmiechnął się.

— No, trochę skromniej niż teraz. Oczywiście...

Valeria wzniosła błękitne oczy ku koronom drzew i zacisnęła wargi, jakby z trudem powstrzymywała furię. Wreszcie odetchnęła. — Przyznasz, że to, co miałam na sobie, było nieodpowiednie do włóczenia się po buszu. — Co było prawdą, ponieważ jej ubranie składało się z wąskiej jedwabnej opaski wokół bioder i z niczego więcej.

— A ci ludzie z Xuchotl nie mieli w szafach nic, co by się mogło przydać — dodała po chwili. — Więc co innego mogliśmy zrobić?

— Przyznaję, że nic. Jednak zabrało nam to czas, który mogliśmy wykorzystać na oddalenie się od miasta. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

— Czy sugerujesz, że pora ruszać?

— Przy tobie, Valerio, mogę tylko sugerować. Jeden Crom wie, co byś zrobiła, gdybyś uznała, że ci rozkazuję!

Valeria znów uniosła wzrok w górę. Podniosła się niechętnie i włożyła buty. Nie zdołała całkiem stłumić bolesnego syknięcia, lecz Conan nie zareagował.

Z wszystkich przekleństw, którymi Conan obsypał mieszkańców Xuchotl, co najmniej kilka dostało im się za ich nędzne obuwie. Od wielu lat używano tam sandałów, odpowiednich tylko na lśniąca posadzkę. Marynarskie buty, w których oboje przybyli do Xuchotl, dużo lepiej się nadawały na drogę powrotną, choć nie można powiedzieć, że były przystosowane do długich wędrówek. W ciągu najdalej dwóch dni Conan musiał znaleźć lepsze buty, kryjówkę, w której przeczekaliby pościg, lub szlak, po którym Valeria mogłaby iść boso. Stopy Cymeryjczyka były twarde jak skórzana podeszwa; przeniosły go kiedyś nawet przez pałace piaski pustyni Iranistanu. Jednak Valeria z Czerwonego Bractwa lepiej się czuła na deskach pokładu. Jeszcze dzień lub dwa marszu w tych butach i naprawdę

trzeba będzie ją nieść.

Jednakże nie tylko to zajmowało myśli Conana. Z obawy przed trucizną i czarami opuszczając Xuchotl nie wzięli nic do jedzenia, więc niedługo będą musieli zdobyć jakąś żywność. Trzydniowy post nie byłby bezpieczny nawet dla niego, zwłaszcza że mieli przed sobą jeszcze forsowny marsz, a być może i walkę.

Na szczęście kobiecie, z którą szedł, mógł całkowicie zaufać. Jej odwaga i umiejętności w posługiwaniu się bronią czy chociażby fakt, że przetrwała tyle lat w Czerwonym Bractwie, czyniły z niej niepośledniego wojownika. Może nie radziła sobie w puszczy tak sprawnie jak Cymeryjczyk, ale tego można się nauczyć. A Valeria uczyła się bardzo szybko.

Czy jednak dość szybko? Tylko bogowie to wiedzieli, ale odpowiedzi od nich Conan nie oczekiwał. Nauczył się, że dobry miecz, zaufany towarzysz czy mocne buty warte są więcej niż modlitwy wszystkich kapłanów.

Promienie słoneczne przebijały przez korony drzew i barwiły zwiędłe liście na kolor starego złota. Conan osłonił dłonią oczy przed słońcem i spojrzał w górę. Minęło już południe.

— O postoju pomyślimy, zanim zapadnie zmierzch — oznajmił nie odwracając się. — Albo nawet wcześniej, jeśli znajdziemy dobrą kryjówkę i czystą wodę. Zastawię sidła i nabieramy trochę owocowi jagód, zanim jakaś zwierzyna się złapie. Mam nadzieję, że znasz się trochę na węzłach.

— Żegluję od tak dawna i miałabym nie znać węzłów? Conanie, masz chyba gniazdo mewy tam, gdzie inni mężczyźni mają mózg!

Pod tym oburzeniem można było wyczuć ulgę i wdzięczność, choć Valeria nie przyznałaby się do tego za nic. Cymeryjczyk nigdy nie zostawiłby Valerii na pastwę losu. Wyciągnął ją z mrocznych sal Xuchotl, ratując przed złożeniem w ofierze starej wiedźmie Tasceli. Nie spocznie, zanim ich oczom nie ukarze się wybrzeże i hyboryjski statek. Jednak od tej szczęśliwej chwili dzieliły ich jeszcze liczne przygody... Crom tylko wiedział jakie. A ze wszystkich bogów, o których słyszał Conan, zimny, srogi bóg Cymeryjczyków był najmniej chętny, by odpowiadać na pytania jęczących śmiertelników.

Teraz już wszyscy czterej wojownicy musieli dźwigać nosze z Myśliwym. Byli dość wysoko na zboczach Góry Burz. Myśliwy nie przypominał sobie tego szlaku; dotarł tak wysoko dopiero cztery razy w życiu, przy okazji różnych prób i ceremonii wymagających obecności Ludzi–Bogów.

Najchętniej poszedłby dalej o własnych siłach. Nie obchodziło go zmęczenie Małp, ale nie mógł znieść bezsilności. Mógłby opierać się na lasce albo złagodzić ból w kostce liściem tuqa. Przez chwilę nawet chciał poprosić o jedno lub drugie, ale jedno spojrzenie na zawzięte oblicze przywódcy Małp ostudziło jego zapał. Wyglądał zupełnie jak yaquele i tylko perlący się na skórze pot świadczył o tym, że żyje. Zresztą Myśliwy wiedział, że nie uszedłby daleko w ten sposób; mogłoby dojść do takiego uszkodzenia kości, że nawet moc Ludzi–Bogów nie zdołałaby go uzdrowić.

W Kwanyi mało było pożytku z myśliwego, który nie mógł polować. Traktowano by go jak małe dziecko, które nie ma żadnych praw, nawet do jedzenia, gdy go brakuje. Najgorsza śmierć, jaką mogli mu zgotować Ludzie–Bogowie, Małpy czy choćby sam Chabano, byłaby szybsza, mniej bolesna i bardziej honorowa niż taki los.

Myśliwy wyciągnął się i zamknął oczy. Teraz czuł tylko miękki, zimny dotyk rosy na policzkach i słyszał krzyk orła krążącego po otwartym niebie, wysoko ponad koronami drzew.

Mocne ramię Conana rozhuściło procę. Trochę do przodu i z powrotem. W najwyższym punkcie zatoczonego łuku wyleciał z niej kamień i poszybował w kierunku obwieszonych małpami drzewa po drugiej stronie strumienia. Wesole pokrzykiwania zwierząt momentalnie przerodziły się we wrzaski pełne wściekłości i strachu. Małpy rozproszyły się, pozostawiając tylko opadające liście i drżące gałązki.

Jedna małpa nie uciekała. Śmiertelnie trafiona kamieniem zsunęła się z gałęzi, odbiła od drugiej i zaklinowała w rozwidleniu następnej. Jej ciało było za wysoko, żeby sięgnąć z ziemi.

Cymeryjczyk przeklinał cały małpi ród razem z wynalazcą procy, gdy zobaczył, że Valeria zrzuca buty.

— Oslaniaj mnie, Conanie. Zaraz przyniosę nasz obiad. Pamiętając o pijawkach, Valeria przeskoczyła strumień, choć ból wykrzywił jej twarz. Już po chwili wspinała się na drzewo niemal tak sprawnie jak małpy, które tam przedtem siedziały. Robiła to w sposób, który Conan widział kiedyś na Czarnym Wybrzeżu — ciało i nogi pod kątem prostym, drzewo oplecione rękami niczym kochanek, a ładnie uformowane pośladki w powietrzu. Posuwała się pewnie, palcami wyszukując najmniejsze nierówności kory. Lekkie pochylenie drzewa ułatwiało wspinanie i nie minęła chwila, jak dziewczyna dotarła do małpy. Potrząsanie grubą gałęzią nic jednak nie dało. Valeria wspięła się jeszcze wyżej, wczołgała się na gałąź i zepchnęła małpę, która z głuchym odgłosem wpadła w kępę paproci.

Conan przeszedł przez strumień, wsunął miecz w paprocie i wyciągnął nadzianą na jego koniec małpę.

— Coś taki ostrożny? — zawołała z góry Valeria.

— W paprociach mogą ukrywać się węże. Ukąszenie żmii nie zabija może tak szybko jak Jabłka Derkety, ale równie niezawodnie.

— Potrafisz dodać otuchy jak kapłan Set, kiedy przygotowywał mnie na ofiarę.

— Nie zabijaj posłańca, który przynosi złe wieści, dobra pani. To nie moje zaloty wyciągnęły cię z Sukhmet... nie był to też mój pomysł, żeby uciekać do dżungli.

Siedząc na gałęzi Valeria nie mogła sięgnąć po sztylet, zrobiła więc tylko minę, która odstraszyłaby nawet trolla. Nie znalazłszy nic, czym mogłaby rzucić, zaproponowała, aby Cymeryjczyk skierował

swoją złośliwość na pierwsze lepsze zwierzę, po czym zaczęła schodzić.

Zsuwała się bardzo uważnie, przylegając ściśle do pnia — zbyt ściśle, jak się zaraz okazało. W pewnej chwili rozległ się dźwięk rozdzieranego płótna i Valeria poczuła, że nic już nie oddziela jej ciała od chropowatej kory.

Ostatnie metry przebyła dostojnie, lecz gdy tylko zeskoczyła na ziemię, pospiesznie przylgnęła plecami do drzewa. Widząc wyraz jej twarzy Conan z trudem powstrzymał atak histerycznego śmiechu.

— Dziękuję, Valerio — powiedział, kiedy mógł już zaufać głosowi.

— Drobiazg — odparła. — Drzewo nie różni się bardzo od masztu, a po masztach wspinałam się od dzieciństwa. — Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. — A może myślisz, że zrobiłam z siebie idiotkę i wlałam tam tylko po to, żeby udowodnić, że należy mi się część tej małpy?

— Nic takiego nie mówiłem.

— Conanie, milcząc potrafisz wyrazić więcej niż niejeden człowiek gadając od świtu do zmierzchu. — Popatrzyła na matowe oczy martwej małpy i odwróciła głowę. — Rozpal ogień, a ja zdejmę z niej skórę. Małpa nie różni się bardzo od ryby.

— Różni się, różni. A ognia nie będziemy palić.

— Jak to, bez... ognia? — Wypowiedziała to słowo jak zaklęcie.

Conan potrząsnął głową.

— Nie mamy nic, by wykrzesać iskrę, ani suchego drewna do palenia. Poza tym ktoś mógłby dostrzec ogień albo wyczuć dym.

— I co, będziemy jeść tę małpę na surowo?

— To nic niezwykłego w tych okolicach. Małpy odżywiają się jak ludzie, a ich mięso jest jadalne.

— Ale... surowe?

— Surowe.

Valeria poczuła mdłości, ale nie miała w żołądku nic, czym mogłaby zwymiotować. Z niedowierzaniem spojrzała na Conana, oparła się o drzewo i objęła je ramieniem.

— Gdybym wiedziała, zostawiłabym tę przeklętą małpę sępom i mrówkom.

— To nie byłoby rozsądne. Jeśli będziesz zbyt długo wędrować głodna, sama staniesz się pożywieniem sępów i mrówek.

Tym razem Valeria nie wytrzymała i dostała torsji. Potem padła na kolana i dyszała, blada i spocona, z twarzą zasłoniętą włosami. Conan pomógł jej się podnieść.

— Chodź, usiądź sobie, a ja będę czynił honory domu. Wiem, które części małpy najlepiej smakują na surowo, lepiej też poradzę sobie ze skórą.

— Ze skórą? Ach, na ubranie. — Conan z ulgą stwierdził, że doszła do siebie.

— Właśnie. Chyba że wolisz paradować po dżungli z gołym tyłkiem.

Rzuciła w niego patykiem.

Myśliwy wiedział, że głosy, które słyszy nad sobą, to Ludzie–Bogowie. W najgłębszym zakątku duszy przypomniał sobie, że powinien się bać. Ale lęk nie przychodził, chociaż pamiętał jak się przeraził, zanim wojownicy z plemienia Małp położyli go przed tymi wrotami. Na wrotach, wykonanych z dębowych belek obitych mahoniowymi deskami, wymalowana była purpurowo–szafirowa spirala — znak Ludzi–Bogów.

Jeszcze przez chwilę pomyślał o strachu, kiedy wrota się otworzyły. Wyszli z nich ludzie ubrani w przepaski na biodrach i nakrycia głowy ozdobione takim samym godłem. Wnieśli nosze do wnętrza Domu Bogów, zostawiając wojowników z plemienia Małp moknących na wieczornym deszczu. W tym momencie Myśliwy nie tylko się nie bał, ale wręcz chciało mu się śmiać, kiedy zobaczył rozczarowanie na twarzach wojowników, którzy pewnie myśleli, że zostaną powitani jak bohaterowie.

Nagle spojrzał na jednego z Ludzi–Bogów i znów ogarnął go niepokój. Jego oczy były całkiem białe, jak u człowieka dotkniętego kataraktą, który w normalnych warunkach zostałby porzucony na łaskę losu. Jednak ten tutaj poruszał się całkiem pewnie, jakby mógł policzyć nogi mrówki siedzącej w najciemniejszym kącie komnaty. Miał na sobie tylko przepaskę na biodra, zrobioną chyba ze skóry węża i zabarwioną na kolory cynobru i róży. W jednej ręce trzymał laskę, wyższą niż on sam, zakończoną złotą spiralą, a w drugiej tykwę, z której unosił się ostry zapach, słodki i cierpki jednocześnie.

Nie puszczając laski Człowiek–Bóg ukląkł przy Myśliwym i dał mu znak, aby usiadł. Gdy tylko usłuchał, tamten przytknął do jego ust tykwę. Smak naparu był tak okropny, że Myśliwy o mało nie wypluł wszystkiego. Przełknął z najwyższym trudem, a kiedy napój dotarł do żołądka, omal nie wymiotował. Ale już po chwili wydało mu się, że pije uwarzone z najlepszego ziarna piwo, które natychmiast uderza do głowy. Nie czuł żadnego bólu, nawet złamanej kostki.

Nie mógł jednak całkiem o niej zapomnieć, bo widział, jaka jest spuchnięta i sina; w dodatku sączyła się z niej cuchnąca materia. Powinno go boleć, jakby ktoś wbijał mu w kostkę rozżarzone żelazo.

Tymczasem w ogóle nie czuł bólu. Szedł zadowolony przez mroczne sale Xuchotl. Nie bał się niczego, albowiem Człowiek–Bóg był razem z nim, a magiczna siła jego laski mogła odpędzić każde

zło, żywe czy nierealne. Kiedy tak szli, Myśliwy opowiedział o tym, co widział i czego się domyślał. Zdawało mu się, że Człowiek–Bóg zasiewał w swej pamięci, niczym w ogrodzie, każde usłyszane słowo. Potem opuścili Xuchotl tą samą drogą, którą tam dotarli, i znów znaleźli się w dżungli, a mury miasta rozplynęły się w zielonkawej mgle. Gdy mgła ustąpiła, Myśliwy poznał, że znów leży w Domu Bogów.

Kostka nadal nie bolała.

Nie bolała także wtedy, gdy Człowiek–Bóg wykonał nad Myśliwym serię skomplikowanych ruchów laską. Czy to majaki spowodowane gorączką, czy złota spirala naprawdę obracała się jak wir w strumieniu?

Zresztą co za różnica? Kiedy Człowiek–Bóg skończył, Myśliwy mógł podnieść się i chodzić. Poszedł więc za nim, jak mu nakazano. Szli długim, wykutym w skale korytarzem, na którego ścianach wisiały głowy zwierząt totemowych wszystkich klanów Kwanyi; Korytarz pomalowany był kolorami, których Myśliwy nigdy w życiu nie widział.

Potem minęli ścianę z kamieni, utrzymywanych razem raczej przez zakłęcie niż przez zaprawę. Za ścianą była sala tak wysoka i ogromna, że Myśliwy ledwo mógł dostrzec jej sufit, a drugi koniec tonął w ciemnościach. Kiedy spojrzał w dół, natychmiast odwrócił głowę.

I to nie dlatego, że bał się widoku wirującego dymu, czy też tego, co mogło kryć się pod nim. Po prostu w głębi serca czuł, że nie wolno mu patrzeć ani na ten dym, ani tym bardziej na to, co ukrywał.

Człowiek–Bóg wskazał siedzisko wykute z kamienia, stojące nad samym brzegiem galerii, na której stali. Myśliwy posłusznie usiadł, zwiesiwszy nogi nad przepaścią. Usłyszał nad sobą jakieś głosy, a głos Człowieka–Boga, który go tu przyprowadził, dołączył do nich. Śpiewali w języku, którego Myśliwy nie znał, w rytm bębna, którego dźwięk słyszał po raz pierwszy. A może to nie bęben, tylko ich laski uderzające w posadzkę? Gdyby były okute żelazem, wydawałyby taki właśnie dźwięk...

Dym uniósł się przed nim, jak gotowa do ataku kobra. W pewnej chwili przybrał nawet kształt kobry. Myśliwy o mało nie krzyknął: „Nie jestem kobrą! Jestem Lampartem! Przyślijcie lamparta po moją duszę!”

W tym samym momencie zrozumiał, że nic nie powie. I tak nie miałyby to już znaczenia, bo w tym miejscu zwykli śmiertelnicy byli bezsilni w obliczu mocy posłusznej Ludziom–Bogom.

Jednak w dalszym ciągu nie czuł strachu, nawet wtedy, gdy dym okręcił się wokół niego gwizdząc jak wiatr w drzewach. Poczul że unosi się delikatnie jak dziecko w ramionach matki.

Potem dym zniknął. Myśliwy spojrzał wprost w wirujące purpurowo–szafirowe światło. Światło unosiło się wokół niego, odbierając mu wzrok, słuch, a potem pozostałe zmysły. Nawet nie spostrzegł, kiedy wyszło z jego ciała duszę, a na kamiennym siedzisku pozostała tylko pusta skorupa.

— Co to było? — wymamrotał Conan. Zdawało mu się, że szeptał bardzo cicho, ale Valeria była

bardziej czujna niż przypuszczał.

— Nic nie słyszałam — wymamrotała. Przekręciła się, kolejny raz próbując znaleźć miejsce, gdzie korzeń krzewu czarnego bzu, pod którym się schronili, nie wbijałby się w jej ciało.

— Deski okrętowej koi są jak puch w porównaniu z tą dżunglą — jęknęła.

Conan podniósł rękę, aby ją uciszyć. Valeria, choć trochę nadąsana, posłuchała. Cymeryjczyk poczekał jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że dźwięk, który przyniósł nocny podmuch wiatru, już się nie powtórzy.

— Chyba nic nie słyszałem, chociaż zdawało mi się... Gdyby zaklinanie złych mocy miało swój specjalny ton, to brzmiałby chyba właśnie tak.

Valeria usiadła, a koszula zsunęła się jej z ramion. Nie zwróciła uwagi, że widać jej wspaniałe piersi. Machnęła ręką z niezadowolaniem.

— Może jesteś wietrzyczarem? — spytała. — Tak ich zwą w moich stronach.

Conan zauważył, że nie interesuje jej odpowiedź na to pytanie. Tak naprawdę, to nie byłby zachwycony, gdyby nagle okazało się, że posiadał moc wyczuwania magii. Nie chciał mieć z magią nic wspólnego. Walczył z wieloma czarnoksiężnikami, lecz kiedy tylko mógł, trzymał się z dala od całej tej przeklętej rasy.

— Nie jestem czarownikiem — burknął. — I nie będę. To pewnie był tylko wiatr. Tak długo nie byłem na tych ziemiach, że mogłem o pewnych rzeczach zapomnieć.

Valeria najwyraźniej mu nie dowierzała, ale niebieskie oczy Cymeryjczyka były spokojne i uśmiechnięte. Po chwili dziewczyna również się uśmiechnęła i odwróciła na bok, a zamiast piersi można było teraz podziwiać okrągłutkie pośladki.

Conan nawet na nie nie spojrział. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, z mieczem na kolanach i czekał cierpliwie, jak człowiek, który przez trzy dni obserwuje zamboulański skarbiec, aby poznać pracę jego wartowników. Znał dżunglę lepiej, niż chciał się do tego przyznać, i był pewien, że dźwięk, który usłyszał, nie był naturalny. A co nie jest naturalne, prawie nigdy nie jest bezpieczne.

Po pewnym czasie oddech Valerii się uspokoił; zapadła w głęboki sen. Oddech Conana również się wydłużył; wyglądał teraz jak żelazny posąg. Tylko niespokojnie błyskające oczy zdradzały, że nie śpi.

Cokolwiek ich tropiło, nie miało teraz żadnej wskazówki, gdzie ich szukać. Gdyby ich nawet znalazło, czekały nań stalowe ostrza.

Seyganko, syn Bayu, nie był najszybszym ani najsilniejszym wojownikiem Ichiribu. Za to najlepiej pływał, co bardzo się przydawało w czasie licznych wojen z Kwanyjczykami. Mimo młodego wieku był też bardzo bystry. Niedostatki innych przymiotów nadrabiał sprytem i często radził sobie lepiej niż hojniej obdarzeni przez naturę współtowarzysze.

Taka postawa budziła zawiść, ale też szacunek. Kiedyś nawet został wyzwany na pojedynek i wyszedł z niego nietknięty. Aż pewnego dnia szaman Dobanpu po odczytaniu danych przez duchy znaków ogłosił, że Seyganko może już dowodzić w boju.

Od tego czasu przewodził wojownikom. Nie tylko w czasie wojen, które podrywały wszystkich zdolnych do walki Ichiribu. Bywał też wodzem w czasie rozmaitych mniejszych wypadów i potyczek, zawsze wtedy, kiedy tradycja czy tabu nie wymagały, by dowodził ktoś inny.

Z niektórych bitew nie udało mu się wyjść bez szwanku, jak choćby z owego pojedynku. Nikomu co prawda taka sztuka nie mogła się udać, jeżeli przeciwnikami byli Kwanyjczycy. Chabano, ich najwyższy wódz, potrafił świetnie wykorzystać umiejętności swoich wojowników, którzy do perfekcji opanowali sztukę posługiwania się włócznią i tarczą. Był groźny, nawet kiedy nie miał wsparcia Ludzi–Bogów. A z tym wsparciem mógł zdeptać wszystkie szczepy zamieszkujące wybrzeża i wyspy Jeziora Śmierci, a potem ruszyć na podbój ziem w dole rzeki. Rzadko udawało mu się na dłużej utrzymać przychylność Ludzi–Bogów. Zatem Ichiribu ciągle musieli uważać, co Chabano planuje i w jakich jest stosunkach z Ludźmi–Bogami.

I dlatego tej nocy, gdy Conan pełnił wartę przy krzewie czarnego bzu, pod którym spała Valeria, Seyganko przypląnął na zachodni brzeg Jeziora Śmierci.

W łodzi było oprócz niego czterech ludzi. Popychali łódź rytmicznymi, dobrze wyćwiczonymi uderzeniami wiosł, podnosząc, je wprawnie, tak aby najmniejsze pluśnięcie nie zdradziło ich obecności. Przesłonięty chmurami księżyc dawał niewiele światła, więc posuwająca się bezszelestnie łódź wyglądała jak widmo. Na szczęście okres godowy lampowca, który świeci, kiedy jest zaniepokojony, już minął i nie musieli obawiać się, że zostaną zauważeni.

Jakieś sto kroków od brzegu cała piątka naraz podniosła wiosła. Łódź płynęła jeszcze chwilę rozpędem, zanim wbiła się dziobem w przybrzeżne wodorosty, miejscami tak gęste, że dziecko mogłoby swobodnie po nich chodzić. Na znak Seyganko wszyscy wyskoczyli z łodzi. Trzymając się jej burt cicho brnęli w grząskim mule.

Każdy z nich miał na głowie pióropusz, a na biodrach przepaskę ze skóry węża. Każdy też niósł broń: maczugę lub trójzab, kamienny nóż z drewnianą rękojeścią i sieć. Wszyscy byli obficie wysmarowani zjełczalym tranem, którego odór mogli znieść tylko Ichiribu. Ukrywał on zapach ludzkiego ciała przed małą rybą nazywaną przydatkojadem, od której aż się roiło w wodach Jeziora Śmierci.

— Pamiętajcie — wyszeptał Seyganko — nie chcemy kobiet. Jeżeli będą uciekać, nie gońcie ich.

— A jeżeli zostaną? — zapytał jeden z wojowników szczerząc zęby w uśmiechu.

— Nie zapominajcie, że mężczyzna, który bierze kobietę, zapomina o całym świecie — odparł Seyganko.

— Ha! — włączył się największy z nich. — Ty już nie musisz myśleć, skąd wziąć kobietę. Ty przecież...

— Siedź cicho, Aondo — rzekł trzeci wojownik. — Jeśli Seyganko nie wyzwie cię na pojedynek, ja to zrobię. Jesteś zazdrosny i głupi.

Seyganko nie musiał już nic dodawać. Był świadom, że jego zaręczyny z Emwayą, córką szamana, wzbudziły wiele zawiści. Emwaya, najpiękniejsza kobieta wśród Ichiribu, warta była najlepszego wojownika, lecz nie wszyscy mężczyźni to rozumieli. Młody wódz nakazał więc uważać na Aondo i wczłogał się do kryjówki, którą wybrał wcześniej. Wojownicy podążyli za nim, znacząc swój szlak jedynie szelestem wilgotnej trawy i cichym lotem spłoszonych owadów.

Siedzieli w ukryciu na tyle długo, że przydeptana przez nich trawa zdążyła się podnieść. Nagle usłyszeli rozmowę i kroki na szlaku. Jak to zwykle bywało, szlakiem zmierzały razem kobiety i mężczyźni. Wojownicy konwojowali grupę kobiet niosących zaopatrzenie do obozu leżącego w miejscu, gdzie rzeka Gao wypływa z Jeziora Śmierci.

Kwanyjczycy utrzymywali wojowników dla ochrony pastwisk i pól na południu, po drugiej stronie jeziora. Chabano chętnie zgromadziłby tam większą siłę; miałby wtedy dostęp do przełęczy i łatwo mógłby najeżdzać ziemie za górami. Jednak Ichiribu byli dla niego solą w oku. Ich łodzie panowały nad całym Jeziorem Śmierci i zagradzały dostęp do przełęczy.

W pewnym momencie któryś z Kwanyjczyków, bardziej czujny niż pozostali, krzyknął, aby się uciszyli. Jednak jego donośny głos pozwolił wyostrzonemu słuchowi Seyganko ocenić odległość od wojowników, jakby między nimi była przeciągnięta liana. Jeśli przejdą jeszcze dwadzieścia kroków, ich los będzie przesądzony, jak psa w paszczy lamparta.

Seyganko pozwolił Kwanyjczykowi przejść tę odległość, zanim przytknął do ust kościany gwizdek. Jeśli kobiety uciekną szlakiem, nie rozproszą uwagi Aondo. Przenikliwy ton gwizdka na chwilę uciszył ludzi i dżunglę. W tym momencie Ichiribu rzucili się na idących. Seyganko zdążył jeszcze sprawdzić, czy jego towarzysze się nie ociągają, zanim zmierzył się z dwoma przeciwnikami. Obaj mieli ciężkie skórzane tarcze i po trzy włócznie, w które Chabano wyposażył każdego wojownika. W otwartym polu, w dzień, dorównywaliby wojownikom Ichiribu, ale i teraz nie można ich było lekceważyć. Seyganko nigdy nie lekcewał przeciwników i dlatego jeszcze żył... w przeciwieństwie do nich.

Sfingował cios maczugą, aby zmusić jednego z nich do podniesienia tarczy. Wtedy zarzucił siatkę ponad tarczą drugiego i mocno pociągnął. Haczyki na obrzeżach siatki wbiły się w ciało wojownika, który zawył i upadł na ziemię, przygniatając swoją tarczę.

Następny cios Seyganko już nie był sfingowany; maczuga strzaskała drewniany hełm i czaszkę. Musiał odskoczyć, aby uniknąć rzuconej przez drugiego wojownika włóczni, po czym natarł piersią na jego tarczę.

Wojownik był silny i popychał go do tyłu. Seyganko udał, że traci równowagę i pada. Tamten nacisnął jeszcze mocniej i skierował włócznię w dół, ale wbił ją tylko w trawę. Seyganko zdążył się odsunąć i podciąć przeciwnika obiema nogami. Wojownik zachwiał się, a chcąc utrzymać równowagę wypuścił pozostałe włocznie. Nie mógł widzieć maczugi Seyganko, gdy ta niskim łukiem przemknęła pod tarczą i zmiotła mu kolano.

Zatoczył się jeszcze bardziej, odsuwając tarczę na bok. Seyganko w mgnieniu oka podniósł się i doskoczył do niego. Za chwilę tarcza spadła na ziemię, wypuszczona z ręki zgruchotanej kolejnym uderzeniem maczugi.

Nie mając już przeciwników, Seyganko mógł się rozejrzeć za towarzyszami. Trudno było ich odróżnić od uciekającego tłumu wrzeszczących kwanyjskich kobiet i tragarzy. Większość z nich, zgodnie z jego planem, uciekała z powrotem w głąb lądu. Kilku kwanyjskich wojowników podążało za nimi. Oburzył go taki brak odwagi. Chociaż niewykluczone, że wykonywali rozkaz Chabano, który zapewne domyślał się, że celem takich wypadów Ichiribu jest branie jeńców.

Seyganko przeklinał Chabano. Był on dość przebiegły, aby zagrozić Ichiribu, nawet jeżeli utrzymał niewiele tajemnic. Gdyby przekonał swoich wojowników, że ucieczka jest lepsza niż niewola, utrzymałby ich jeszcze więcej, a każda z nich była równie groźna dla Ichiribu.

Dźwięk podobny do głosu lamparta w czasie godów zwrócił uwagę Seyganko. O rzut włócznią od niego Aondo przypierał do drzewa kobietę. Właśnie wpychał jej do ust płótno zerwane z jej bioder. Zrobił dokładnie to, przed czym go przestrzegano: zajął się kobietą zapominając o wszystkim innym. Leżący za nim zakrwawiony kwanyjski wojownik przekręcił się na bok, ujął włócznię i pchnął z całej siły w jego kierunku.

Pchnięcie nie było śmiertelne, bo w ostatniej chwili Seyganko lekko stuknął wojownika maczugą i grot wbił się tylko na szerokość kciuka w pośladek Aondo. Ten podskoczył z okrzykiem raczej zaskoczenia niż bólu, chwytając się za ranę. Jedną ręką nie zdołał jednak utrzymać kobiety, która umknęła w ciemność. Aondo ruszył w pogoń, ale wpadł wprost na tarczę Kwanyjczyka, zbyt zaskoczonego, by podnieść włócznię; musiał teraz walczyć na pięści.

Seyganko chwycił włócznię, jedyną broń, z jaką mógł na czas przyjść Aondo z odsieczą. Nie była odpowiednio wyważona, lepiej poradziłby sobie z rybackim trójzębem, ale ufał swej sile i wzrokowi. Zresztą nie musiał zabijać.

Włócznia przeszła udo Kwanyjczyka z taką siłą, że grot wyszedł z drugiej strony. Wojownik zawył jak ukąszony przez jadowitą mrówkę i odepchnął Aondo. Seyganko podbiegł do niego, jedną ręką chwycił drzewce włóczni i jednocześnie zadał cios. Kiedy tamten upadł, wyrwał włócznię, a Aondo, doszedłszy do siebie, zabrał się do bandażowania rany Kwanyjczyka zabraną owej kobiecie koszulą.

Mieli dwóch jeńców, którzy dożyją do czasu, aż Dobanpu z nimi porozmawia. Wyprawa była udana. Seyganko zagwizdał, a pozostali członkowie drużyny odpowiedzieli. Przyrzekł duchom hojną ofiarę, kiedy zobaczył, że nie tylko nie zginęli, ale przyprowadzili ze sobą jeszcze dwoje więźniów. Jeden z nich, kobieta, zupełnie nie stawiała oporu. Była bardzo młoda; tatuaże inicjacyjne na rękach i na szyi jeszcze się nie zagoiły. Nie miała na sobie nic oprócz tych tatuaży i pióra wpiętego we włosy za

uchem.

Aondo był już w wodzie. Podciągnął do brzegu czółno, aby łatwiej było do niego wnieść nieprzytomnych jeńców. Wyraźnie starał się trzymać jak najdalej od Seyganko.

Kiedy ostatni Kwanyjczyk znalazł się w czólnie, Seyganko obejrzał je dokładnie. Starał się nie okazać swoich wątpliwości, kiedy zobaczył, że zanurzyło się trochę za głęboko. Przysiągł sobie, że na następny taki wypad zabierze dwa czółna, by w razie potrzeby sprowadzić pomoc i przewieźć jeńców.

— Nie potrzebujemy cię — powiedział do dziewczyny. — Załóż coś na siebie i dołącz do swoich.

Twarz dziewczyny wykrzywił strach, a Seyganko po raz pierwszy przyjrzał się dokładnie jej tatuażom. Nie przypominały tych, które widywał u kwanyjskich kobiet.

— Nie jesteś Kwanyjką? — zapytał.

Zdaje się, że nie zrozumiała nic oprócz ostatniego słowa, bo zareagowała jednoznacznie. Z jej gestykulacji wynikało, że gdyby lamparty zjadły serca wszystkich Kwanyjczyków, a szakale pożarły ich męskość, dopiero wtedy jej serce by się uspokoiło.

Seyganko zdecydował, że dziewczyna może wracać z nimi. Nie chciał zostawiać jej na łasce wrogów. Poza tym była całkiem ładna, choć daleko jej było do Emwayi. Córce szamana nie podobałoby się, gdyby zatrzymał brankę dla siebie, ale pamiętał, jak mówiła, że potrzebuje nowej służącej. Dziewczyna nadawałaby się do tego, a za jakiś czas można by ją oddać za żonę wojownikowi, który nie ma za co wykupić panny młodej.

Wskazał na czółno. Dziewczyna spojrzała nieufnie, zerknęła na dżunglę i z wyrazem jeszcze większego przerażenia na twarzy wbiegła do wody. Wskoczyła do czółna z takim impetem, że o mało go nie wyrzuciła, ale jednak utrzymało się na wodzie, nawet kiedy Seyganko wdrapał się ostrożnie do środka. Nie musieli już zachowywać ciszy, więc żwawo wzięli się do wiosł. Wkrótce przeciążona łódź oddaliła się od brzegu.

Wojownicy, zadowoleni i odprężeni, paplali między sobą jak dzieci — wszyscy poza Aondo, który siedział na środku łodzi i rzetelnie wiosłował, ale mówił nie więcej niż jeńcy leżący w mulistej wodzie na dnie. Seyganko był tym zaniepokojony; odpowiadał towarzyszom półsłówkami. Przepłynęli połowę drogi na wyspę, zanim dołączył do żartujących kolegów, a i to tylko przez przeczność; gdyby milczał zbyt długo, wojownicy mogliby pomyśleć, że jest z nich niezadowolony. A wtedy nie chcieliby już nigdy walczyć pod jego dowództwem. Jeśli się w porę nie wynagrodzi oddanych wojowników, za chwilę mogą przestać być oddani. Wtedy tacy jak Aondo zdobyliby szansę, żeby zabłysnąć bez konieczności rzucania otwartego wyzwania.

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby kobiety tak wiały. Może to widok Aondo tak je wystraszył? — rzucił wesoło Seyganko.

— Jeśli tak, to następnym razem nie założę przepaski na biodra. Przybiegną do mnie, zamiast uciekać

— odparł Szybki Wobeku. Klepnął dziewczynę w ramię; nie zauważył, że zeszywniała, gdy jej dotknął.

Seyganko miał nadzieję, że przebywanie wśród Kwanyjczyków nie odebrało jej rozumu. Emwaya będzie miała dość obowiązków opiekując się ojcem, kiedy już odprawi czary nad więźniami. Nie będzie zadowolona, jeśli narzeczony zostawi bezradną dziewczynę przed drzwiami jej chaty, jak bezdomnego szczeniaka. A kiedy Emwaya jest niezadowolona, wie o tym Seyganko oraz pół wioski.

Valeria przebudziła się. Miała przyjemny sen: śniło jej się, że znów znalazła się na morzu, na pokładzie statku. Miłe marzenia przerwała masywna ręka Cymeryjczyka, która spoczęła na jej ramieniu. Miała ochotę strząsnąć tę rękę, wrócić nad cudowne, skrzące się słońcem morze i zachłysnąć się zapachem bryzy, jednak odrzuciła błogie wizje i podniosła się.

Widząc minę Conana przypomniała sobie, że jest bardzo niekompletnie ubrana. Chciała się uczesać, ale dotknąwszy włosów stwierdziła, że nawet gdyby miała szczotkę lub końskie zgrzebło, niewiele by to dało. Żeby doprowadzić fryzurę do porządku, musiałyby użyć ostrego noża albo toporka.

— Dobrze się czujesz, Valerio?

— Przebudzona i gotowa do przejęcia warty, Conanie. Wystarczy?

— Jeśli nie jesteś pewna...

— Jestem pewna, że wytrzymam. Nie wiem tylko, dlaczego chciałbyś, żebym z powrotem zasnęła.

Nawet w ciemności dostrzegła, jak drżą potężne ramiona Conana, który starał się powstrzymać od śmiechu. Zdała sobie sprawę, że nie miała powodu, by tak ostro reagować na życzliwą propozycję.

Tylko czy aby na pewno była to życzliwość? Przez wszystkie lata spędzone w szeregach Czerwonego Bractwa Valeria poznała rozmaite sposoby intryg między mężczyznami i kobietami. Niekiedy prowadziły one tylko do zapewnienia sobie towarzystwa na noc, ale gdy w grę wchodziło złoto, za które można było kupić statek albo pięćdziesiąt kobiet, intrygi stawały się często krwawe, a ci, którzy nie znali ich reguł, szybko ginęli. Nauczyła się wtedy jednego: mężczyzna, który proponował kobiecie, że przejmie jej część obowiązków, zwykle żądał później czegoś w zamian. A Valeria nie zamierzała Cymeryjczykowi niczego ofiarować.

A może on nie był taki jak inni mężczyźni? Nigdy jeszcze nie spotkała człowieka, który będąc tak daleko od domu czułby się tak bardzo pewny siebie. Zupełnie jakby wszędzie był jego dom. Co musiało być niedalekie od prawdy, jeśli choć połowa z tego, co mówił, nie była zmyślona.

Nie, w tych sprawach Cymeryjczyk na pewno nie różni się od innych. Chyba że jest eunuchem, ale Valeria była przekonana, że to niemożliwe. Wiedźma Tascela nie uganiałaby się przecież za eunuchem.

Kiedy wstała, mocniej rozdarła spodnie. Popatrzyła po sobie z niesmakiem i zmarszczyła nos, kiedy

poczuła odór małpiej skóry.

— Kiedy to się będzie nadawać na ubranie?

— W takim upale i wilgoci skóra schnie powoli. Może będzie ją zabrać i suszyć w marszu, chyba że znajdziemy gdzieś sól.

Valeria splunęła, o mało nie trafiając w rozciągniętą na kołkach skórę. Zdarła z siebie spodnie i koszulę; stojąc zupełnie nago usiłowała zrobić z koszuli przepaskę na biodra.

— Prawie cały czas będziemy szli lasem, drzewa osłonią mnie przed słońcem.

W głosie Conana można było wyczuć nutkę podziwu.

— Poza słońcem są jeszcze owady.

— A co z tym krzakiem? Mówiłeś, zdaje się, że jego jagody odstraszaają robaki.

— No tak, jeśli natrzesz nimi skórę. Ale mogą ci wyskoczyć bąble.

— Lepsze bąble niż pogryzione ciało — zdecydowała.

Conan wzruszył ramionami.

— Twoja sprawa, kobieto, mnie ten smród nie przeszkadza. Ale pospiesz się, chciałbym się jeszcze przespać, jak skończysz.

Valeria stwierdziła, że Conan nawet nie pomyślał, aby ją objąć. Wolałaby, żeby nie był aż tak stanowczy. Przypomniła sobie, jak po walce w Xuchotl jego wielka dłoń spoczęła na jej ramieniu. Nie było to nieprzyjemne.

Jeżeli taki moment miałby jeszcze kiedykolwiek nadejść, to na pewno nie dziś. Zabrała się do zrywania jagód czarnego bzu. Każdą, rozgniałała i wcierała sok w skórę, nie pomijając tych części ciała, które chroniła przepaska. Wystawiony na słońce sok cuchnął jak rozkładające się resztki. Na pewno odstraszał wszelkie owady, a posmarowane nim skaleczenia piekły jak użądlenia pszczoł, po czym przestawały boleć.

Kiedy ona się smarowała, Conan ułożył się pod krzakiem. Nie było tam zbyt wiele miejsca; ramionami dotykał najniższych gałęzi.

Nagle rozległ się przejmujący krzyk, jakby jakiegoś nieszczęśnika w okrutny sposób składano w ofierze. Valeria poderwała się. Przepaska zsunęła się jej z bioder, ale nie zwróciła na to uwagi, tylko wyciągnęła miecz.

Po chwili znów usłyszała krzyk, ale zaraz po nim ciche popiskiwanie. Jakiś nocny drapieżnik znalazł ofiarę, a może partnera? Nie stanowiło to zagrożenia. Widziała, że Cymeryjczyk w mgnieniu oka obudził się i był gotów do walki. Jeszcze teraz trzymał rękę na rękojeści miecza, który dla ochrony

przed wilgocią wsunął do pochwy. Patrzyła chwilę na tę masywną rękę, aż marzenie o statku kołyszącym się na morzu w pełnym słońcu ustąpiło miejsca innemu obrazowi: obite jedwabiem łożo stało w komnacie pełnej rozmaitych woni, a ręce Valerii, podobnie jak ręce Conana, zajęte były czymś przyjemniejszym niż walka.

Poczuła skurcz w żołądku i przez moment bała się, że martwa małpa zaraz się na niej zemści. Ale mdłości przeszły i powróciła jej zawzięta duma. Nazywała się Valeria z Czerwonego Bractwa. Jadała gorsze rzeczy niż surowe mięso małpy i wytrzymywała to, zyskując dobre imię i sławę. Nie pozwoli, aby ta przeklęta puszcza ją pokonała... przynajmniej dopóki ten przeklęty Cymeryjczyk jest w pobliżu i może się z niej śmiać.

Szaman Dobanpu zajmował dom, w którym zmieściłoby się z dziesięć rodzin. Niewielu Ichiribu zazdrościło mu tego, mimo że ziemi zaczynało na wyspie brakować.

Domu nie stworzył ludzki wysiłek; była to grotta głęboko wcinająca się we wzgórze na południowym krańcu wyspy. Nikt nie wątpił, że aby obcować z duchami — oraz innymi istotami, których imiona wymawia się tylko szeptem — szaman potrzebował więcej miejsca niż wyplatacz koszy czy garniarz. Poza tym ludzie nie chcieli widzieć ani słyszeć tego, co Dobanpu robi.

Seyganko też nie chciał. Zwłaszcza że doprowadzając szamanowi więźniów jego ludzie, i tak już zmęczeni, będą musieli pokonać długą, wyczerpującą drogę — najpierw na drugi koniec wyspy, potem przez plażę i pod górę do grotty. A lepiej, żeby jak najmniej ludzi wiedziało, że w czasie wizyt u Dobanpu uczy się sztuki rozmawiania z duchami.

Już i tak słyszało się szepty, że kobieta, taka jak Emwaya, nie powinna poznawać tej sztuki. Mówiono, że to męska umiejętność, a jeśli kobieta ją posiadała, to nie powinna nigdy poślubić żadnego przywódcy. Inaczej przekazałaby mężowi swą moc, jak każda kobieta, która łączy się z mężczyzną.

Ludzie zaczęliby gadać, gdyby dowiedzieli się, że Dobanpu uczy Seyganko. Wojownik dobrze wiedział, że wtedy jeszcze trudniej byłoby unikać pojedynków albo zatrutej polewki.

Seyganko siedział w jaskini z Dobanpu i Emwayą. Wszyscy troje mieli pióropusze ozdobione krokodylimi zębami i amulety z bursztynów. Bursztyny pulsowały jak bijące serca, nabierając mocy z każdą chwilą, kiedy Dobanpu i Emwaya przyzywali do nich duchy.

Żadne z nich nie miało na sobie nic prócz warstwy wonnego olejku. Seyganko pomyślał, że ten ubiór najlepiej pasował do Emwayi. Doszła już wieku, kiedy kobieta powinna mieć co najmniej dwójkę dzieci. Kiedy ją poślubi, zapewne da mu wielu wspaniałych synów, na razie jednak jej talia była gibka, a piersi jędrne. Nogi, umięśnione i silne, objęłyby...

Doszła do niego czyjaś myśl:

Czy to pora na takie marzenia?

Wyczuł w tym przekazie przekorne zadowolenie. Nawet gdyby nie zobaczył uśmiechu na twarzy Emwayi, domyśliłby się, od kogo ta myśl przyszła. Odpowiedział tak, jak go nauczono — bez słowa, jedynie uśmiechem.

Wystarczy tego dobrego. Trochę godności w obliczu duchów!

Nie można było nie rozpoznać źródła tej myśli, chociaż twarz Dobanpu była nieruchoma jak maska z kory. Kochankowie natychmiast wyprostowali się i spoważnieli. Potem wsłuchali się w coraz głośniejszy śpiew Dobanpu.

Śpiew odbijał się echem od mrocznych zakamarków groty, daleko za kręgiem światła. Nagle Dobanpu pstryknął palcami. Jego córka poderwała się, pobiegła do niszy za plecami ojca i przyniosła koszyk pełen glinianych miseczek. Zrobiony był z trzciny namoczonej w soku z jagód czarnego bzu, tak aby zapach odstraszał owady od trzymanyh w miskach ziół, suszonych owoców i olejków. Seyganko nie mógł wątpić w skuteczność tego środka, czując okropny odór.

Zebrał całą odwagę; usiadł ze skrzyżowanymi nogami i patrzył, jak Emwaya stawia przed sobą kilka miseczek, w tym jedną pustą. Z odrobiny ziół, owoców i paru kropel olejku zrobiła eliksir, który podała ojcu. Ten zanurzył w nim palec, po czym oblizwał, jak piwowarka sprawdzająca piwo. Emwaya uśmiechnęła się; tym razem Dobanpu odwzajemnił uśmiech nie przerywając rytmicznego śpiewu.

We wszystkich Ichiribu Dobanpu budził respekt, a nawet strach. Doskonale o tym wiedział, a jego córka nie wątpiła, że był z tego bardzo zadowolony. Między innymi z tego powodu Seyganko błogosławił swój związek z Emwayą. Nie będzie przecież musiał bać się ojca swojej żony.

Dobanpu wstał, szeroko rozłożył ręce i podniósł je wysoko nad głowę. Z miseczki uniósł się cuchnący dym i tańczył w powietrzu, przybierając różne koszmarnie kształty. Emwaya podniosła miskę, a wojownik o mało nie krzyknął, kiedy zobaczył, jak postacie z dymu otaczają Emwayę, niczym cierniowy żywopłot oddzielający zagrodę z bydłem. Po chwili Seyganko całkiem stracił ją z oczu; wydawało mu się, że nawet twarz jej ojca była pełna napięcia.

Powtarzał sobie, że najbardziej niebezpieczne duchy są niewidoczne, a te tutaj — to tylko małe duszki z lasów i rzek, które Dobanpu wezwał, aby dosięgnąć pamięci więźniów. Nawet w to uwierzył, kiedy znowu zobaczył Emwayę, całą i zdrową.

Emwaya wyskoczyła z dymu i uklękła przy ojcu. Jej piersi unosiły się w przyspieszonym oddechu, kiedy sięgnęła po ramię ojca, aby połączyć z nim siły. Teraz niewyraźne postacie zaczęły tańczyć nad więźniami, leżącymi twarzą w dół na czarnej kamiennej podłodze.

Pierwszy więzień był zbyt bliski śmierci, aby mówić. Drugi, lekko ranny, wyznał, że służył Ludziom-Bogom, których wiedza tajemna nawet ich sługi napełniała przerażeniem. Poszło zupełnie łatwo; Ichiribu biegle radzili sobie w takich wypadkach. Moc Dobanpu i jego córki można było zostawić na poważniejsze przypadki.

W grocie uderzył piorun. Dym zawirował z nagłym podmuchem wiatru. Tak się zagęścił wokół

Seyganko, że wojownik z trudem się powstrzymał, aby go nie rozpedzić rękami. Wstrzymał oddech, by nie niepokoić duchów kaszlem. Wreszcie dym i duchy zniknęły, a Seyganko mógł już odetchnąć. Widział teraz, jak dym wiruje coraz niżej, jakby wsiąkając w pierwszego więźnia. Po chwili zobaczył, że umierający jeniec nagle podniósł się i zaczął mówić.

Nie miał już własnego głosu, przemawiał językiem duchów, którego Seyganko jeszcze nie rozumiał. Ale jego słowa spowodowały, że twarz Dobanpu wykrzywiło przerażenie. Emwaya miała szeroko otwarte oczy i ścisnęła ramię ojca tak mocno, że raniła jego skórę posiniąłymi paznokciami.

Znów uderzył piorun, tym razem gdzieś w oddali. Seyganko, nie mogąc już znieść widoku więźnia, spojrzął na sklepienie jaskini. Zobaczył, że kropla wody odrywa się od skały i spada na podłogę wznosząc obłoczek kurzu. Za nią następna kropla, potem jeszcze kilka, wreszcie cały strumień.

Wynikało z tego, że te grzmoty nie miały nic wspólnego z duchami. Nie była to pora deszczowa, ale i tak wokół Jeziora Śmierci rzadko zdarzało się, żeby trzy noce pod rząd upływały bez opadów. Seyganko poczuł nieprzewartą chęć, żeby podbiec i stanąć w deszczu spływającym do groty przez dymnik. Powstrzymał się, bo Dobanpu jeszcze nie skończył zajmować się jeńcem. Dokończenie obrzędu zajęło mu tyle czasu, ile Seyganko normalnie potrzebował, żeby podejść i upolować dziką świnię.

Wojownik łatwo poznał, że zbliża się koniec. Jeniec powoli obrócił się w kierunku Dobanpu. Zrobił jeden chwiejny krok, potem dwa pewniejsze, zanim skoczył na niego jak lampart na ofiarę.

Nie dosięgnął Dobanpu, choć tamten stał bez ruchu. Emwaya wyskoczyła przed ojca, tak szybko, że Seyganko ledwo zdążył wstać, a ona już zwarła się z umierającym, ale pałającym zemstą Kwanyjczykiem. Szamotali się ledwie chwilę. W więźniu tliło się już niewiele życia i dziewczyna łatwo go powaliła, chwyciwszy za rękę. Próbował jeszcze drugą ręką złapać ją za włosy, lecz błądząc po omacku dosięgnął tylko pióropusza.

Ciągle go jeszcze ścisnął, kiedy maczuga Seyganko spadła na jego głowę. Resztki danego przez duchy życia uszły z ciała razem z nimi. Zagrzmiało, gdy wyskoczyły z trupa i nie zważając na deszcz umknęły przez dymnik.

Seyganko ujrzał przed sobą zjawę w kształcie ptaka z czterema skrzydłami i głową węża. Kiedy się odwrócił, zobaczył przerażoną twarz Emwayi i w samą porę podbiegł, by pomóc jej wesprzeć padającego Dobanpu. Położyli go na wiklinowym łożu, w wyższej części jaskini, z dala od zbierającej się na podłodze kałuży. Emwaya okryła go kocem i gestem nakazała Seyganko odejść.

Bardzo chciał wiedzieć dlaczego, ale szybko sam się tego domyślił. To, co odnaleźli w kwanyjskim wojowniku, nie sprowadzało się tylko do pospolitych czarów. Seyganko jeszcze nie posiadał wiedzy, która mogłaby uzdrowić Dobanpu i zachować jego umiejętności dla ludu. Musiał teraz wrócić do wioski i uciszyć wojowników, dopóki Dobanpu znów nie przemówi.

Wojownik spojrzął za siebie, chcąc upewnić się, że Kwanyjczyk nie żyje, i nagle zdrętwiał, choć doznał nieprzewartej ochoty, aby na oślep uciekać z groty. Ciało Kwanyjczyka zniknęło. Na mokrym piasku pozostał tylko jego odcisk. Nie było nawet śladów stóp, tak jakby nieboszczyk zamienił się w

piasek.

Spojrzał na dziewczynę. Na chwilę oderwała wzrok od ojca i wzruszyła ramionami. W tym dumnym geście dało się odczytać: „Powiem ci, kiedy przyjdzie na to czas”.

Przybędę, kiedy będziesz mnie potrzebowała, pomyślał Seyganko.

Kiedy wychodził z grotu, zdawało mu się, że widzi na jej twarzy uśmiech. Wolałby zostać. Porzucić ją teraz w grocie na łasce tego nieznanego, co zabrało ciało więźnia, to tak jak zostawić ją sam na sam z wygłodniałym lampartem.

Wiedział, że wojownik, który zaleca się do córki szamana, musi lepiej niż inni mężczyźni poznać swoją kobietę.

Uwierający w zebra korzeń obudził Conana. Kiedy całkiem doszedł do siebie, stwierdził, że korzeń jest ciepły i nie tak twardy, jak się zdawało. Obrócił się i zobaczył najpierw silną, zgrabną kostkę, potem delikatnie zarysowaną nogę, koszulę owiniętą wokół zaokrąglonych bioder i w końcu całą resztę Valerii.

Przestała go szturchać i prawie się uśmiechnęła, ale tylko wzruszyła ramionami.

— Jeśli sądzisz, że obudziłam cię, bo...

Conana korciło, żeby złapać ją za tę kostkę i sprawdzić, czy przepaska spadłaby, gdyby Valeria się przewróciła. Przemógł się jednak. Valeria przypasała już miecz i sztylet, w każdej chwili gotowa odplacić żelazem za niewybredny żart. A Conan bardziej potrzebował teraz godnego zaufania towarzysza niż kobiety w ramionach.

— Obudziłaś mnie, bo już świta i pora ruszać, prawda?

Lekki ruch głową można było wziąć za potwierdzenie.

— Jacyś goście?

— Nikt, komu nie dałabym rady, Cymeryjczyku.

— Więc nie zabiłaś tym razem siedmiu wojowników?

Przez moment Conan myślał, że będzie musiał umknąć przed ciosem miecza, ale po chwili Valeria puściła głównię, a ze skrzywionych ust wymknął się chichot, a zaraz potem śmiech. Usiadła i zaczęła wyczesywać sobie z włosów liście i igliwie.

— Zabijałam ludzi za lepsze dowcipy, Conanie. Pamiętaj.

— O tak, zapamiętam. Ale jeśli zabijasz ludzi za drobne żarty, to może wolę umrzeć za coś

większego.

Zrobiła minę małej dziewczynki i dalej się czesała. Zdziaławszy tyle, ile się dało bez grzebienia albo nożyczek, wstała.

— Masz rację, najlepiej zaraz ruszajmy. — Oblizła usta. — Chociaż nie odmówiłabym łyka wody.

— Zatrzymamy się przy pierwszym strumieniu i napijemy się do syta. Jeśli znajdziemy jakieś tykwy, możemy je wydrążyć i też napełnić wodą. Ale teraz lepiej chodźmy stąd.

— Uważasz, że ktoś nas goni?

— Nie mogę wiedzieć na pewno, ale czemu mamy z siebie robić łatwą zdobycz? W puszczy jak na morzu — najdłużej przetrwa ten, kogo nie ma tam, gdzie spodziewają się go wrogowie.

— To taka wielka mądrość, Cymeryjczyku?

Conan już miał rzucić szorstką odpowiedź, gdy uświadomił sobie, że w głosie Valerii było mniej złośliwości niż zwykle. Spojrzał na nią, a ona spąsowiała aż do piersi. Potem zaczęła pod nosem przeklinać bezmyślnych, pustych głupców z Xuchotl, którzy zgromadzili mnóstwo kosztowności i wytwornych drobiazgów, a nie mieli zwykłej butelki na wodę!

III

— Ge-kha!

Seyganko wykrzyczał rytualne słowo ludu Ichiribu, oznaczające śmierć, i cisnął trójzębem, który przeszył poranne powietrze i wpadł w zielononiebieską toń Jeziora Śmierci.

Sznur z liany, którym broń była przywiązana do jego pasa, rozwinął się na dwie długości człowieka, kiedy trójzęb ugodził przepływającą pod czółnem skrzydlicę. Wokół łodzi pojawiły się fale i pęcherze powietrza, a zaraz potem krew. Wynurzyła się ryba wielka jak czółno, rozwierając paszczę, w której łatwo zmieściłoby się dziecko, co zresztą nieraz się zdarzało. Krew tryskała z rany razem z żółtawą limfą. Ogromne szczęki kłapały długimi na palec zębami, wydając dźwięk podobny jak kwanyjska włócznia stukająca o drewnianą tarczę. Wielkie, podobne do ptasich skrzydeł płetwy piersiowe, od których wzięła się nazwa ryby, łopotały razem z łukowatymi pokrywami skrzeli.

Seyganko odczekał, aż instynkt każe skrzydlicy zaatakować pierwszą rzecz, którą napotka. Była nią łódź. Długie zęby zatopiły się w twardym drewnie burty, zaciskając się z całej siły. Łódź trzeba będzie załatać po powrocie.

Dziko szamocząca się ryba szarpała liną, a drzewce trójzębu świstało w powietrzu. Seyganko nie zwracał uwagi na siniaki. Podniósł maczugę, podrzucił ją i złapał oburącz, a potem walnął dokładnie

między dwie duże łuski nad lewym okiem.

— Ge-kha!

Cios w najbardziej wrażliwe miejsce oznaczał śmierć dla skrzydlicy. Skurcz przebiegł przez jej ciało od zębów po ogon, a szczęki wypuściły burtę. Gdyby wojownik był na tyle głupi, by wyciągnąć trójzab, mogłaby teraz pograżyć się w głębinie i spocząć na dnie. Ale Seyganko do tego nie dopuści; będzie miał wspaniałe trofeum, a wielu Ichiribu wystawną ucztę. Skrzydlica tej wielkości stanowiła zagrożenie dla ludzi. Teraz część jej siły poprzez mięso przejdzie na tych, którzy ją spożyją; pozwoli to pomścić tych, których zabiła.

Seyganko przywiązał rybę do rufy łodzi i zaczął wiosłować w kierunku brzegu. Nawet on nie miał dość siły, by wciągnąć ogromne cielsko do środka. W płytkiej wodzie inne skrzydlice nie zaatakują jego łupu.

Płynął wprost ku wyspie, choć to oznaczało, że wyląduje niedaleko grotu Dobanpu. Od trzech dni nie słyszał o nim nic; wiedział tylko, że żyje i że duchy wysłane przez Ludzi-Bogów wciąż mogą być dla niego groźne. Z tych powodów — a Seyganko uważał, że również z dumy — Emwaya sama się nim opiekowała, przepędzając ciekawskich.

Czego nie chciała zdradzić obcym, może powie przyszłemu mężowi, pomyślał. Skrzydlica warta była zachodu, nawet jeśli nie uda mu się od Emwayi nic wyciągnąć. Gdyby popłynął wokół cypla, inne skrzydlice miałyby czas, żeby wyczuć krew i podążyć jej tropem. Wiadomo było, że w grupie mogą zaatakować czołno.

Skrzydlice większą część życia spędzają samotnie, każda na swoim terytorium. Przepędzają zeń wszystkie inne, poza samicami w okresie tarła. Gdyby polowały w grupach, tak jak robią to przydatkoady, ogołociłyby całe jezioro z wszelkiego życia, również z ludzi.

Z przyczepioną z tyłu skrzydlica czołno płynęło ciężko i niezdarnie, lecz silne i wprawne ręce Seyganko pewnie popychały je do brzegu. Gdy wzeszło słońce i uniosła się poranna mgła, wojownik zobaczył wylaniające się spoza ostatnich siwych smug wzgórze. Wreszcie ujrzał zrobioną z trzciny zagrodę, która pozwalała Emwayi czerpać wodę z jeziora bez ryzyka spotkania ze skrzydlicą lub krokodylem. Mogła tam nawet pływać, kiedy miała ochotę.

Zdaje się, że Dobanpu ozdrowiał; ciemna głowa dziewczyny burzyła powierzchnię wody w zagrodzie. Seyganko uśmiechnął się. Jeśli Emwaya jest w dobrym humorze, może pozwoli mu dołączyć. Zwykle na koniec wspólnej kąpieli tarzali się razem w trawie.

Po chwili do głowy dołączyły ramiona i ręce; okazało się, że kobieta w wodzie nie jest Emwayą. To kwanyjska branka pozwoliła sobie skorzystać z kąpieliska, naga jak niemowlę. W świetle dnia dziewczyna wyglądała piękniej niż tej nocy, kiedy wystraszona do nieprzytomności wpadła w zasadzkę Seyganko.

— Gdzie jest twoja pani? — zawołał w Języku Prawdy. Mogła szczerze nienawidzić swoich poprzednich właścicieli, ale na pewno mieszkała między nimi na tyle długo, by nauczyć się choć

kilku słów.

Dziewczyna wstała, otrząsnęła się jak pies i wskazała na jaskinię. Posrebrzone porannym słońcem krople wody skrzyły się w jej włosach i spływały po piersiach. Seyganko pomyślałby, że jest niewinna i nieświadoma swojej urody, gdyby nie spostrzegł jej czarnych oczu, rzucających ukradkiem przebiegłe spojrzenie.

Wyszczерzył zęby. Wiązały go złożone Emwayi przysięgi, które nie pozwalały mu zadawać się z inną kobietą bez pozwolenia. Zresztą sam uważał, że wykorzystanie służącej nie byłoby mądre. Znał sposób, by położyć kres jej brzydkim sztuczkom.

— Hej! Dziewczyno Emwayi, mam dla ciebie zajęcie. — Zaczął ciągnąć linę, aż na powierzchni pokazał się ogon ryby. — Pomóż mi wyciągnąć tego olbrzyma na brzeg.

Dziewczyna spojrzała na skrzydlicę, potem na Seyganko i, ciągle naga, uciekła do grotu. Seyganko wyciągnął na plażę czołno, usiadł na pozostawionej przez nią koszuli i zabrał się do ostrzenia trójzębu kawałkiem syderytu. Nadeszła Emwaya.

Kiedy wreszcie rozłączyli się po powitalnym uścisku, Seyganko zmierzył narzeczoną wzrokiem. Nie powinna być taka blada i mizerna po trzech dniach choćby najtrudniejszej ceremonii. Może z wyjątkiem jednej.

— Twój ojciec...

— Szaman Dobanpu żyje. Śpi spokojnie i zdrowo, a sny ma czyste. Nakarmiłam go kaszą i wodą, a jego żołądek przyjął pokarm.

Jej słowa brzmiały jak część rytuału, ale w oczach miała łzy. Wyciągnął ręce, żeby je obetrzeć, a ona złapała go za nadgarstki, kurczowo, jakby tonęła.

— Seyganko, wybacz moją słabość. Nie chciałam, abyś mnie widział taką...

— Dobrze, że nie jesteś jak ta ladacznica, którą wzięłaś na służbę. Ona specjalnie pozwoliła mi patrzeć, jak się kąpie.

— To samo pomyślałam, kiedy przybiegła do mnie nago. Co jej powiedziałaś?

Seyganko wyznał prawdę, a Emwaya wynagrodziła go radosnym śmiechem.

— Pomogę ci przy rybie, a potem porozmawiam z Mokossą.

— Tak się nazywa?

— Wydaje mi się, że to nazwa jej szczepu. Zajmują ziemie za Kwanyią. Ona nie jest niedorozwinięta, to życie między Kwanyjczykami zastraszyło ją i ogłupiło.

— Muszę ci ostrzec, że nie na tyle, by nie mogła oglądać się za wojownikami.

— Każda wrażliwa kobieta będzie się za tobą oglądać, Seyganko. A mówiłam ci, że Mokossa jest bardzo wrażliwa.

— Czy chcesz mi pochlebić?

— Robiłam to tyle razy, że już więcej nie muszę.

Jeśli pozwalała sobie na takie żarty, to chyba wszystko było w porządku. Seyganko miał ochotę wsunąć rękę pod jej przepaskę i rozwiązać ją. Niech duchy porwą rybę.

Jednak było coś w jej głosie...

— Czy ojciec dowiedział się czegoś od tego sługi Ludzi–Bogów?

— Chyba dam radę wyciągnąć tę rybę równie dobrze jak Mokossa, ale nie chcę sobie zmoczyć przepaski...

— Emwaya! — Mocno chwycił ją za ramiona, przez chwilę bał się, że dziewczyna uderzy go w twarz. — Twój ojciec przywołał potężne duchy, a nie jest na tyle lekkomyślny, by zrobić to bez powodu. Czego się dowiedział?

Emwaya wzdrygnęła się, ale nie próbowała się wyrwać. Po chwili delikatnie zdjęła z ramion rękę narzeczonego.

— Duchy rozgniewały się, bo próbowaliśmy pokonać moc, którą Ludzie–Bogowie chronili swoje sługi. Sądzę, że niektóre z nich poczuły się zranione.

Duchy można było zranić, chociaż nie tak łatwo i nie w taki sposób jak ludzi. Seyganko na tyle poznał sztukę Dobanpu, by o tym wiedzieć. Jeśli Ludzie–Bogowie mieli dość mocy, by chronić nią swoje sługi...

— Czy ich gniew jest skierowany na twój ojca?

— On tak nie uważa. Część duchów żyje w przyjaźni z Ludźmi–Bogami, inne są ich wrogami... a nawet duchów, które są im posłuszne.

Niezgoda pośród duchów! Seyganko cicho przeklął duchy i tych, którzy im służą.

— Ludzie–Bogowie dowiedzieli się, że Zakłęte Xuchotl upadło.

Emwaya powiedziała to tak, jakby wyrzuciła z siebie coś wstrętnego. Zaraz potem przytuliła się do narzeczonego z zadowoloną miną. Seyganko objął ją ramieniem; poprzez delikatną skórę czuł siłę drzemiacą wewnątrz. Nie potrzebował niczego więcej.

— Jak to się stało?

— Trudno powiedzieć. Zdaje się, że pewien kwanyjski myśliwy zaszedł za daleko na wschód

szukając zwierzyny. Bez trudu wszedł do miasta, rozejrzał się, a gdy zobaczył, że wszyscy mieszkańcy nie żyją, uciekł. Bał się, że ci, którzy to zrobili, wrócą po niego. Ludzie–Bogowie poznali tę historię i oddali myśliwego Żywemu Wiatrowi. Chcą ukryć, że o tym wiedzą, dopóki nie wymyślą, jak to wykorzystać.

Gdyby Ludzie–Bogowie mieli więcej sprytu, prosiliby Dobanpu, aby połączył z nimi swą wiedzę. Wtedy mogliby wspólnie walczyć z tym, co miało tyle mocy, by zniszczyć Zakłęte Miasto. Przecież taka istota mogłaby połknąć wszystkie leśne plemiona jak skrzydlica małe pstrągi.

Ludziom–Bogom zbrakło tej mądrości. Nawet gdyby zdecydowali się na to teraz, Chabano z Kwanyi nie pozwoli im popsuć swoich marzeń o podboju. A Dobanpu najpewniej nie zaufałyby Ludziom–Bogom, choćby razem z Chabano poprosili o pomoc. Seyganko miał nadzieję, że nie będzie nigdy zmuszony powiedzieć tego Emwayi; wiedział, że nie spodobałoby się jej to. Sama wiedziała, że ojciec jest dumny i uparty, ale nie pozwoliłaby narzeczonemu o tym mówić.

— Kto jeszcze wie o tym?

— Tego ojciec nie zdołał się dowiedzieć. Myślisz, że Ludzie–Bogowie starają się nie dopuścić do tego, by Chabano poznał tę tajemnicę?

— Na pewno byłoby to dla nich lepsze — odparł Seyganko. — Mówi się, że Chabano zazdrości Ludziom–Bogom mocy i chce prowadzić swoje wojny bez nich. Jeśli Ludzie–Bogowie połączą siły z istotami, które zniszczyły Xuchotl, Chabano będzie przy nich jak niemowlę.

— Ludzie–Bogowie są chyba głupcami, jeżeli sądzą, że taka moc mogłaby im służyć!

— Wiem, że każdy szaman może tylko o tym marzyć. Ty także to wiesz. Nauczył nas tego twój ojciec, który urodził się ze swoją wiedzą. — Seyganko wzruszył ramionami. — Ludzie–Bogowie nie mieli tego szczęścia.

— Mam gdzieś Ludzi–Bogów! — powiedziała stanowczo.

W chwilę potem jej ręce, głaszcząc plecy Seyganko, lekko wsunęły się pod jego ubranie. To nie jej przepaska pierwsza spadła na piasek...

Żeby skóra małpy nadawała się na ubranie, trzeba było ją wysuszyć na słońcu. Conan nie żywił wielkich nadziei na to, że dzień przyniesie dość słońca, więc podał Valerii swoją koszulę.

Przyłożyła ją do siebie i zaśmiała się.

— Mogę to założyć, ale na noc.

— Mam grubszą skórę niż ty.

— Na morzu przetrwałam upał i słony wiatr, Nie upiekę się, zanim ta skóra wyschnie.

— Albo zgnije.

— Czy to Crom nakazuje ci, byś zawsze patrzył na wszystko z najgorszej strony, Conanie?

— Crom nie jest takim bogiem, który komukolwiek cokolwiek radzi... przynajmniej nie tym, którzy pytają — odpowiedział Conan. Dla niego, jak dla każdego, kto urodził się na północy, surowy cymeryjski bóg nie był tematem do żartów.

— Czy dlatego ty też jesteś oszczędny w słowach? — zapytała. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podbiegła kilka kroków, żeby dotrzymać mu kroku.

Nie oddalili się jeszcze zbyt od miejsca, w którym spędzili noc, kiedy spadł deszcz. Padał krótko, ale na tyle intensywnie, że zupełnie ich przemoczył, a wokół momentalnie utworzyły się kałuże. Napili się, a potem odcięli z powalonego drzewa dwie gałęzie, które posłużyły im za laski. Z ich pomocą posuwali się dużo szybciej, szczególnie Valeria.

W południe dotarli nad brzeg rzeki. Była zbyt głęboka, by przejść ją w bród. Conan przyjrzał się jej powierzchni, zwłaszcza miejscom, gdzie mętne wody lekko wirowały. Potem uważnie obejrzał brzegi. W wielu miejscach ślady zwierząt kończyły się wśród porozpryskiwanego błota i strząśniętych z drzew liści.

— Krokodyle — powiedział krótko.

Valeria nieufnie spojrzała na wodę.

— Myślałam, że może zrobimy tratwę i pozwolimy rzece ulżyć naszym nogom.

— To prawda, rzeka płynie na południowy zachód, czyli tam, dokąd idziemy. Ale nie mamy narzędzi, a krokodyle ściągnęłyby nas z tratwy, zanim byśmy przepłynęli pół mili. — Conan rozejrzał się i spostrzegł kilka powalonych drzew. Było ich za mało na tratwę, a zresztą niektórych, tych najgrubszych, nawet on nie dałby rady stoczyć do wody.

— I tak musimy coś upolować na obiad. Jeśli podzielimy się z nimi mięsem, to może pozwolą nam płynąć. — Valeria wzruszyła ramionami. — To działa na rekiny, więc może na krokodyle też. Zresztą, kto by pomyślał, że będę kiedyś chciała oddać duszę za łódź.

— Oddaj ciało za siekierę, a zaraz będziemy mieli łódź — powiedział Conan i natychmiast odskoczył, aby uniknąć ciosu lianą.

Musieli przestać rozmawiać, żeby nie płoszyć zwierzyny. Znaleźli sobie kryjówki blisko dwóch miejsc, gdzie brzeg był najniższy i pozwalał zwierzętom schodzić do wodopoju. Conan obawiał się, że będą musieli długo czekać, zanim zjawi się jakaś zdobycz. Większość zwierząt mogła teraz zaspokoić pragnienie wodą z kałuż, tak jak oni sami przedtem uczynili. Być może trzeba będzie poczekać do zmierzchu. Nie podobałoby mu się, gdyby musiał zmierzyć się z krokodylem po ciemku.

Conan zawiódł jako prorok. Słońce było jeszcze wysoko, kiedy pojawiła się cała rodzina dzikich świń, pochrząkując wesoło między krzakami. Było ich pięć sztuk: stary odyniec, locha i trójka

drepczących za nimi rzędem warchlaków.

Znakami barachańskich piratów Conan przekazał Valerii, żeby złapała lochę albo prosiaka. To powinno starczyć na ich posiłek. On zaś zajmie się starym samcem. Nie istnieje krokodyl, którego nie nasyci taka ilość świeżej wieprzowiny. Musiałby być stworzeniem nie z tego świata.

Tę myśl Conan odepchnął z niesmakiem, jak każdą związaną z czarami. Wciąż nie mógł zapomnieć poprzedniej nocy. Czy rzeczywiście wyczuł magiczną moc działającą nieopodal? Nie zdziwiłoby go to. Opowieści, które słyszał w Xuchotl, głosiły, że jego budowniczkowie zostawili po sobie nie tylko kamienie, ale także czary. Starą i złą magię, zakorzenioną w tradycji okropnego imperium Acheronu. Legendy nie były zgodne co do tego, jak daleko imperium sięgało i jak długo trwało.

Z legend nie można się też było dowiedzieć, jak człowiek mógł zostać wietrzczykiem — jak na pomocy nazywano człowieka, który posiadał dodatkowy zmysł poza zwykłymi pięcioma i umiał wyczuwać działanie czarów. Nie wiadomo nawet było, czy tacy ludzie istnieją, chociaż niektóre opowieści wspominały, że można wyczuć subtelne zmiany w aurze, powodowane przez zaklęcia.

Odyniec zaczął nawąchiwać, jak zwiadowca podejrzewający zasadzkę. Niewyczuwalna bryza wiała od niego ku myśliwym, zresztą Conan i Valeria byli już w dżungli na tyle długo, że przeszli jej zapachem.

Conan skinął głową, Valeria wyciągnęła miecz. Trochę zaciął się w pochwie, a przy wyciąganiu lekko zachrobotał. Samiec podniósł głowę i znów pociągnął nosem, a locha stanęła między młodymi a niebezpieczeństwem.

Jednak to nie człowiek uderzył pierwszy. Conan zobaczył tylko, jak ociekające wodą, zębate szczęki atakują lochę.

Jej kwik rozniósł się echem i w zasięgu dalekiego strzału z łuku poderwał z drzew ptaki i małpy. Valeria wyskoczyła z ukrycia i nie zważając na odyńca zamierzyła się mieczem na jedno z pierzchających prosiąt.

Dzik nie zwrócił na nią uwagi; zniżył głowę i próbował wziąć krokodyla na szable. Gad, najpewniej już stary i doświadczony, tak oddalił się od brzegu, że nie zdołałby od razu doskoczyć do wody. Łapami ubijał błoto i machał ogonem, chcąc odstraszyć samca i schronić się w wodzie z lochą w paszczy. Wreszcie udało mu się i tylko krwawe smugi zaznaczyły drogę jego ucieczki. Valeria zdążyła przetrącić kark następnemu warchlakowi, kiedy stary basior zwrócił się ku niej.

Gdyby był nieco szybszy, hymny, które w przyszłości śpiewano o męstwie Valerii z Czerwonego Bractwa, byłyby nieco krótsze. Na szczęście obróciła się w porę, uwalniając miecz z karku warchlaka. Zdążyła jeszcze wyciągnąć sztylet, zanim odskoczyła i zaatakowała. Conan przypomniał sobie, jak walczyła w Xuchotl, widząc, jak sztyletem rozplątała ryj odyńca.

Rozległ się przerażający kwik i dzik cofnął się, rozpryskując racicami błoto prawie tak mocno jak krokodyl. Próbował znaleźć oparcie dla nóg na śliskim brzegu, żeby zaszarżować, ale był zbyt słaby. Conan błyskawicznie zbliżył się do niego i mało finezyjnie, ale skutecznie ciął mieczem grubą szyję.

Mistrzowie fechtunku od Zingary do Vanaheimu pewnie oburzyliby się na brutalną siłę, z jaką zadał ten cios, godny raczej kata. Nie miało to jednak znaczenia ani dla Conana, ani dla Valerii, a z całą pewnością dla dzika, który padł martwy u ich stóp.

Valeria spokojnie odgarnęła z twarzy włosy, chociaż w jej oczach wciąż płonęły iskry. Ten ruch uwydatnił jej piersi. Na taki widok w każdym mężczyźnie zawrzała by krew — kobieta—myśliwy ze zdobyczą u stóp na tle mieniającej się słońcem rzeki.

Conan nie był wyjątkiem. Zapatrzony w Valerię, znów nie zauważył złowrogich fal na rzece. Drugi krokodyl był równie wielki jak poprzedni, ale nie tak szybki. Nieprzyjemnie powarkiwał wdrapując się na brzeg.

Valeria odskoczyła, gdy mocne szczęki kłapnęły o wyciągnięcie ręki od jej nóg. Wylądowała na śliskim gruncie, zachwiała się i wpadła na Cymeryjczyka, który złapał ją wpół i odciągnął na bezpieczną odległość.

Plecami oparł się o czerwonokore drzewo, które drgnęło, zatrzeszczało i przechyliło się. Wyczuwając zagrożenie Conan odsunął się od pnia, ale przy tym ruchu puścił Valerię.

W tej chwili ziemia ustąpiła mu spod nóg i zsunął się w czeluść, zabierając z sobą tylko jedno wspomnienie i jedną nadzieję. Wspomnieniem była przerażona twarz Valerii; nadzieję miał na to, że zadba bardziej o siebie niż o niego.

Geyrus, pierwszy wśród Ludzi—Bogów — albo Najwyższy Kapłan Żywego Wiatru, jak nazywano go rytualnie — potrząsnął laską. Nie ukoilo to jego gniewu, więc huknął nią w szarą, skalną posadzkę.

Trzej wojownicy z Klanu Kobry skulili się, jakby myśleli, że skała otworzy się na jego rozkaz i ich pochłonie. W oczach mieli tylko strach, a drżące ręce zasłaniały usta, co w obrzędach oznaczało pokorę.

Nie będzie dla nich litości, nie zasługiwali na nią.

— Sześciu zabitych, trzech pojmanych, i do tego jedna z moich służących! — wrzeszczał Geyrus. Ciągle jeszcze potrafił wydobyć z siebie głos jak ryk lwa, choć nie przychodziło mu to tak łatwo jak za młodu. Wtedy mógł nawet Chabano rzucić na kolana samymi zaklęciami.

— Przebacz... — wyszeptał jeden z wojowników.

— Taka głupota jest niewybaczalna! — wytknął im Geyrus. — Bezmyślnością było zabierać ją w tę podróż, a w dodatku pozwolić sobie odebrać ludziom jeziora!

Teraz już mówił ciszej. Musiał oszczędzać siły, a przy tym nie chciał, by ktokolwiek go podsłuchał. Nawet w domu Kapłanów Żywego Wiatru byli tacy, których serca oddane były Chabano z Kwanyi. Nie zawahaliby się zdradzić mu żadnej tajemnicy Sług Wiatru, gdyby myśleli, że zdobędą tym jego przychylność.

— Zostaniecie zgładzeni — powiedział w końcu. — Jednak okażę wam łaskę, na jaką zasługujecie. Zdecydujcie sami: czy mam was oddać Żywemu Wiatrowi, czy wolicie, żebym ja wybrał wam rodzaj śmierci?

Na samo wspomnienie Żywego Wiatru jeden z wojowników padł na kolana; takiej postawy nie przyjąłby przed żadnym innym człowiekiem, choćby miał umrzeć. Geyrus uśmiechnął się nieznacznie, tak aby było widać tylko te zęby, które jeszcze lśniły bielą.

Rozumiał przerażenie wojowników. Żywy Wiatr bawił się tymi, których do niego przywiedziono, jak kot myszą. Choćby byli najdzielniejsi, szybko ogarniał ich obłęd. Udręka trwała na tyle długo, że śmierć przynosiła ulgę.

— A więc ja wybiorę. Spotka was los kobry, która podpełzła zbyt blisko potomstwa lamparta.

Gdy Geyrus skończył wypowiadać zaklęcie, wojownicy usłyszeli warczenie wyczarowanych lampartów, które wywęszyły ofiary. Ich pazury krzesły złote skry na kamieniach, kiedy rzuciły się w stronę wojowników. Geyrus dotrzymał obietnicy. Lamparty zabijały dużo szybciej niż Żywy Wiatr. Kły szarpały gardła, pazury rozdzierały brzuchy, ale okrzyki strachu i cierpienia szybko przestały rozbrzmiewać w korytarzach. Już po chwili lamparty chciwie pożerały ciała, a Geyrus oddzielił korytarz mocną siecią.

Były czasy, kiedy mógł odgrodzić się od lampartów wyłącznie za pomocą magii. Ale czas młodszej siły już upłynął i nie powróci. Teraz zadowalał się wywołaniem lampartów, gdy ich potrzebował, i odesłaniem z powrotem, gdy nasyciły się ludzkim mięsem.

Geyrus nie modlił się do żadnego znanego ludziom boga. Nie modlił się też do Żywego Wiatru, który zresztą, jak od dawna wiadomo, nie był bogiem. Kapłan miał cień nadziei, że wyjawienie tajemnicy o upadku Xuchotl mu nie zaszkodzi. Jednak nie liczył na to zanadto, bo ani Chabano, ani Dobanpu nie byli głupcami. Geyrus pocieszał się tylko, że dobrze jest mieć w walce godnego przeciwnika; w przeciwnym razie pokonanie go nie przynosi satysfakcji.

Ale stracić taką dziewczynę! Już tylko za to Seyganko zasłużył sobie na najpowolniejszą śmierć, jakiej kiedykolwiek doświadczył człowiek, a najpierw powinien obejrzeć równie powolną śmierć Emwayi. A może lepiej byłoby, gdyby nieodrodna córka Dobanpu zobaczyła śmierć swego narzeczonego, zanim sama umrze?

Na decyzję będzie czas, kiedy wpadną w jego ręce. Tak czy inaczej, zapewni mu to posłuszeństwo dziewczyny do końca jego dni.

Najwyższy Kapłan Żywego Wiatru spać będzie w ciepłym łóżu, jak przystało na zwycięzcę.

Cymeryjczyk zniknął szybko i bezszelestnie. Valeria cały czas czuła za sobą jego obecność, a w pewnej chwili wyostrzone zmysły dały jej znać, że go nie ma.

Znów podskoczyła, o mało nie gubiąc ostatniej części swojego stroju. Krokodyl syczał jak zupa

kipiąca do ogniska i zbliżał się nieuchronnie. Wydłużona paszcza otwierała się i zamykała z metalicznym szczękiem, jakby zęby bestii były ze stali.

Valeria widywała morskie krokodyle; kiedyś jej statek kotwiczył u ujścia rzeki, gdzie się gromadziły. Nigdy jednak nie była w kraju, w którym krokodyle mieszkają w rzekach. Sądziła, że ta bestia jest podobna do swoich morskich kuzynów: szybka w wodzie, ale powolna na lądzie; zajadła w walce o życie, ale niezbyt inteligentna. Niewątpliwie krokodyl łamał sobie teraz głowę, jak tu się do niej dostać, skoro pierwszy atak się nie powiódł.

Dawno już mogła być daleko od rzeki i od niebezpieczeństwa, ale nie chciała pozostawić Conana na pastwę losu. Wyglądało to tak, jakby ziemia po prostu go połknęła. Ta myśl kazała jej bardzo uważać przy następnym skoku. Podziękowała Mitrze, kiedy wylądowała na ubitej ziemi. Zrzuciła buty; bosymi stopami lepiej wyczuwała grunt, czy to deski pokładu, czy brzeg rzeki w puszczy.

Trzymając mocno sztylet i miecz zmierzyła wzrokiem przeciwnika. Nie mogła zostawić Cymeryjczyka i szukać schronienia dla siebie. Byłoby to wbrew jej naturze, wbrew wszystkiemu, w co wierzyła od dziecka. Byli teraz związani braterstwem boju, równie mocno jakby łączyły ich więzy krwi czy przysięga złożona przed tuzinem kapłanów i bogów. Wolałaby raczej wrócić na służbę do balwierza albo znów tańczyć w tawernach, niż zerwać więzy łączące ją z Conanem.

Trochę jej przeszkadzało to, że on jej pożąda, ale nie bardziej niż natrętnie brzęcząca mucha. A żeby pozbyć się muchy, nie trzeba tłuc się młotem po głowie.

Krokodyl znów zasyczał i podpełzł bliżej. Valeria ustawiła się tak, by widzieć cały brzeg i napastnika. Najbardziej się obawiała, by nie pojawił się następny krokodyl. Ten pierwszy pewnie objada się porwaną lochą, ale tam, gdzie są dwa krokodyle, mogą też być trzy.

Nic jednak nie sygnalizowało zbliżania się kolejnego gada. Valeria dostrzegła natomiast zagłębienie w ziemi wypełnione zgniłymi liśćmi, nad którym zwisały poplątane liany. Jeśli to tam wpadł Conan, może to być też dobra pułapka na krokodyla.

Nagle bestia rzuciła się naprzód z niespodziewaną szybkością. Zaskoczenie bynajmniej nie spowolniło reakcji Valerii; zawsze miała szybki refleks.

Kiedy krokodyl sunął w jej kierunku, podskoczyła i obróciła się w powietrzu z gracją, za którą w przeszłości wielu mężczyzn rzucało jej złoto. Spadła okrakiem na kolczasty grzbiet, tuż za karkiem.

Zanim gad zorientował się, że jego ofiary nie ma w polu widzenia, uderzyła. Sztylet znalazł szczelinę w łuskowatej skórze i utknął głęboko w ciele. Teraz Valeria podniosła miecz, odwróciła klingę i wbiła mocno w prawe oko krokodyla. Nie mogła wziąć dobrego zamachu znajdując się w takiej pozycji i miecz zapewne nie przebiłby skóry zwierzęcia, ale przez oko dosięgnął jego życia.

Syczenie przeszło w ryk bólu, Valeria odskoczyła desperacko, jakby z pełnego rekinów morza wskakiwała do łodzi. Ogon krokodyla wił się szaleńczo, łamiąc krzaki, odłupując korę z grubych drzew. Nogi beładnie kopały, wyrzucając na wszystkie strony ziemię i liście. Potem nastąpił ostatni skurcz; krokodyl odwrócił się na grzbiet i zsunął w zagłębienie, które Valeria wcześniej zauważyła.

Ziemia rozstąpiła się w niesamowitej ciszy. Rwąc liany i korzenie, martwa bestia stanęła pionowo; ogon kołysał się chwilę, jakby w ostatnich konwulsjach krokodyl machał swemu zabójcy na pożegnanie. Potem zniknął.

Tym razem jama nie zamknęła się. Najwyraźniej urządzenie — albo zakłęcie — które zrobiło to poprzednio, wyczerpało się. U stóp Valerii ziała szeroka na wzrost człowieka czeluść. Spojrzała do środka w mrok, tak zupełny, jak w największej morskiej głębinie.

Przełknęła ślinę. Nie mogła pozbyć się myśli, że nikt, nawet Conan nie przeżyłby takiego upadku... a gdyby przeżył, spadający mu na głowę krokodyl dokończyłby dzieła. Nie dowie się jednak nigdy, jeżeli nie zejdzie na dół i nie odszuka Cymeryjczyka... lub jego ciała. Nie chciała nawet myśleć, co ją czeka, jeśli okaże się, że Conan żyje, ale jest bezwładny od upadku.

— Conanie — mruknęła do siebie — moje życie byłoby znacznie prostsze, gdybyś był nigdy nie opuszczał Cymerii.

„O tak, i zapewne sporo krótsze” — usłyszała w głowie głos Conana. Wzdrygnęła się.

Cóż, raz kozie śmierć. Od dzieciństwa umiała doskonale się wspinać. Pewien żeglarz powiedział kiedyś, że ma oczy w palcach i stopach. To się teraz bardzo przyda. Tak samo jak jedna gruba liana albo kilka splecionych razem.

Stare liany były za bardzo zbutwiałe, ale nie brakowało świeżych. Valeria uplotła z nich linę, zanim słońce dotknęło koron drzew. Na koniec zrobiła ruchomy węzeł na jednym jej końcu, zawiesiła sobie na szyi związane rzemieniami buty i ostatnią lianą przytroczyła sobie miecz do pasa. Liana nie zastąpi paska ze świetnej szemickiej skóry, lecz Valeria poradziła sobie po mistrzowsku. Pas z liany będzie potrzebny tylko w czasie opuszczania się. Gdy tylko Valeria znajdzie się na ziemi, broń pójdzie w ruch.

Zrobiła tyle, ile mogła w świetle dnia, na brzegu rzeki, który teraz zdawał się być miłym przytuliskiem w porównaniu z otchłanią u jej stóp. Reszta jej zadania tkwiła poniżej.

Głęboko oddychała, aż prawie się uspokoiła. Potem spuściła stopy za krawędź jamy i zaczęła schodzić.

IV

Conan zrobił niefortunny krok, wkrótce jednak szczęście ponownie zaczęło mu sprzyjać. W przeciwnym razie życie wielu ludzi i historia licznych królestw miałyby zupełnie inny bieg.

Marny z niego wietrzyczar, skoro nie wyczuł magicznej siły, która utrzymywała darń nad wylotem szybu. Choć może niekoniecznie. Była to stara magia ziemi, a imiona tych, którzy ją odkryli, zostały zapomniane jeszcze zanim Atlantyde pochłonęły morskie fale... a nawet zanim ją zbudowano.

O sztuce tej jednak nie zapomniano. Magia znana budowniczym Xuchotl czerpała z niej swoją siłę, a zaklęte miasto nie było jedynym ich dziełem. Głęboko w puszczy budowali oni potężne podziemia już w czasach, kiedy Czarne Królestwa zamieszkiwały jedynie bandy zwaśnionych dzikusów.

Conan wpadł do pozostałości po takiej budowlu. Ziemia osunęła mu się spod stóp i zwałił się w czeluść, na chwilę tylko rozświetloną od góry. Szyb natychmiast zamknął się na nowo, więc spadał w kompletnej ciemności.

Trzykrotnie uderzył w ściany jamy, zbyt twarde i gładkie, aby mogły być dziełem natury. Uderzenia nieco go wyhamowały, ale też wycisnęły z płuc resztki tchu. Właśnie go odzyskiwał, kiedy z łomotem upadł w miejsce, gdzie ścianę rozkruszył niepowstrzymany napór korzeni jakiegoś leśnego giganta. Spadł na piersi. Impet pewnie zmiażdżyłby żebra innego mężczyzny, Cymeryjczykowi jednak tylko odebrał ponownie oddech i rzucił go jak piłeczkę do tunelu wychodzącego po przeciwnej stronie szybu. Po upadku Conan sunął jeszcze z dziesięć kroków, zanim się zatrzymał. Teraz leżał bez ruchu, a ziemia drżała wokół niego; słychać było grzechot osypujących się z wylotu korytarza odłamków.

Pragnął tak leżeć, aż odzyska oddech, lecz instykt mówił mu, że wejście tego korytarza otworzyło się dzięki jakimś czarom, których władaniu wszystko tu podlegało. Poddanie się chwilowej chęci odpoczynku może skończyć się szybkim i ostatecznym pogrzebaniem.

Zdawało mu się, że żelazne palce zaciskają się na jego piersiach, kiedy się czołgał, ale odgłos wciąż osypującej się ziemi popychał go naprzód. Nagle zapadła cisza, zmacona tylko jego ciężkim sapaniem. Obmacał sobie piersi. Żadne żebro nie było złamane. Założyłby się o dobry miecz, że do rana będzie miał siniec jak pięść. Kiedy uspokoił mu się oddech, ostrożnie usiadł.

Wtem z wejścia tunelu doszło go głucho dudnienie; z początku się wzmagało, wreszcie ucichło równie szybko jak nadeszło. Coś dużego wpadło do szybu i zwałiło się na samo dno. Jemu udało się tego uniknąć.

Powtarzał sobie, że to, co spadło, było zbyt ciężkie na Valerię. Chociaż... jeśli zwyciężyła krokodyla, mógł mieć nadzieję, że zejdzie tu za nim. Jej lojalność dla towarzysza walki była silniejsza niż zdrowy rozsądek. Conan wiedział to, bo sam taki był.

Wylot korytarza był w większej części zasypany ziemią, a on ze zdumieniem stwierdził, że widzi to. Nie otaczały go już zupełne ciemności rodem z najgłębszych niewolniczych lochów Stygii.

Odwrócił się i spojrzął za siebie. Tunel obniżał się nieco i tonął w mroku, ale przez jakieś pięćdziesiąt kroków był całkiem widoczny. Cymeryjczyk zauważył, że aż do granicy mroku ścian nie pokrywa ziemia, tylko rzeźbione kamienne płyty. Wszystko spowite było delikatną poświatą, raz szafirową, to znów rubinową. Kiedy próbował obserwować te zmiany, zaczęło mu się kręcić w głowie. Niewątpliwie to światło było magiczne, a tam, gdzie działały czary, Conan czuł się niepewnie. Jednak w całkowitej ciemności czułby się jeszcze gorzej. To światło mogło zaprowadzić go do wyjścia; Valeria nie musiałaby wtedy nadstawiać karku schodząc tu.

Tak, gdyby tylko można jej to było powiedzieć...

Valeria wiedziała, że na tak dużej głębokości powietrze powinno być chłodniejsze. Ale wydawało się coraz gorętsze, jakby schodziła do krateru wulkanu, gdzie roztopiona skała złowrogo bulgoce, w każdej chwili gotowa ją spopielić, jeśli osłabnie jej uchwyt na linie.

— Na moce Erlika — wymamrotała. — Pamiętaj o trzymaniu fantazji na wodzy, głupia dziewczko, bo inaczej spadniesz.

Niestety nie było bynajmniej fantazją, że całe jej ciało pokrywał pot, który w miejscach, gdzie ubrudziła się ziemią, zmieniał się w śliskie błoto. Przepaska oblepiała jej skórę jak meduza i nawet buty stały się jakby cięższe od panującej w powietrzu wilgoci.

Tak naprawdę jeszcze nigdy nie wspinała się tak długo, tak starannie asekurując każdy chwyt rąk i nóg. Kiedyś założyła się z marynarzem, kto pierwszy dostanie się z dziobu na rufę statku, nie dotykając pokładu. To była dziecinna zabawa w porównaniu z tym szybem, mimo że wtedy gra nie szła o życie.

Stopą natrafiła na jakieś podłoże. Półka? W każdym razie jakiś występ w ścianie szybu... trzeba to sprawdzić, zanim się na tym oprze i zdecyduje się odwiązać linę.

— Hooaaaa! — Głos, który jak dym nadpłynął z głębi tunelu, brzmiał jak wycie upiора. Valeria macała stopami powierzchnię występu, aż znalazła miejsce, na którym mogła stanąć. Trzymając się liny spojrzała w dół.

Wejście do szybu było już wysoko i dawało tak mało światła, że z trudem dało się zliczyć palce na trzymanej przed nosem dłoni. Poniżej rozciągał się tylko mrok. Choć czy tylko? Daleko w głębi, na przeciwległej ścianie szybu, widać było zmagającą się z ciemnością nikłą poświatę. Jak odległy świetlik w bezksiężycową noc. Tyle, że żaden świetlik nie migotał błękitem i czerwienią... przynajmniej żaden naturalny świetlik. To, co zamieszkiwało takie głębiny, mogło nie poddawać się prawom natury.

Valeria wzdrygnęła się. Nie przepadała za magią bardziej niż Cymeryjczyk, i z tych samych powodów. Przez magię uczciwa sztuka wojenna stawała się bezużyteczna, a szlachetni wojownicy często nie mogli sobie z nią dać rady. Czarownica Tascela była najgorszą osobą, jaką Valeria spotkała; dziękowała bogom, że nie widziała niektórych czarowników, o których opowiadał Conan.

Nie czas zastanawiać się, czy Conan mówił prawdę. Teraz trzeba dowiedzieć się, czy to jego głos.

— Morze daje wolność — krzyknęła hasło Czerwonego Bractwa. W tej puszczy tylko Conan mógł je znać.

— Łąd odbiera wolę — usłyszała odzew.

Z radości ugięły się pod nią kolana.

— Conanie! Gdzie jesteś?

— W tunelu, tam gdzie widzisz światło. Od...

Gruda ziemi odbiła się od głowy Valerii i pomknęła w otchłań. Spojrzała do góry. Czy zadawało się jej, czy wejście do szybu było teraz mniejsze, a światło słabsze?

Światło na pewno słabło, wyciągnięta ręka była już tylko niewyraźnym zarysem. Ale w dole nic się nie zmieniło, choć tamta poświata nijak nie mogła zastąpić promyka słońca z powierzchni.

— Conanie, coś dzieje się ze światłem. Spróbuję zsunąć się po linie, a kiedy znajdę się naprzeciwko ciebie, rzucę ci linę. Jak szeroki jest szyb tam na dole?

— Na tyle szeroki, że twój przyjaciel krokodyl nie uwiązał w nim, kiedy go posłałaś w ślad za mną — usłyszała w odpowiedzi. — Lepiej się pospiesz, zanim zrobi się ciemno.

Wyczuła w jego głosie, że nie chodzi mu tylko o brak światła. Oburzyła się, że próbuje zataić to przed nią. Jednak rozsądek zastąpił gniew i podpowiedział jej, że może Conan sam nie znał całej prawdy. Gdyby znał, powiedziała by jej na pewno!

Lina już się kończyła, kiedy Valeria natrafiła stopą na ogromny zakrzywiony korzeń wystający ze ściany naprzeciw wejścia do tunelu. Wtedy światło z tunelu przesłoniła głowa i masywne barki Conana. Zobaczyła, że w wejściu do korytarza piętrzy się kupa obsypanej ziemi i zrozumiała, czego się obawiała.

Cisza była tak miła jej uszom jak nigdy od czasów, kiedy zarabiała na życie kradnąc sakiewki. Nawet odległy świst spadającej liny, którą zwolniła rozluźniając ruchomy węzeł, uderzył ją w uszy jak grzmot. Koniec liny przeleciał koło niej i pomknął w dół. Mocno chwyciwszy jej drugi koniec, zaczęła ją zwijać.

Ciągnęła energicznie, ale lina nagle się naprężyła. Pewnie zaczepiła o jakiś korzeń, pomyślała. Wtedy coś zaczęło szarpać linę. Coś żywego gdzieś w głębi szybu. Mogła się założyć, że nie było to stworzenie tak niewinne jak krokodyl.

Valeria wolałaby zmierzyć się z tuzinem krokodyli niż z tą istotą, która być może teraz wspinała się z głębin. Nie pozwoliła, aby ręce czy głos zdrząły jej, zdradzając strach. Rzuciła swój koniec liny na drugą stronę szybu, zobaczyła, że Conan chwycił ją pewnie, i zaczęła z całej siły otrząsać z drugiego końca liny to, co ją trzymało.

Przez najdłuższą w życiu chwilę Valeria czekała, co się stanie najpierw — pęknie lina czy to coś w dole ją wypuści. Nagle lina wystrzeliła w górę jak latająca ryba. Valeria pospiesznie chwyciła jej wolny koniec i obwiązała sobie wokół pasa. Linę pokrywała cuchnąca maź. Z dołu dało się słyszeć bulgotanie, jakby ktoś usiłował krzyżeć dławiąc się jednocześnie winem. Głos dochodził z bliska, a ona będzie musiała przeskoczyć szyb. Z korzenia nie mogła się dobrze odbić.

— Conanie! — zawołała.

— Słyszałem. Skacz!

Conan zebrał nadmiar liny, tak by się dobrze napięła. Jeśli Valerii nie uda się przeskoczyć, nie spadnie głęboko.

Skuliła się, napięła mięśnie i mocno przycisnęła ręce do ściany. Kilka grudek ziemi spadło w przepaść, bulgot wzmógł się.

Wzięła najgłębszy w życiu wdech, jakby porządna porcja tlenu w płucach mogła pozwolić jej unieść się w powietrzu i przelecieć nad otchłanią, i skoczyła.

Leciała jedynie przez krótką chwilę, ale to wystarczyło, by istota z dołu zdążyła jej dotknąć. Dotknięcie było lekkie jak muśnięcie kociego ogona, lecz paliło jak rozgrzane żelazo.

Kiedy już była po drugiej stronie, wdrapała się na osypaną ziemię. Odbijając się echem od ścian szybu i korytarza, goniło ją wycie drapieznika, któremu umknęła ofiara. Coraz więcej ziemi osypywało się ze ścian i sklepienia. Conan chwycił Valerię za rękę i włosy, i przeciągnął za usypany kopiec ziemi.

Po drodze jej przepaska o coś się zaczepiła. Kiedy stoczyła się do nóg Conana, była całkiem naga, nie licząc broni i butów. On nie zwrócił na to uwagi, podnosząc ją.

— Możesz chodzić?

— Mogę nawet biec, byle uciec przed tym... czymś!

Wycie nie cichło, a Valeria usłyszała nagle drugi dziki krzyk. Ściany szybu zadrżały. Ogromne grudy ziemi wielkości człowieka poleciały w dół. Rozległ się okropny plusk, kiedy spadały na dno.

Po chwili sklepienie tunelu również zaczęło drżeć. Ani Cymeryjczyk, ani Aquilonka nie potrzebowali żadnych innych znaków. Zerwali się i pobiegli w głąb tunelu, zwalniając dopiero wtedy, kiedy poczuli pod stopami kamienie.

Za ich plecami rozległo się dudnienie osypujących się wielkich mas ziemi.

Od strony wejścia do tunelu — a raczej miejsca, gdzie niegdyś było wejście — niósł się nieprzyjemny zapach. Nie wiedzieli, czy zapadł się cały szyb, ale i tak drogę powrotną tarasowała góra zbitej ziemi; nie mieli żadnych możliwości, żeby się przez nią przekopać.

Valeria nie miała najmniejszej ochoty wracać na powierzchnię przez szyb, jeśli jego mieszkańcy czyhali tam na nią, w dodatku głodni. Ziemia, która się na nich osypała, mogła nie uczynić im większej szkody. Niewykluczone zresztą, że stwory z szybu umieją wydrążyć kanał przez zasypany tunel... albo mają kuzynów po tej stronie.

By uchronić się przed pierwszą możliwością, najlepiej było czym prędzej uciekać. Przed drugą chronić ich musiał bystry wzrok i stal, i może jeszcze jedna czy dwie modlitwy, jeśli jakiś bóg usłyszy ich z tej głębi.

Wskazała ręką dalszą część tunelu. Conan skinął głową i ruszył za nią. Na razie z tyłu groziło większe niebezpieczeństwo. Valeria była tego pewna. Pogodziła się też z tym, że oczy Conana troskliwie badają całe jej ciało, szukając ran.

Nie było ceny, jakiej nie zapłaciłaby teraz za gorącą kąpiel!

Conan trzymał się z tyłu, aż natrafili na rozwidlenie korytarzy. Nie było słychać pogoni ani jakichkolwiek odgłosów życia. Tunel nie był tworem naturalnym, wskazywały na to ślady bardzo starych narzędzi na ścianach oraz rdzawe płytki, może z brązu lub żelaza.

Na rozstajach Conan obejrzał kostkę Valerii. Widniał na niej brzydki, ciemny ślad, jak paskudne oparzenie. Ale ból już przechodził i mogła iść o własnych siłach. Tak jak poranione żebra Conana, nie powinno to mieć wpływu na umiejętności władania bronią... albo na tempo ucieczki.

— Teraz założysz moją koszulę — polecił Conan. — W twoim przyodziewku możesz wprawdzie być ozdobą królewskiego pałacu, ale nie przypuszczam, żebyśmy tu znaleźli wiele pałaców. Raczej lochy i kości tych, których w nich trzymano.

— Nie musisz mnie pocieszać, kozi synu.

— Ho, ho! Widzę, że odzyskałaś humor. Pewnie dlatego nie chcesz się ubrać, że taka goła jesteś uzbrojona podwójnie: w broń i w kobiecość.

— Dawaj tę koszulę — syknęła, a potem roześmiała się na cały głos, aż echo poszło po tunelu. Gdy ucichło, wyrwała Cymeryjczykowi koszulę.

Sięgała jej do pół uda. Conan odciął rękawy i obwiązał nimi jej stopy, żeby osłonić bąble, zanim skóra nie stwardnieje w marszu. Tak ubraną, z włosami rozczochranymi tak, że żaden ptak nie chciałby uwić w nich gniazda, z butami dyndającymi na rzemieniach na szyi, wyrzucono by ją z najtańszej tawerny na wybrzeżu. Choć może by się nie odważyli — z powodu miecza i sterczących zza pasa sztyletów. Z jej oczu można było wyczytać: ręka, która mnie dotknie wbrew mej woli, nie wróci cała do właściciela.

Conana cieszył ten widok. Nim ujrzą światło dzienne, znowu będą musieli walczyć. Broń Valerii będzie potrzebna, nawet jeśli staną przeciw wrogom niewrażliwym na stal.

Sytuacja, w jakiej się znalazła, nie dawała Valerii powodów do zadowolenia. Jedno było pocieszające: jeszcze żyła, a obecność Cymeryjczyka dawała nadzieję na to, że tak pozostanie. Conan walczył i zwyciężał ludzi i siły nadprzyrodzone od bardzo dawna, dłużej niż ona kroczyła wojenną ścieżką.

Tunel rozdzielał się na dwa korytarze; jeden opadał, drugi wznosił się do góry.

Valeria oparła się o ścianę i pilnowała tyłów, podczas gdy Conan poszedł zbadać obie odnogi.

Choć trwało to krótko, Valeria nie była zachwycona, że stoi tak sama, tutaj, we wnętrzu ziemi. Powstrzymała pracę wyobraźni; zaczeka, aż prawdziwy potwór wyskoczy z ciemności, zanim

pozwoli sobie na strach.

Czekając na współtowarzysza zajęła się swoim ekwipunkiem. Odwiązała z bioder lianę i przywiązała nią miecz do nadgarstka. Miała nadzieję, że nie będą musieli się wspinać i że wilgoć nie pozwoli, by liana straciła elastyczność.

Conan powrócił z niższego korytarza.

— Ten opadający tunel dochodzi do wody. Nie chcę nawet próbować, jak jest głęboka, ani sprawdzać, co się w niej czai — zrelacjonował.

Valeria pociągnęła nosem.

— Śmierdzisz jak kilkudniowe pobojowisko.

— Nawet bardziej. Znalazłem posągi przodków najstarszych bogów Czarnych Królestw. Teraz jestem pewien, że ktoś zbudował ten labirynt.

— Ale po co?

— Chyba dlatego, żeby nie chodzić po puszczy. Miejmy nadzieję, że my też z tego skorzystamy. — Popatrzył na wznoszący się korytarz. — Jeśli nie jestem całkiem skołowany, ta droga prowadzi w stronę, z której przyszliśmy.

— Lepsza dżungla, którą znamy, niż to, co może nas spotkać tutaj — odparła Valeria. — Sądząc po głosie ten potwór w szybie mógłby Pająka z Xuchotł zjeść na śniadanie, a tego smoka z lasu na obiad.

Conan nic nie odpowiedział. Ruszył pierwszy. Przez jakieś trzysta kroków tunel prowadził pod górę. Valeria nabrała nadziei, że podejda blisko powierzchni; wtedy sami będą mogli wydostać się na zewnątrz. Byłe tylko jakieś drzewo przebiło się korzeniem przez skałę.

Jednak szybko się rozczarowała, bo ściany wszędzie były nienaruszone, z wyjątkiem jednego miejsca, w którym kamienie obsypały się i utworzyły niszę. W dodatku tunel zaczął opadać, równie stromo jak dotąd się wznosił. Pod nogami zrobiło się ślisko, jakby ktoś rozlał oliwę.

Światło nie słabło. Valeria mogła teraz dostrzec malowidła na ścianach, które wyglądały jak mozaika z wbitych w skałę malutkich kamieni. Kiedy przyjrzała się bliżej jednemu rysunkowi, zobaczyła, że zmienia się przed jej oczami: z jednego zwierzęcia zrobiło się drugie, potem jeszcze inne. Raz był to lew, potem wielka ryba, innym razem chyba smok, a potem takie stworzenia, na które nie chciała nawet patrzeć, a co dopiero je spotkać.

Choć światło nie zmieniało się, Valeria poczuła, że wiatr owiewa jej skórę. Zmarszczyła nos czując coraz silniejszy fetor starej padliny. Oddarła z koszuli Conana kawałek płótna i zakryła dół twarzy. Conan zrobił to samo.

Za zakrętem, na którym wielka kamienna płyta odpadła od ściany i prawie zatarasowała przejście, trafili na pieczarę, ogromną jak sala tronowa. Oświetlona była tylko podłoga, sklepienie tonęło w

mroku. Przeciwnie ściana, oddalona o dobry strzał z łuku, też była słabo widoczna.

Podłogę gęsto porastały ogromne grzyby, miejscami sięgające Valerii do pasa. Wyglądały bardzo rachitycznie: sflaczałe i prawie przezroczyste, z nieco zdrowiej wyglądającą, biegnącą przez środek brązową smuzką. Po trzonkach spływała tłusta ciecz, która zmieniła podłoże w cuchnący gnój. Wiele z nich wyglądało na nadjedzone.

Tym razem oboje wzięli się za badanie pieczary. Doskonale rozumieli, że tutaj powinno się pilnować tyłów.

Idąc wzdłuż ścian natykali się na ponadgryzane grzyby. Jedna kępa była całkowicie zjedzona, a młode grzyby zaczynały już kiełkować spomiędzy gnijących resztek.

— Szybko rosną — zauważył Conan. — Założę się, że coś się nimi codziennie żywi.

W połowie pieczary natrafili na większe grzyby i na jeszcze gorszy smród rozkładających się resztek. Valeria podeszła i ścięła mieczem największe skupisko. Grzyby rozsypały się na kupkę pokruszonych strzępków, a spod nich wyłoniło się ogromne żebro, pozostałość po jakimś niezwykłym stworzeniu.

— Coś rzeczywiście żywiło się nimi — powiedziała. Rozejrzała się po pieczarze. — Teraz one pożerają to coś.

— Jeśli zwierzęta mogą je jeść... — zaczął Conan.

Żołądek podskoczył Valerii do gardła; o mało nie zwróciła resztek małpy.

— Mam dość doświadczenia z ptakami i z małpą. Cokolwiek to jest, pewnie zostało stworzone przez czary i tkwi tu od czasów budowniczych tego tunelu. To może nas zabić!

— Racja, ale nie znaleźliśmy nic innego do jedzenia ani do picia. A one wyglądają, jakby miały w sobie wodę.

— Ale...

— Spróbuję kawałek. Jeśli palce mi nie zzielenieją i nie odpadną...

— No tak, Cymeryjczyk w sam raz nadaje się do próbowania, co jest jadalne. Widziałam, jak jesz potrawy podawane w żołnierskiej gospodzie w Sukhmecie!

— To lepsza strawa niż wojskowe racje.

Valeria zerknęła na niego z obrzydzeniem.

— Jak ma się kiszki z żelaza, to można i tak. Wolałabym już zjeść soloną wołowinę trzy lata trzymaną w beczce. Na Erlika, wolałabym nawet zjeść beczkę!

— Żdziebko za twarda, na mój gust — odrzekł Conan.

Valeria z rozbawieniem zauważyła, że obchodzi się z grzybami jak z jadowitymi węzami. Najpierw ostrożnie szturchał je nożem, potem dopiero ścinał. Bardzo uważał, żeby złapać ściniek zanim dotknie ziemi. Potem odgryzał kawałeczki tak małe, że zmieściłyby się w naparstku i jeszcze zostałyby miejsca. Chwilę żuł, potem połknął.

— Tłuste jak włosy stygijskiej kurtyzany — powiedział. — Ale jadałem gorsze rzeczy.

— A ile trzeba ci czasu, żeby przypomnieć sobie, kiedy i gdzie?

— Och, daj mi rok, może dwa... — Przerwał i przyłożył rękę do ucha. Valeria zrobiła to samo, chwytając drugą ręką miecz, ale nic nie usłyszała.

— To chyba tylko echo, strasznie niesie w tym grobowcu — powiedział Conan. Valeria wolałaby, żeby nie użył tego słowa.

Cymeryjczyk odciął następny kawałek grzyba. Przełknął i oblizał usta.

— Bardziej tłusty niż poprzedni, ale poza tym w porządku — oznajmił. — Poczekajmy, aż się uleży w żołądku...

Upiorny dźwięk zabrzmiał jak zwierzęce warknięcie, potem przeszedł w ludzki wrzask. Odbijał się echem po pieczarze tak długo, że Valeria poczuła się jak we wnętrzu ogromnego bębna, w który wali szaleniec.

Wolałaby sama oszaleć niż zobaczyć stworzenie, które wtoczyło się do pieczary wylotem jednego z korytarzy. W kłębie było wysokie jak dorosły mężczyzna; duże płaskie kości sterczały jak tarcze, chroniąc grubą szyję. Czerwone ślepia przeszywały ich wściekłym spojrzeniem ponad dwoma krótkimi kłami wystającymi z paszczy w kształcie dzioba. Razem z ogonem było to dłuższe niż spora szalupa. Zapadało się w ziemię tak głęboko, że musiało być cięższe od słońca.

Następny smok, a nie ma Jabłek Dekrety, by go uśmiercić — taka była pierwsza myśl Valerii. Zaraz za nią przysła następna: w dobrym towarzystwie ruszam do ostatniej bitwy!

Jakby walczyli z Conanem od lat, odruchowo ustawili się tak, że stwór nie mógł zaatakować obojga naraz. Valeria przyglądała się jego kłom i tarczom. Gdyby nie były ostre, można by się było ich złapać. A potem, odpowiednim pchnięciem miecza albo sztyletu, załatwić go jak krokodyla.

Zamiast zaatakować, stwór znów zaryczał. Zdawał się czekać, aż ucichnie echo. Nadal nie atakował. Powlókł się do kępy grzybów, opuścił szeroką paszczę i odgryzł kilka.

— To bydlę nie jest smokiem — zawołał Conan. — To ten grzybożerca.

— No to co zabiło drugie... — zaczęła Valeria.

Za chwilę mogła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Potwór miał może słaby wzrok, ale słyszał doskonale. Obrócił się w kierunku ich głosów. Conan dał Valerii znak, by się uciszyła.

Valerii nie trzeba było namawiać. Jeszcze bardziej oddaliła się od towarzysza.

Jeśli potwór ma słaby wzrok, może nie dostrzeże dwóch przeciwników, a tym bardziej ich nie zaatakuje. Nawet gdy jedno z nich zginie, drugie będzie miało szansę go zabić.

Jeżeli potwór ich widział, nie dał tego po sobie poznać. Valerię ciekawiło, czy mając kiepski wzrok może wyczuć ruch. Stwór po chwili opuścił głowę i wrócił do posiłku.

Nie jadł bynajmniej elegancko. Gramolił się przez wielką jak aquiloński warzywniak kępę grzybów i mlaskał śliniąc się obficie. Mlaskanie, beknięcia i kroki wiernie powtarzało echo. Może zwróciłaby jego uwagę kawaleryjska trąbka tuż przy uchu, ale nic cichszego.

Nasycony podniósł się i pomaszerował do trupa drugiego stwora — być może ofiary śmiertelnej walki o tę pieczarę pełną jedzenia. Obwąchał go, a potem podniósł głowę i wydał jeszcze głośniejszy ryk niż ten, którym ich powitał.

Valerii zdawało się, że ktoś wbija jej w uszy rozpalone gwoździe, ale nie spuszczała z potwora oczu. Nawet jeśli wzrok miał zły, a słuch przytępiony własnym rykiem, zapewne mógł wyczuć obcego węchem.

Conan zamachał do niej, żeby podeszła. Wciąż mając potwora na oku, uklękła i na czworakach przeczołgała się przez grzyby. Cymeryjczyk, stojąc nieruchomo jak posąg w świątyni, obserwował, jak potwór obchodzi pieczarę.

— Musimy się z nim zmierzyć — wyszeptał, kiedy Valeria dotarła do niego. — Poczul zapach intruza na swoim terytorium. Jeśli go teraz nie zabijemy, będzie nas ścigał, dopóki nie dopadnie.

Valeria zgodziła się. Płaskie szczęki potwora były właściwie bezzębne, ale jednak dość duże, by połknąć ją w całości... i dość silne, by połamać kości Conana jak słomki.

Znów się rozdzielili. Byli od siebie ze czterdzieści kroków, kiedy nagle poczuli powiew wiatru. Valeria znieruchomiła i wstrzymała oddech, czekając na reakcję potwora.

Jeszcze raz powietrze rozdarł przenikliwy, wyzywający ryk. Jeszcze nie wybrzmiało echo, kiedy zwierz zaszarżował. Jak ciężko obładowany statek przez wzburzone fale, przedzierał się przez gąszcz, przewracał i tratował grzyby. Głowę trzymał nisko, prąc naprzód pyskiem jak galera dziobem. Valeria stała bez ruchu. Bestia weszła pomiędzy nich.

W tym momencie Conan wyskoczył jak kamień z procy. Chwycił się górnego rogu i przerzucił ciało wysoko nad pyskiem bestii, mierząc w jej szyję.

Niestety, żelazny chwyt zawiódł i Conan rozciągnął się w poprzek szyi, zamiast bezpiecznie wylądować na niej okrzakiem. Zsunął się i potoczył po ziemi, wypuszczając miecz.

Valeria desperacko nabrała w płuca powietrza i wrzasnęła jak udręczona dusza. Głowa bestii odwróciła się ku niej. Bogowie chyba uznali, że nadszedł dzień, w którym Conan zginie, a ona zwycięży, lecz Valeria z Czerwonego Bractwa nie pozwalała ludziom ani bogom decydować za nią.

w takich sprawach.

Najwyraźniej zapach dwóch intruzów zdezorientował głupawego potwora. Znów wyzywająco zawył, ale zaczął się cofać.

— Razem! — ryknął Conan.

To zwróciło bestię z powrotem ku niemu. Lecz on był już na nogach, z bronią gotową do walki. Valeria już kiedyś widziała, jak Conan biegnie przodem i tyłem z tą samą szybkością. Teraz mogła to znów zobaczyć. Cofając się ciągnął za sobą potwora, który zdaje się zapomniał o drugim przeciwniku. To był dla niego wyrok śmierci.

Valeria podskoczyła lekko jak kot, zręcznie lądując tam, gdzie nie trafił Conan. Siedząc okrakiem złapała brzeg tarczy, podniosła ją i zadała cios.

Ugodzony smok stanął na tylnych nogach. Ze zwinnością, przyswojoną wysoko na wantach okrętów, Valeria wypuściła miecz powierzając go przywiązanej do nadgarstka lianie i złapawszy się tarcz zawisła jak lalka. Smok syczał, warczał, jęczał. Zaczął machać głową próbując pozbyć się dokuczliwego intruza.

Pozwoliło to Cymeryjczykowi uderzyć w odsłonięte gardło. Miecz świsnął rozcinając powietrze, wielkie jak dłoń łuski, wreszcie ciało. Trzymany dwiema mocarnymi rękami, przeciął gładko życie zwierza.

Smok zbulgotał, krew trysnęła na wszystkie strony. Jednak nie upadł. Valeria zaczęła huścić się na tarczach. Przez chwilę balansowała na nich, jak na szczycie masztu rzucanego sztormem statku, z gracją kogoś, kto robi to nie pierwszy raz. Potem łupnęła mieczem w cienką kość między czerwonymi ślepiami. W tym momencie szyja potwora zgięła się jak złamany maszt i Valeria spadła między grzyby, które złagodziły upadek i pokryły ją tłustą wydzieliną.

Usiłując wstać zobaczyła, jak Conan odciąga od niej potwora, obficie krwawiącego i prawie zupełnie ślepego, ale wciąż trzymającego się na nogach! Przekląła wszystkich bękartów zawszonych małąp, którzy dali temu stworowi tyle żywotności.

Potwór zdawał się odzyskiwać siły, jakby jej przekleństwo zadziałało jak zaklęcie. Rzucił się na Conana kłapiąc szczękami. Cymeryjczyk uciekał w kierunku tunelu, którym dostał się do pieczary. Oszałały potwór biegł za nim, jakby w tym tunelu gnieździło się całe jego nieszczęście. Valeria nie mogła za nimi nadążyć; tylko przez chwilę widziała uciekającego Conana, zanim wielkie cielsko przesłoniło jej widok.

Kiedy dotarli do tunelu, okrzyk wojenny Conana, ryk potwora i łoskot walących się głazów zlały się w jeden ogłuszający huk. Echo poniosło go po pieczarze i zwielokrotniło jego moc.

Valeria uklękła i patrzyła na ogromną chmurę pyłu, która zawisła wokół wejścia do korytarza. Nie było widać nic prócz czubka smoczego ogona, słabo uderzającego o ziemię. Po chwili uderzenia przeszły w lekkie drgnięcia, po czym i one zgasły.

Valeria nakazała rękom, aby przestały drżeć, podniosła się i skierowała do tunelu. Sama nie wiedziała, co zrobi, kiedy już tam dojdzie, poza tym, że będzie chciała odnaleźć ciało Conana. Jeśli przygniótł go potwór, nie kamienie, zdoła dostać się do niego ćwiartując cielsko...

Masywna postać wyłoniła się z chmury kurzu.

Valeria zakryła sobie usta wolną ręką, żeby stłumić krzyk, a drugą uniosła miecz, jakby chciała walczyć z duchem.

— Valerio!

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Nie opuściła miecza i stała jak wryta, gdy Conan podszedł do niej. Zatopiona w jego ramionach poczuła się niesłychanie błogo; aż dziwne, dlaczego dotąd nie chciała, aby ją obejmował. Po chwili przestała drżeć i odzyskała głos.

— Dobrze, że nie musiałam drugi raz cię szukać. Nie mogę stracić ostatniej koszuli, a skóra tego zwierza jest chyba za twarda na ubranie.

Conan wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci już, w czym wyglądasz najlepiej. Jeśli mi nie chcesz uwierzyć, to tylko dowód na to, że nie ufasz mężczyznom.

— Ufam im na tyle, na ile zasługują — zbliżyła kciuk do palca wskazującego na grubość włosa. — Przynajmniej tyle. — Z ulgą stwierdziła, że opanowała drżenie rąk.

— Lepiej ruszajmy, zanim ten hałas przyciągnie krewniaków naszego przyjaciela — zaproponował Conan. — Nie możemy wrócić naszym tunelem; leży tam przysypane kamieniami ciało tego potwora.

Jedynie wyjście z pieczary prowadziło stromo w dół, jednak to nie popsuło humoru Valerii. Daleko w głębi korytarza majaczyło światło dzienne, a wilgoć zdradzała obecność wody.

Odwróciła się. Conan uciął spore naręcze grzybów.

— Apropozycja na drogę? — zapytała z obrzydzeniem. O mało nie zwymiotowała, ale była tak głodna, że tylko zaburczało jej w brzuchu.

— Czemu nie? — odparł Conan rzucając jej część łodyg. — Gdyby te grzybki zabijały szybko, leżałbym tam razem z tym zwierzem. Jeśli do następnego postoju dojdę żywy, wiadomo będzie, że wcale nie są trujące.

Valeria wcisnęła grzyby pod pachę i wsunęła miecz do pochwy.

— Conanie, potrafisz na wiele sposobów przekonać kobietę, że powinieneś żyć jak najdłużej!

Conan szedł przodem. Odgłosy walki z pierwszym potworem mogły zwabić następnego, musieli więc mieć się na baczności, bo nie chcieliby znaleźć się na jego drodze, kiedy będzie zmierzał do pieczary.

Korytarz ciągle prowadził w dół, a powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne. Nie cuchnęło tak, jak mogli się spodziewać, mimo że znajdowali się głęboko pod ziemią, a wokół panoszyła się śmierć i zgnilizna.

Nie było to dla Conana żadnym pocieszeniem. Magia, która ich otaczała, dawała światło i oczyszczała powietrze, ale też ożywiała nie wiadomo jakie jeszcze potwory poza tymi, które dotąd spotkali. Wolałby teraz mieczem torować sobie drogę przez dziką puszcę, a tymczasem z każdym krokiem zagłębiał się bardziej w ten labirynt.

Najwyraźniej smok i jego krewniacy często tędy przechodzili. Nawet najtwardsze głazy w ścianach i podłodze nosiły ślady pazurów i łusek. Pojedyncze łuski, mieniające się tuzinem barw, walały się jak jesienne liście we wszystkich zakamarkach tunelu. W jednym miejscu znaleźli gruby jak ręka Conana słup z brązu, zgięty pod naporem masywnego cielska.

Innym razem natrafili na odgałęzienie korytarza. Conanowi wydało się, że podłoga w nim lekko się wznosi. Okazało się, że to nie złudzenie, ale pięćdziesiąt kroków dalej tunel zakręcał, a potem się kończył.

Ściana naprzeciw nich nie utworzyła się pod działaniem sił natury. Drogę tarasowały ogromne drzwi z kamiennych płyt, osadzonych w ramach wyglądających na pozlacany brąz.

Conan zauważył, że przesuwają się na boki w rowkach prowadzących do nisz w obu ścianach tunelu. Najmniejsza płyta musiała ważyć więcej niż Cymeryjczyk, a najwyższe pręty ram były grubsze niż noga Valerii. Niektóre wykuto na kształt węży, których mnóstwo wiło się po całych drzwiach. Część z nich była namalowana, część wykuta w kamieniu.

Conan nie chciał nawet myśleć, jakie zaklęcia byłyby w stanie ruszyć te drzwi. Chyba że było to jakieś urządzenie, przewyższające mechanizmy zatopione wraz z Atlantydą, przy których maszyny obłąnnicze z Khitaju wyglądały jak dziecinne zabawki.

— One mają zielone oczy — szepnęła Valeria. Ona też czuła respekt przed tym miejscem i historią, którą kryło. — Czy to mają być Złote Węże?

Conan przyglądał się ich kształtom. Warstwa złota w wielu miejscach się starła, w innych zmatowiała, ale wszystkie węże, malowane czy rzeźbione, miały oczy z malutkich zielonych kamyków. Przyjrawszy się bliżej zauważył, że te oczy lekko się jarzą, jak ogniste kamienie, które widzieli w Xuchotl.

— Oho! Być może znaleźliśmy miejsce, w którym w starożytności gnieździły się Złote Węże —

powiedział. — Byłby to wystarczający powód, by zbudować takie drzwi. Skruszyłby się na nich każdy taran.

— Miejmy nadzieję, że spełnią swe zadanie, zanim nie wydostaniemy się na powierzchnię — powiedziała Valeria.

— Kobieto, gdzie się podziało twoje pirackie serce? — zaśmiał się Conan i szturchnął ją pod żebro.

Lekko odepchnęła jego dłoń.

— Cóż, chyba gdzieś w butach, ale utnę ci przyrodzenie, jeśli piśniesz jeszcze słówko na ten temat. — Pomasowała się po brzuchu. — Żołądek też tam zaraz pójdzie. — Spojrzała na trzymany pod pachą zapas grzybów. — Na pewno są jadalne?

— Mnie jeszcze nie uśmierciły.

— Jak tylko ich spróbuję, na pewno dostaniesz drgawek i natychmiast umrzesz.

Kamienne drzwi przyzwoicie chroniły im tyły, ale kto mógł wiedzieć, co kryło się za nimi? Jeśli jakiś potwór poczuje ich zapach i wejdzie do tego odgałęzienia, znajdą się w pułapce. Na posiłek wrócili do głównego korytarza.

— Smakują jak morskie ślimaki na surowo — powiedziała Valeria zjadłszy kilka kęsów.

— Hmm. Słyszałem coś o nich. Podobno na surowo są trujące.

— To nie gotowanie wyciąga z nich truciznę. Po prostu mają takie miejsce, które trzeba wyciąć, inaczej jeden ślimak może uśmiercić całą załogę. Ale wystarczy zręczna ręka i nóż. W wielu krajach te ślimaki są wielkim przysmakiem. Najwięcej ich jest na południe od miejsc, gdzie zwykle żeglowaliśmy, choć jednego gorącego lata rozmnożyły się dalej, na pomocy.

Zjedli tyle grzybów, ile potrzebowali, by zaspokoić głód. Wokół panowała sympatyczna cisza. Conan przysiągł Valerii, że jeśli dotrą cali do kraju, gdzie są cywilizowane karczmy, postawi jej obiad, którego długo nie zapomni.

Tymczasem po ostatnich przejściach ogarnęło ich zmęczenie. Rzucając kawałkiem grzyba zdecydowali, kto pierwszy śpi. Conan miał więcej szczęścia w losowaniu.

— Czy w ogóle musimy trzymać wartę? — zapytała Valeria. Dotknęła ostrożnie nadwerężonych żeber Cymeryjczyka. Ten głęboko westchnął, ale nie z bólu.

— Nie mam zamiaru skończyć w brzuchu jednej z tych bestii albo zostać przez nią rozdeptanym. Zresztą może to nie jedyni mieszkańcy tego labiryntu.

— No, teraz możesz być pewien, że nie zasnę, skoro przypomniałeś mi te koszmarne stwory! — Wydęła wargi z udawaną pretensją.

Conan zabrał jej dłoń ze swojego torsu.

— Niech ci nie spędza snu z powiek to, że jestem ranny. W dzieciństwie byłem bardziej poturbowany, kiedy spadłem z dachu, który z ojcem kryliśmy strzechą.

— Jak wolisz, Conanie — odparła. Odwróciła się i ułożyła w miejscu, z którego był dobry widok we wszystkich kierunkach. Conan pozwolił sobie przez chwilę podziwiać subtelną linię jej pleców, od długiej szyi aż po jędrne pośladki. Potem ułożył broń w zasięgu ręki, ściągnął buty i położył się, starając się złapać tyle snu, ile może dać zimna, kamienna podłoga i wszechobecna magia.

Chata, w której szaman Dobanpu rezydował, kiedy odwiedzał największą wioskę Ichiribu, pełna była cieni i ulotnych zapachów. Seyganko zdawało się, że między źdźbłami trawy w dachu siedzi oswojony duch i zasłania całe światło.

Mieszały się tam zapachy trawy, dymu z ogniska, palonych ziół i olejku, który Emwaya wcierała sobie w skórę. Seyganko przypomniał sobie, jak pierwszy raz pozwoliła to zrobić jemu. Mięśnie napięły mu się od pożądania na to wspomnienie i na myśl o tym, co go czekało.

W swoim kącie chaty Emwaya siedziała nieruchomo jak posąg. Założyła najprostszą koszulę, a we włosach miała tylko jedną kościaną ozdobę. Z posępną miną przeniosła wzrok z ojca na narzeczonego.

— Pytałeś, co mamy zrobić, ojczy — odezwała się.

— Jasno i wyraźnie — odparł Dobanpu. Głos mu się już wzmocnił, choć potężne mięśnie i szerokie barki nie całkiem wróciły do dawnej formy. Widział już prawie sześćdziesiąt wiosen i przeżył dzieci swojej pierwszej żony, a także wszystkie — poza Emwaya — dzieci z drugiego małżeństwa.

Mówiono, że doświadczył tych wszystkich strat, bo musiał zapłacić za czas, jaki spędził w świecie duchów. Ale ci, którzy tak mówili, nie mieli odwagi powiedzieć tego głośno. Publicznie potrafili tylko sławić pokorę, z jaką znosił te ciosy. Ośmielali się czasem otwarcie wątpić, czy dobrze uczynił ucząc córkę sztuki rozmawiania z duchami... ale tylko wtedy, kiedy ona tego nie słyszała. Niektórzy nazywali jej język najbardziej śmiertelną bronią Ichiribu.

Dobanpu podniósł się i rozprostował obolałe od długiego siedzenia nogi.

— Chcę się dowiedzieć, co wy o tym myślicie — powiedział. — Nie sprzeniewierzyłem się tradycji przekazując ci moją wiedzę po to tylko, abys siedziała tu teraz, milcząc jak królowa żab w opowieści Myosty!

— Pytałeś, więc odpowiadam — powiedziała. — Musimy uważać na Aondo, a najlepiej odebrać mu broń.

— Aondo potrzebny jest jako wojownik — sprzeciwił się Seyganko.

— Nawet za twoimi plecami?

— Jeśli dobrze pilnowany, to nawet za plecami — zapewnił wojownik. — Nie możemy mu nic zrobić, nie uciekając się do nieuczciwości i zniewagi.

— Kiedy poczuje się znieważony, wyzwie cię... i to będzie jego koniec.

Dobanpu zaśmiał się cicho.

— Córkę, więcej masz wiary w męstwo swego narzeczonego niż by wypadało. Aondo jest bardzo silny; chociaż powolny jak siedzący w bagnie hipopotam, może być niebezpieczny. Pamiętaj, że kiedy wielkoszczęki dotrze do swej ofiary, znaczy to pewną śmierć.

— To prawda — przyznał Seyganko. — Zresztą każdemu może powinąć się noga, jeśli nie ma szczęścia i opuszczą go duchy. Mogłyby opuścić i mnie, gdybym nieuczciwie wciągnął walecznego wojownika, jak Aondo, w pojedynek na śmierć i życie.

— Ty tak dobrze wiesz, co mogą zrobić duchy? — syknęła Emwaya.

— Tak, a jeśli ci się to nie podoba, możesz poprosić ojca, żeby mnie więcej nie uczył!

Wojownik i jego kobieta wymienili ostre spojrzenia, a Dobanpu popatrzył na zacieniony sufit. Zdawał się prosić duchy, by na chwilę odebrały mu słuch, aby nie słyszał, jak tych dwoje robi z siebie głupców.

W końcu Emwaya opuściła wzrok.

Seyganko dobrze wiedział, że to jedyny objaw skruchy, na jaki mógł liczyć. Przynajmniej będzie go teraz uważniej słuchać, mógł więc dalej mówić.

— Nie sądzę, żeby Aondo był największym naszym wrogiem wśród wojowników. Przyznaję, że jest najgłośniejszy. Ale groźniejszy od niego jest ktoś, kogo imienia nie znam, czuję jedynie jego obecność.

— Szpieg Chabano? — zapytała Emwaya.

— Jego albo Ludzi–Bogów... a może i Chabano, i Ludzi–Bogów.

— Musi być zuchwały, jeśli chce służyć jednym i drugim — wtrącił Dobanpu ugodowo. — Wieść niesie, że przyjaźń Najwyższego i Wodza i Ludzi–Bogów jest bardzo krucha.

— Jeszcze jeden powód, by szpiega utrzymać przy życiu — powiedział Seyganko. — Kto rozpowiada plotki, może też przenosić nieprawdziwe wieści i spowodować, że jego władcy rzucają się sobie do gardeł.

— Bawisz się cudzym życiem jak piłką — rzekła cicho Emwaya.

— Jak tego uniknąć, córko? — zapytał Dobanpu. — Kiedy poznasz jeszcze lepiej moją sztukę, zrozumiesz, dlaczego czasem tak I musi być. Albo zarzuć naukę, wyjdź za Seyganko, powij mu synów, zarządzaj jego domem i niższymi żonami...

— I zgiń, kiedy Kwanyjczycy i Ludzie–Bogowie uderzą i rozciągną nasze szczątki po polach, zanim ruszą dalej na południe po całkowite zwycięstwo! — Emwaya wyglądała jakby miała się zaraz rozpłakać.

Takie wybuchy były gwałtowne, ale krótkie, jak burze na Jeziorze Śmierci. Już po chwili zamrugła oczami i wysiliła się na uśmiech.

— Ojczy, Seyganko... znam cenę jaką muszę zapłacić za wybór, którego dokonałam. Cena będzie ta sama, nawet jeśli pójdę wskazaną przez was drogą. Ale nie muszę radować się tym, co bogowie ześlą na Ichiribu.

— Tylko głupiec żądałby tego od ciebie — powiedział spokojnie Seyganko. Chciałby wziąć ją w ramiona, ale chwila była nieodpowiednia. — Czy widzisz jakichś głupców wokół siebie?

Emwaya roześmiała się głośno.

— Jeszcze nie.

— Zatem możemy kontynuować — rzekł Dobanpu. — Tak, myślę, że ten szpieg to jeszcze jeden powód, by zostawić Aondo przy życiu. Na pewno nie on jest tym szpiegiem, ale założę się o spichlerz pełen ziarna i o nowe czółno, że wie, kto nim jest. Wiadomo, że kto pójdzie za małym lampartem, znajdzie legowisko całej rodziny.

Valeria całkiem straciła poczucie czasu wędrując nie kończącymi się podziemnymi korytarzami. Nie było to już podziemne miasto, raczej podziemne królestwo. Przebyli już chyba trzykrotną odległość z jednego końca Xuchotl do drugiego, przynajmniej gdyby iść cały czas prosto. Valeria nie orientowała się, ile czasu spędzili pod ziemią, ani też w jakim kierunku podążali. Możliwe było nawet, że chodzili w kółko.

Nie, to nie może być prawda. Z wyjątkiem ślepych odgałęzień, z których się wycofywali, i schodów prowadzących do niemożliwych do pokonania przeszkód, nie krążyli dotąd po własnych śladach. Szli naprzód, jednak bogowie tylko wiedzieli ku czemu. To miejsce, gdzie skały były tak zręcznie obrobione, a magia i potwory — wszechobecne, było jednak tak odległe od wzroku bogów, jak od promieni słońca. Jeśli Conan i Valeria mieli znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania, musieli poradzić sobie sami.

Kiedy takie myśli zaczynały szaleć w głowie Valerii jak koty w worku, uspokajała się wysuwając na przód. Musiała wtedy bacznie uważać na wszelkie ukryte niebezpieczeństwa, co ją znakomicie uspokajało. Cymeryjczyk niewątpliwie wiedział o tym, ale jak dotąd trzymał język na wodzy z życzliwości dla towarzyski broni.

Przed nimi otworzyła się następna pieczara, a raczej komnata. Kiedyś mogła być jaskinią wypłukaną w skale przez spływającą od wieków wodę. Teraz podziemny strumień, który ją utworzył, płynął kanałem wykutym w jasnoróżowej podłodze, wypolerowanej tak, że w dotyku była gładka jak jedwab i lśniła nawet w tym słabym magicznym świetle. Ściany i sufit były starannie wyrównane przez kamieniarza i tworzyły ze sobą kąt prosty.

Na pewno pracowali tu dobrzy mistrzowie, nawet jeśli zamiast dłut i bijaków używali czarów.

Conan kucnął przy kanale i zanurzył palec w wodzie.

— Słodka. Zimna jak tyłek Hyborejki. Szybko płynie. Ma ktoś ochotę na kąpiel, zanim się napijemy?

Nim skończył mówić, Valeria już była rozebrana. Nie obawiała się jego wpatrzonych w nią oczu, wręcz jej to pochlebiało. Od opuszczenia Xuchotl trochę za bardzo zeszczuplała, lecz Conan tego nie zauważał. Albo udawał, że nie zauważa, nie chcąc jej sprawiać przykrości.

Oboje wesoło chlapali się w strumieniu, tak głębokim, że gdyby usiedli, sięgałby im po szyję. Jednak woda była zbyt zimna, by tak się zanurzyć. Potem napili się do woli, aż Valeria poczuła, że ma pełny żołądek wody.

Po kąpieli uklękała przy strumieniu, cała mokra i pokryta gęsią skórką. Wypłukała ubranie najlepiej jak mogła. Wykręciła je potem mocno i założyła lekko wilgotne. Wreszcie przeciągnęła się i zaczęła wiązać rzemienie przy butach.

— Jak długo już tu jesteśmy? — zapytała, kiedy skończyła z lewym butem.

— Jeśli można polegać na śnie, jakieś trzy, najwyżej cztery dni.

— Na kły Seta, wydaje się, że dużo dłużej!

— Możliwe, ale nie staraj się liczyć czasu. To prowadzi do szaleństwa.

— Nic nowego nie mówisz, Conanie! Byłeś już kiedyś tak długo pozbawiony słońca?

— Tak.

Ton odpowiedzi nie zachęcał do dalszych pytań, więc nie naciskała. Wiedziała, że chociaż Conan chwali się w tawernach niektórymi przygodami, to inne chce zabrać do grobu. Modliła się tylko, żeby ta podziemna pustynia nie stała się ich grobem.

Wstał i położył jej na ramionach swoje ogromne dłonie.

— Nie chodzimy w kółko, to pewne. Zaszliśmy już tak daleko, że musimy być za rzeką. Poza tym spotykamy coraz więcej korytarzy.

— Zbliżamy się do serca tego miasta?

— Tak, jeśli to jest miasto. A tam, gdzie jest serce miasta, są bogactwa i przyjemności. W dodatku tam na pewno będzie wyjście na powierzchnię!

Zdjął ręce z jej ramion, a Valeria przez chwilę miała ochotę, by tego nie robił. Zaśmiała się wyobrażając sobie, jak toczą się razem po zimnej, kamiennej podłodze, aż wpadają do strumienia, który chłodzi ich zapal.

— Jeśli w naszej sytuacji możesz się jeszcze śmiać, kobieto, to wszędzie będę cię ze sobą zabierał!

Valeria o mało nie odpowiedziała: „A ja wszędzie pójdę za tobą”. Ale te słowa byłyby nie na miejscu. Nie mogła dotrzymać takiej obietnicy. Była członkinią Czerwonego Bractwa i zbyt długo nie uznawała żadnych władców. Chyba już się to nie zmieni.

— Najpierw sprawdźmy, dokąd trzeba pójść, żeby się stąd wydostać, Conanie — mruknęła, po czym zabrała się do wiązania drugiego buta.

— Na nich!

Chabano, Najwyższy Wódz Kwanyjczyków, stał na skraju zbudowanej na drzewie platformy i krzyczał do setki wojowników. Młodszy wodzowie podnieśli ręce salutując, a wojownicy uderzyli włóczniami o tarcze.

Kwanyjscy wojownicy rzucili się na wroga. „Wrogiem” były wprawdzie poustawiane na polanie pniaki, ale i tak atak nie był pozbawiony niebezpieczeństw. Chabano o to zadbał.

Pierwszy wojownik padł, zanim jeszcze szarża dotarła do pni. Trawa zakrywająca dół usunęła mu się spod nóg. Nie spadł na szczęście na samo dno, gdzie czekał na niego zaostrzony i posmarowany gnojem kołek. Desperacko rzucił się w przód, chwycił brzegu dołu i wydostał się na wierzch. Po chwili był na nogach i doganiał towarzyszy, którzy zdążyli go zostawić daleko w tyle, w czym Chabano nie widział nic złego.

Wojownik nie był zbyt spostrzegawczy, ale nie zawiodły go ręce i nogi. Nie upuścił nawet włóczni ani tarczy, za co groziłaby mu chłosta.

Dwóch wojowników przewróciło się zaczepiwszy o przeciągnięte między pniami liany. Jeden z nich nie zdążył się podnieść, gdy jego dowódca podbiegł i mocno zdzielił go przez plecy skórą węża zwaną mboqą. Wojownik podskoczył i pokornie pobiegł dalej.

Drugi nie podniósł się w ogóle. Starając się za wszelką cenę utrzymać na nogach, walnął głową w pień. Zapewne był nieprzytomny, może nawet umierający, ale nikt o to nie dbał. Gdyby mniej myślał o wstydzie, jakim jest uderzenie mboqą, a bardziej o tym, jak bardzo potrzebny jest w walce, nie próbowałby złapać się pnia i biegłby teraz dalej.

Reszta wojowników dobiegła na drugą stronę polany w nierównym dwuszeregu. Młodszy wodzowie przejdą dziś wieczorem jedną z lżejszych prób, zdecydował Chabano.

Teraz wojownicy z furją ćwiczyli walkę włóczniami i tarczą. Rzucić małą włócznią, zahaczyć przeciwnika tarczą, co go odsłoni i przyciągnie bliżej, wreszcie rzucić w niego dużą włócznią. Wojownicy wiedzieli, że ćwiczą nie tylko po to, by zadowolić bogów, czy nawet Chabano, który był bliżej niż bogowie i dlatego należało się go bardziej bać. Ćwiczyli dla zwycięstwa, które nadejdzie, kiedy Ichiribu udostępni Kwanyjczykom Jezioro Śmierci; a także dla zwycięstwa nad każdym szczepem, który spotkają na swej drodze maszerując wdał.

Wszyscy Kwanyjczycy będą wtedy mieli pod dostatkiem niewolników i strawy, chaty godne wodzów i cześć wśród bogów i ludzi. Doceni ich też Chabano, który uczynił z nich niepokonanych wojowników i będzie im przewodził, kiedy będą jeszcze potężniejsi.

Chabano zeskoczył ze swego podwyższenia. Chociaż widział już prawie czterdzieści wiosen, miał wzrok i oddech człowieka dużo młodszego. Jego stopy, pomalowane wodzowską czerwienią, tańczyły w tumanie kurzu, kiedy kroczył ku wojownikom.

— Chwała, Chabano! — zawołali wodzowie. Wojownicy powtórzyli powitanie i uderzyli włóczniami o tarcze.

— Bardzo dobrze — powiedział Chabano. — Nie idealnie, ale tylko bogowie są idealni.

— Tak mówią Ludzie–Bogowie — krzyknął wojownik. Należało być Kwanyjczykiem, by uchwycić nutę ironii w tym okrzyku. Ludzie–Bogowie nie byli Kwanyjczykami, więc dla nich słowa te mogły nic nie znaczyć.

Dopiero jeśli jakiś wojownik kwanyjski zeszmaci się na tyle, by służyć Ludziom–Bogom, dowiedzą się, że z nich drwiono. Chabano nie wierzył, żeby którykolwiek z tych, którzy mu przysięgali, których uczył i prowadził do boju, w czasie obrzędów czy na ćwiczeniach, mógł być tak nikczemny.

Zresztą nawet gdyby któryś odwrócił się od niego, i tak Chabano będzie miał przewagę. On już znalazł oczy i uszy pośród Ludzi–Bogów, zanim oni znaleźli kogoś wśród jego wojowników.

Odległość słońca od horyzontu przypomniała mu, że ćwiczenia się skończyły, ale jego zajęcia nie. Zarzucił tarczę na plecy trzykrotnie okręcając ramię, jak każe rytuał, i oburącz przycisnął włócznię do piersi.

— Wojownicy Kwanyi! Muszę udać się na rozmowę z duchami. Dzisiejszego dnia zadowoliliście mnie. Dzisiejszej nocy zadowolicie siebie.

Oznaczało to ciężką noc dla niewolnic, być może też dla kilku pechowych wolnych kobiet. Również piwowarki stały przed trudnym zadaniem pilnowania, by pragnienie nie zwyciężyło wojowników. Pijani wojownicy potrafią zignorować fakt, że kobieta ma na głowie opaskę wolnej Kwanyjki.

— Pójdziemy za tobą tak daleko jak pozwolą bogowie — oznajmił jeden z młodszych wodzów.

Chabano nie chciał przelewać krwi, pragnął tylko nastraszyć śmiałka. Powoli opuścił włócznię, aż jej koniec wbił się w ziemię. Nie okazując najmniejszego wysiłku wcisnął drzewce głęboko na łokieć.

Nagle odrzucił tarczę, wyciągnął włócznię i złapał ją w locie. Na koniec wymierzył prosto w pierś wodza.

Tamten wiedział, że gdy tylko okaże odrobinę strachu, włócznia natychmiast przesyje go na wylot. Nawet nie próbował okazać pokory. Nie spuszczał wzroku z Chabano.

— Bogowie nakazują nam tu pozostać? — zapytał. W jego sytuacji słowa te świadczyły o wielkiej odwadze.

— Nakazują — odparł Chabano. — Wątpisz w ich słowa?

— Bogowie mówią, ale czy zawsze rozumiałe? — naciskał tamten. Chabano uznał, że taką odwagę należało nagrodzić kończąc żarty.

— Twoja mądrość przewyższa wielu znanych mi ludzi, którzy myślą, że wieści od bogów mają tylko jedno znaczenie.

To też było szyderstwo z Ludzi–Bogów, które mogło zagrozić nawet Chabano, gdyby dotarło do ich uszu. Lecz on nie dbał o to.

— Kiedy bogowie zechcą, bym zginął, dostaną mnie, choćby wszyscy Kwanyjczycy byli ze mną. Jeśli postanowią mnie ocalić, mogę chodzić gdzie zechcą. Idźcie i znajdźcie sobie lepsze towarzystwo niż to, którym ja będę musiał się cieszyć!

Wojownicy spoglądali po sobie z uśmiechem, słysząc, jak zuchwale wódz ośmiela się szydzić nie tylko z Ludzi–Bogów, ale i z samych bogów. Potem rzucili włócznie, wydali wojenny okrzyk i poszli w dżunglę.

Chabano zaczął, aż ostatni zniknie wśród drzew i skierował się na swoją ścieżkę. Jeszcze raz zatrzymał się i nasłuchiwał z ukrycia. Chciał być zupełnie pewny, że będzie nią szedł sam. Nie zamierzał rozmawiać z duchami; jego oczy i uszy wśród Ludzi–Bogów mówiły mu więcej niż kiedykolwiek powiedziały duchy.

Conanowi wydało się, że usłyszał coś za sobą. Cofnął się, szukając miejsca, z którego mógłby niepostrzeżenie obserwować korytarz, ale nie znalazł nawet załomka, za którym zmieściłaby się mysz. Przywarł płasko do ściany i stał cicho jak kot czający się na ofiarę.

Usłyszał, że Valeria daje mu znaki uderzając ręką sztyletu o kamienną ścianę. Wysłuchał się i zrozumiał: „Nie ma niebezpieczeństwa, ale przyjdź najszybciej jak możesz”. Dla każdego prócz nich dwojga te dźwięki brzmiałyby jak przypadkowe stukanie, jakie można usłyszeć w tych straszliwych głębinach nawet bez obecności ludzi.

Conan poczekał jeszcze tyle czasu, ile doświadczonej tancerce z tawerny zajmuje zrzucenie odzienia, podczas gdy widownia z zapalem nagradza srebrnymi monetami każdy jedwabny łaszek. W końcu

uznał, że miasto umarłych znowu oszukało uszy wytrawnego wojownika.

Kiedy kocim krokiem dogonił Valerię, nie przestraszyła się. Jej słuch bardzo wyostrzył się od czasu, gdy zeszli do podziemi. Wskazała mu tylko dalszą część tunelu. Gest był bardziej wymowny niż słowa. Jakieś sto kroków przed nimi światło stawało się zielone.

Oboje wyglądali jak polujący myśliwi, kiedy tak skradali się po obu stronach korytarza. W rękach trzymali broń, kroki stawiali ostrożnie, jakby stąpali po rozbitych szklach albo śpiących wężach.

Doszli do zakrętu, przy którym światło zmieniało kolor, i wyjrzeli ostrożnie. Przez chwilę Conanowi zdawało się, że naprawdę obudzili śpiącego węża — gada, z jakim walczył już tyle razy, że nie chciał znów go spotykać. Ale przekonał się, że to tylko złudzenie. Choć wąż wyglądał jak żywy, był to tylko jego szkielet. Leżał rozciągnięty na dwadzieścia kroków, licząc od zębatej czaszki do cienkich kostek ogona.

Conana zmyliło światło, które zalewało grootę. Zdawało się wznosić jak dym ze stosu zielonych kamieni leżących w utworzonym przez szkielet okręgu. Masa ognistych kamieni, większa niż Conan mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić.

W Czarnych Królestwach słyszał legendy o Miejscu Gdzie Umierają Słonie. Tam podobno te wielkie szare zwierzęta szły dokonać żywota. W takich miejscach leżało dość kości słoniowej, by kupić sobie królestwo. Czekają tylko na zuchwałego śmiałka, który się o nią potknie.

Nigdy nie słyszał takiej opowieści o Złotych Wężach. Więcej, nie słyszał o nikim, kto by widział całego Złotego Węża, nie tylko jego ogniste oczy. Mówiono jednak, że te oczy nie są zrobione z ognistych kamieni. A oto okazało się, że rację mieli ci, którzy opowiadali coś zupełnie innego. W czaszce wielkiej jak końska migotały dwa ogromne zielone ślepia. Ich światło było identyczne jak tych kamieni w okręgu.

Conan bezgłośnie wypuścił powietrze i ruszył naprzód. W zupełnej ciszy podszedł do szkieletu, ukląkł i przyjrzał się oczom.

Zrozumiał, dlaczego z jednego Złotego Węża wydobywało się tak dużo ognistych kamieni. Każde oko, wielkości półmiska, składało się z kopy mniejszych kamyków. Niektóre były małe jak żołądźce, inne wielkie jak bossonijskie jabłka cydrowe. Całość jarzyła się niezwykłym światłem.

Odkrył też, dlaczego to światło nie miało w sobie nic naturalnego. Żadne normalne stworzenie nie miało takich oczu; Złote Węże były dziełem czarowników. Czy tych samych, którzy zbudowali ten kamienny labirynt, w którym być może spędzi z Valerią resztę swoich dni? Możliwe. Jeśli tak, to pewnie dawno nie żyli, podobnie jak ich dzieło.

Conan zrozumiał jednak, że nie powinien na to liczyć, Wiatr, chłodny jak najzimniejszy wiatr Cymerii, owiał jego plecy, gdy dostrzegł, że resztki mięsa pokrywają jeszcze żebra węża. Złote łuski jeszcze nie całkiem odpadły, a z całości unosił się lekki odór zgnilizny.

Gdyby stwór nie żył od czasów, kiedy powstało to miasto, jego kości byłyby czyste. To stworzenie

żyło jeszcze, kiedy Conan chodził po ziemi, może nawet wtedy, kiedy walczył i hulał wraz z barachańskimi piratami.

Kiwnął na Valerię i przesunął się do miejsca, z którego dobrze widział w obu kierunkach. Czekał z obnażonym mieczem, aż Valeria obejrzy kości i dojdzie do tego samego wniosku co on.

Oczy i uszy Chabano służyły mu jak dwudziestolatkowi. Nie potrzebował ich ostrzeżenia, że nadchodzi jego szpieg, Ryku. On jak dziecko nie dbał o to, czy go ktoś widzi lub słyszy. Był najwyższy wśród Młodszych Ludzi–Bogów, Cichych Braci, ale w puszczy nie potrafił zachowywać się cicho.

Chabano miał trochę czasu przed spotkaniem, więc wdrapał się na gałąź nad szlakiem. Kiedy młody Człowiek–Bóg wreszcie się pojawił, tupiąc jak guziec w kukurydzy, Chabano złapał tarczę oraz włócznię i zeskoczył na krótkiej lianie ze swojej kryjówki. Szpieg bezsilnie podniósł ręce, widząc lecącego na niego prosto z nieba Chabano. Potem przywarł do omszałego drzewa i jął rzucać ciche zaklęcia.

— Przeszań — nakazał Chabano. Podłożył mu grot włóczni pod brodę i delikatnie podniósł ją zamykając mu usta. — Może myślisz, że usłyszą cię bogowie, a twoi mistrzowie nie? — dodał. — Szedłeś, jakbyś nie bał się żadnego człowieka.

— Bo się nie boję — odparł Ryku. — Jestem w kraju przyjaciół.

Chabano zaśmiał się drwiąco, czego nie mogła znieść duma Ryku, ale nie zabrał włóczni. Zanim skończył się śmiać, na brodzie chłopaka pojawiła się kropelka krwi.

— Czy przyjaźń to tylko żart? — zapytał Ryku. Stał nie próbując wytrzeć krwi. Napotkał wzrok Chabano.

Wódz uznał — już drugi raz dzisiejszego dnia — że okazano mu odwagę, która zasługuje na nagrodę.

— Nie. Ale nie każdy Kwanyjczyk jest ci przyjacielem. Gdyby wiedzieli, po co przyszedłeś...

— Kto mógłby im powiedzieć?

— Ty sam, gdyby ktoś rozgrzał włócznię i przyłożył ci ją do odpowiedniej części ciała, żeby pozbawić cię męskości, albo wzroku — odpowiedział Chabano. — Nie zaprzeczaj.

— Nie zaprzeczam — bąknął zdezorientowany Ryku.

— Właśnie! Więc nie tup jak słoń, kiedy przychodzisz na nasze spotkania. Jeśli ty nie masz wrogów, to mam ich ja. Mogą za tobą pójść.

— Jak sobie życzysz. — Ryku mówił teraz wyzywającym tonem. — Można by pomyśleć, że w kraju są ci, którzy obalili Xuchotl, a nie twoi wojownicy.

— Być może są. Czy twoi mistrzowie wiedzą coś na ten temat?

— Przeszedłem, by ci powiedzieć, że nic nie wiedzą. Nie są nawet pewni, jakie czary doprowadziły do upadku Zaklętego Miasta.

Chabano uważał, że najpewniej zaklęcia samych mieszkańców przyczyniły się do ich zguby, a nie magiczne siły jakiegoś przybysza. Jeżeli pozabijali się nawzajem i oczyścili miasto ze swoich paskudnych, bezużytecznych istnień, tym lepiej. Zbyt długo się mnożyli, całkiem bez celu. Zostawili po sobie wspaniałe miasto, z którego będzie można rządzić tymi ziemiami, kiedy Kwanyjczycy skończą ze swymi wrogami.

Nie mógł się teraz delectować tym marzeniem. Nie w obecności Ryku, który miał rangę Cichego Brata, ale tyle dumy Ludzi–Bogów, że nie należało jej urażać bez przyczyny.

— Zatem czego Ludzie–Bogowie chcą od Kwanyjczyków?

— Kto powiedział, że czegoś chcą?

— Ja, Najwyższy Wódz Kwanyjczyków, tak mówię. Od kiedy przychodzisz do mnie nie przynosząc ich życzeń? Obojętnie, czy za ich wiedzą, czy nie.

— Najwyższy Kapłan chciałby dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz o upadku Xuchotl — powiedział Ryku. — Chce też, aby powróciła niewolnica złapana przez Ichiribu w czasie nocnego wypadu.

To drugie życzenie było nowością.

— Nic więcej?

— To zadowoli Najwyższego Kapłana. Chabano zaśmiał się szorstko.

— Powiedziałbym, że dziewczka w jej wieku jest więcej niż odpowiednia dla takiego starucha. Czego od niej chce?

Ryku miał dość odwagi, żeby rzucić Chabano wyzywające spojrzenie, choć wielu za to ginęło.

— Czyż nie wiesz, jak to jest, gdy mężczyzna ma swoją kobietę? Opowiem ci piękną historię o wielkim wodzu Kwanyjczyków, który...

— ...wycisnął mózg z Człowieka–Boga, co miał za długi język — dokończył Chabano i odwzajemnił spojrzenie. Ryku zamilkł.

— Zobaczą co można zrobić, by zachowując ostrożność odbić dziewczynę. Znajdę ludzi, którzy to zrobią. Chyba w to nie wątpisz.

— Nie wątpię — rzekł Ryku. Był na tyle ostrożny, by nie obiecywać nic swoim panom, którzy nie wiedzieli o jego podwójnej roli.

— A co wiesz o losie Xuchotl?

— Właściwie nic — odparł Chabano. — Odnaleźć tych, którzy władają wielką magią, to jakby kazać wężowi upolować lamparta. Tylko przy wielkim szczęściu uda mi się zdobyć coś ważnego.

Gesty i wyraz twarzy Ryku powiedziały Chabano, że nic się nie zmieniło. Ludzie–Bogowie nie użyczą swej mocy Kwanyjczykowi, nawet po to, by szukał przyczyny upadku Xuchotl. Wolą pozostać w niewiedzy niż zaryzykować oddanie innym swej mądrości.

To różniło Najwyższego Kapłana Żywego Wiatru i Najwyższego Wodza Kwanyjczyków. Chabano oddał wiele, by zdobyć wiedzę, a oddałby jeszcze więcej. Była też inna różnica. Wódz wiedział, że Ludzie–Bogowie użyliby czarów pogromców Xuchotl nawet przeciw Kwanyjczykom. Jeśli zdoła, nie pozwoli im zdobyć mocy, która zgubi jego lud.

Ryku odbył pożegnalny rytuał myśliwego i wodza, po czym odszedł. Słyszeć go było jeszcze haniebnie długo, ale przynajmniej próbował iść ciszej.

Valeria klęczała przy szkielecie i jarzącym się stosie ognistych kamieni. Gdy zobaczyła to, co zauważył przed nią Conan, podniosła się. Zdawało się jej, że każdy ruch, każdy oddech wzbudzał głośne echo, które mogło zwabić to, co czaiło się w głębi tego koszmarnego tunelu.

Chciała coś powiedzieć, ale kiedy otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wreszcie wzięła głęboki wdech, uznała, że najwyższy czas przestać się bać, i głośno się roześmiała.

— Więc w końcu Złote Węże nie są legendą? Ta bestia straciła łuski całkiem niedawno, wszystko można wyczytać z jej wyglądu.

Conan skinął głową.

— Myślę sobie, że leży tu nie dłużej niż ten stwór, którego ścierwo znaleźliśmy w pieczarze pod grzybami.

— Wolałabym, żebyś nie miał racji — westchnęła Valeria. — Och, żeby tak mieć kawałek tego grzyba! To byłby bankiet. — Popatrzyła na Cymeryjczyka. — Na co się tak gapisz? Na kształt mojego brzucha, od trzech dni pustego?

Cymeryjczyk uśmiechnął się.

— Jakoś nie przejęłaś się faktem, że dzielimy te tunele ze Złotymi Wężami.

Valeria mrugnęła i uświadomiła sobie, że do oczu napłynęło jej coś wilgotnego. Odwróciła się, a Conan pozwolił jej tak stać, aż odzyska panowanie nad sobą.

— A co mam robić? — powiedziała wreszcie. — Jak w każdej ciężkiej próbie, można albo oszaleć, albo się śmiać. Ja będę się śmiała, jeśli ci to nie przeszkadza.

Conan ryknął takim śmiechem, że spadło kilka kamieni ze stosu. Ucałował ją w oba policzki, potem w usta. Na koniec dał lekkiego klapsa w pupę.

— Będę musiał postawić butelkę temu pryszczatemu kapitanowi, kiedy go następnym razem zobaczę. Przecież gdyby nie zmusił cię do ucieczki, nie zdobyłbym sobie takiego przyjaciela.

— Nie wiadomo, nie wiadomo. Co do mnie, to wolałabym pływać z bagiennym diabłem. — Usiadła na podłodze i zdjęła buty.

— Co to ma znaczyć?

— Conanie, może to ostatni taki skład ognistych kamieni. Zapomniałeś, że należę do Czerwonego Bractwa? Dobrzy piraci nie zostawiają takiego łupu!

Conan zaśmiał się krótko i dołączył do niej. Ogniste kamienie były dość lekkie, tak że nasypane do czubków butów nie ciążyły im zbytnio.

Tkwi w nich zapewne ta sama magia, co rządziła w Xuchotl. Być może przyciągną inne Złote Węże, które będą chciały pomścić kradzież skarbów martwego pobratymca. Valerii to nie obchodziło. Czająca się wokół magia zabije ją i Conana... albo nie zabije. O tym zdecyduje przeznaczenie. Trzeba przestać się bać.

A Złote Węże? Niech przyjdą! Za dzień, dwa da radę nadzieć takiego na miecz, a potem zjeść na surowo!

VI

— Conanie — szepnęła Valeria — czuję smażony tłuszcz. Albo już całkiem zwariowałam.

Conan pociągnął nosem. Według niego powietrze było bardziej wilgotne i cuchnące niż poprzednio. Przeszli już, jak oceniał, pół mili w tej brudnej wodzie, która jednocześnie wypływała spod spodu i skapywała ze sklepienia. Być może znajdowali się pod rzeką albo pod jeziorem.

Miejscami woda była tak płytka, że kamienne podłoże pokrywała tylko cienka warstewka szlamu, zdradliwa nawet dla dwojga zwinnych wojowników. Gdzie indziej woda sięgała im do kostek lub nawet do kolan. Po przejściu przez pierwszą płyciznę Valeria zarzuciła buty na szyję. Postura Cymeryjczyka pozwalała mu nieść swój skarb przytroczony do pasa. Nie potrzebowali butów do ochrony stóp, których spody były twarde jak podeszwy. Woleli iść bosy, mogli wtedy palcami wyczuwać niebezpieczne miejsca.

Kiedy woda podchodziła im do kolan, wyglądała jak gęsta zupa ze strzępów roślin i zwierząt, których czary nie zdołały utrzymać przy życiu. W powietrzu unosił się okrutny smród, który nawet zahartowanego Cymeryjczyka zmusił do obwiązania ust i nosa.

Conan chciałby wiedzieć, jaki to stwór zaatakował Valerię, kiedy wchodziła do szybu. Czy żył w wodzie? Może właśnie zbliżali się do legowiska innych takich jak on? Stał przydaje się na atak większości potworów, ale jeśli woda zrobi się głębsza, szermierka stanie się żałośnie powolna. Bogowie tylko wiedzą, jak w tym gnoju używać mieczy.

Conan jeszcze raz pociągnął nosem.

— Nie, jeszcze nie oszalałaś. Ja też coś czuję. Założę się, że to tłuszcz rybi.

— O co możesz się założyć, Cymeryjczyku?

— Nie o tyle co ty, ale...

Valeria wyciągnęła rękę i wskazała przed siebie.

— Czy ja widzę schody?

Conan popatrzył za jej ręką.

— Jeśli nie, to chyba wzrok mnie zawodzi.

Valeria zmarszczyła nos.

— Tu się robi ciemniej. — Nawet jej nie starczyłoby odwagi, gdyby przyszło wędrować po ciemku. Chociaż to światło było magiczne, zawdzięczali mu życie.

— Tym bardziej powinniśmy wejść na schody.

Zanim do nich doszli, woda sięgała Valerii do pasa. Brnęli przez szlam, tłuste poskręcane wstęgi jakiegoś paskudztwa pływały ze wszystkich stron. Conan starał się trzymać miecz i sztylet z dala od wody. Był gotów bronić się na najmniejszy znak obecności czegoś obcego.

Nic prócz nieczystości i fetoru im nie przeszkadzało. Byli jednak czarni od pasa w dół, kiedy dotarli do suchego miejsca. Conan wdrapał się na kilka stopni, aż doszedł do miejsca, gdzie w poprzek schodów leżał głaz, który osunął się z pękniętej ściany. Musiał położyć się płasko na schodach, by się jakoś przeczłgać. Dziesięć kroków dalej poczuł się ogromnie zmęczony, ale to, co zobaczył po drugiej stronie, uradowało jego serce.

Schody wznosiły się spiralą w mrok, cuchnący rybim tranem, łojem i palonym ziarnem. W kilku miejscach zawaliły się i dawały bardzo niepewne oparcie, nawet przy świetle dziennym. Wreszcie dochodziły do pionowego komina, w którym trzeba by się było wspinać zapierając nogi o jedną ścianę, a plecy o drugą.

Wysoko w górze, jak samotna gwiazda migocząca w deszczową noc, świeciło słabiutkie żółte światło. Ogień, zwykły, prawdziwy ogień. Nie magiczny. To zdradzało obecność ludzi.

Tyle tylko, że Conan był o włos za szeroki, żeby przecisnąć się dalej obok głazu i rozpocząć

wspinaczkę. Nawet on nie miał dość siły, by go przesunąć, zresztą próbując mógł obruszyć inne kamienie.

Było jeszcze jedno wyjście, albo przynajmniej nadzieja. Dzięki, Mitro! Obmacując drugą stronę Conan natrafił na kałużę zakrzepniętego sadła. Najwyraźniej kapalo z góry, gdzie ogień trzaskał wesoło. To musiało być kuchenne palenisko.

Conan zaczął się cofać. Przez chwilę poczuł lęk, że się zaklinował, ale Valeria pociągnęła go za nogi. Jej siła bardzo pomogła Conan wysunął się, odkrztusił z gardła kurz i wstał.

— Ty musisz iść pierwsza. Przeciśniesz się i podasz mi całe sadło, które tam znajdziesz.

— Sadło?

— Ktoś od lat gotuje tam na górze. Sadło pewnie skapuje aż tu...

— Sadło?

— Kobieto, jak będę chciał usłyszeć swoje echo, to krzyknę! Idź i sama zobacz, jeśli mi nie wierzysz.

Valeria potrząsnęła głową, w końcu się uśmiechnęła.

— Właściwie dlaczego mnie to zaskakuje? To najbardziej szalona wyprawa, na jakiej byłam. Będę zawiedziona, jeśli coś się zmieni.

Conan zatrzymał dla siebie myśl, że ta wyprawa pewnie daleki była od zakończenia. Być może nie wyszli jeszcze z dżungli, może nawet nie przekroczyli granicy Czarnych Królestw, gdzie imię Amra miało sporą wagę. Ludzie tam na górze mogą być przyjaźni i gościnni, a mogą też przywitać ich włóczniami lub ogniem. Na tych ziemiach mieszkało pewnie mniej ludożerców, niż opowiadano, ale i tych by wystarczyło.

— Nie stójmy tu jak para iskających się małp. Naprzód!

Valeria wbiegła po schodach i znikła. Conan znalazł na podłodze przy głazie tylko jej koszulę i buty. Jej samej nigdzie nie było widać, za to zza skały dobiegły go takie dźwięki, jakby ktoś wstrzymywał wymioty.

— Naprawdę chcesz się tym wysmarować? — zawołała do niego Valeria.

— A widzisz jakieś wonne olejki w pobliżu?

— Głupie pytanie... — wymamrotała Valeria. Conan zobaczył ją nagą i bladą w ciemności, jak kłęcząc smarowała sadłem skałę w najwęższym miejscu przesmyku. Kiedy skończyła, cisnęła parę garści tłuszczu Cymeryjczykowi.

Cuchnęło to jak kuchenne odpadki, a gdy Conan dotknął podejrzanej mazi, po plecach przeszły mu

ciarki. Jednak energicznie zabrał się za rozsmarowywanie sadła po skórze.

— A co zrobimy, jeżeli i tak się nie przeciśniesz? — zapytała Valeria.

— Wtedy sama pójdziesz na górę i poprosisz tych ludzi, żeby tu zesli i poszerzyli przejście... Brakuje mi nie więcej miejsca niż na szerokość palca, nie sprawi im to kłopotu.

Cymeryjczyk przerzucił przez szczelinę broń i ubranie, położył się i zaczął czołgać. Tłuszcz pomógł. Prawie udało mu się precyzyjnie, zanim na dobre się zaklinował. Valeria złapała go za rękę i ciągnęła z całej siły, ale nie ruszył się z miejsca.

Zaczął szukać stopami jakiegoś mocnego oparcia, które pozwoliłoby mu spożytkować siłę nóg. Jedna stopa kopala bezradnie powietrze, ale druga natrafiła na ścianę. Conan skoncentrował w tej nodze całą swoją siłę, aż poczuł, że się przesuwa, choć skała zdiera mu skórę z ramion i pleców. Potem poruszył się też głaz.

Jeśli przedtem zebrał wszystkie siły, to teraz dodał jeszcze trochę. Wił się w wąskiej szparze ignorując ból mięśni i trzeszczenie kości. Część skóry zostawiał na kamieniach; wydawało mu się, że płuca ma wypełnione rozpalonym piachem. Z trudem złapał kolejny oddech, by móc dalej walczyć.

Na szczęście głaz nie osunął się i nie zmiażdżył go. Leżał chwilę nieruchomo, po czym uniósł się i poszerzył przesmyk jeszcze odrobinę.

Conanowi wydawało się, że słyszy, jak Valeria szepce jakąś modlitwę... a może przysięgę. Jeszcze raz jej długie palce chwyciły mocno jego dłoń i pociągnęły z całej siły.

Jeszcze przez chwilę skały trzymały Conana. Nie był pewien, co stanie się najpierw — wydostanie się z pułapki, czy ręce wyskoczą mu ze stawów. Wreszcie minimalne poszerzenie przesmyku, tłuszcz na kamieniach i na skórze, jego siła i nadludzki wysiłek Valerii, wszystko razem dało rezultaty — wyskoczył jak z katapulty na drugą stronę głazu.

Wylądował na Valerii i chwilę trwało, zanim oboje oprzytomnieli na tyle, żeby to zauważyć. Ale nawet wtedy Valeria nie zaprotestowała. Uśmiechnęła się tylko i zarzuciła mu rękę na szyję.

Odwzajemnił uśmiech i zsunął się na bok; leżał chwilę dysząc ciężko i w końcu wstał. Czuł się jak po walce ze Złotym Wężem. Skórę miał w wielu miejscach pościeraną do krwi, a mięśnie i stawy zupełnie wyczerpane. Rany paliły go wszędzie tam, gdzie zetknął się z brudem korytarza. Ogólnie czuł się mniej więcej tak, jak Podczas dawnych ucieczek z niewoli. Wtedy też nie przeszkadzał mu ból, bo czuł się wolny. Ten zaczarowany labirynt wraz ze swoimi potworami o mało ich nie wykończył; niewiele brakowało, by w którymś z tuneli znaleźli swój grób. Ale to mieli już za sobą. Nawet jeśli dalej czekała ich walka i śmierć.

Conan uznał, że wszystkie członki ma na miejscu i zdolne do działania. Ubrał się i zawiesił na szyi buty, jak Valeria.

Ona tymczasem leżała z głową wspartą na łokciu i przyglądała mu się z rozbawieniem. Conan też popatrzył na nią drwiąco, ponieważ nie przywdziała jeszcze swojej jedynej szmatki.

— Czy już skończyłaś patrzeć na mnie jak kupujący na osła? — zapytał w końcu.

— Kazałabym cię wykapać, zanim bym cię kupiła — odparła. Pociągnęła nosem. — Albo sparzyć wrzątkiem.

— Sama mogłabyś przegnać kozła na cztery wiatry — powiedział Conan. — Wstawaj, kobieto. Jeszcze nie skończyliśmy — dodał podając jej rękę.

Widział teraz jeszcze przynajmniej dwa tunele wychodzące z komnaty. Magiczne światło słabo oświetlało jeden z nich. Drugi był ciemny i sięgał Conanowi do pasa. Skała u jego wejścia wyglądała dziwnie, jak wyżarta kwasami, którymi podobno płatnerze z Khitaju wytrawiali zmysłne wzory na swoich wspaniałych ostrzach.

Kiedy Conan pomyślał o wyżerających kamień kwasach, przypomniał sobie, jak coś dotknęło kostki Valerii, zostawiając na niej brzydki ślad. Cały czas go miała, teraz pokryty warstwą szlamu. Może ta sama istota wydrążyła ten tunel. Stanowczo ani on, ani Valeria nie zaznają spokoju, dopóki znów nie staną w słońcu.

Seyganko pierwszy raz uznał, że coś jest nie w porządku, kiedy Emwaya potknęła się. Tańczyła na środku jego chaty jakiś szybki, skomplikowany taniec, jej stopy zdawały się lekko trącać ziemię. Nawet bystry wzrok wojownika nie nadążał za tymi ruchami.

Podskoczyła... ale zamiast wylądować lekko na palcach, upadła. Narzeczony zerwał się, żeby pomóc jej wstać; odtrąciła go i klęczała dalej. Po chwili rozciągnęła się na wysłanej trzcina podłodze.

Seyganko jeszcze raz podszedł, chcąc ją podnieść, ale ona znów odepchnęła jego rękę. Potem przekreśliła na bok głowę, tak że uchem dotykała ziemi, i wyciągnęła ręce. Jej palce wykonywały ruchy, które Seyganko znał z rytualnych rozmów z duchami.

Emwaya nie wyglądała na chorą czy zranioną. Lecz jej zachowanie oznaczało, że w głębinach świata duchów wyczuła jakieś zagrożenie dla Ichiribu. Seyganko złapał maczugę i zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od włóczni, chociaż rozsądek podpowiadał mu, że marne drewno i żelazo niewiele mogą zdziałać przeciw takim siłom, z jakimi zmagala się Emwaya.

Wreszcie wstała otrzepując z piersi trzcinę. Pozwoliła mu się podtrzymać i doprowadzić do maty. Kiedy usiadła, nalał jej piwa z dzbana. Nie piła jednak; siedziała trzymając w dłoni drewniany kubek i oblizywała usta patrząc w dal.

— Z dołu — powiedziała wreszcie. — To nadchodzi z dołu.

— Co nadchodzi?

— Nigdy nie słyszałeś o Kamiennym Mieście?

— Mówisz o tej legendzie?

— Zaczynam myśleć, że to nie jest legenda. To miasto może leżeć dokładnie pod wioską, pełne duchów z czasów, kiedy ludzie nie byli ludźmi.

— Ale przecież nie jesteś pewna... — przeszła mu ochota do żartów, kiedy zobaczył, jak twarz Emwayi kamienieje.

— Coś poruszyło duchy. Nie mogę powiedzieć, które dokładnie, ale czuję, że Ichiribu grozi niebezpieczeństwo.

— Zwołam fandę — powiedział szybko Seyganko. Fanda składała się z sześciu wojowników z każdego klanu, którzy na zmianę czuwali uzbrojeni, pomalowani i gotowi do walki. Seyganko na ogół się nie malował; jego wojenne szczęście było wręcz przysłowiowe, więc nie potrzebował dodatkowych ozdób... chyba że w wielkich bitwach.

— Wyślij posłańca — poleciła Emwaya. — Musisz zostać tu, aż cię pomaluję.

— Trzeba się spieszyć, nie ma czasu na malowanie.

— Nie wtedy, jeśli za wroga mamy nieznane duchy.

— Jeśli nadchodzą duchy, to bardziej możesz się przydać ty i twój ojciec niż fanda.

— Będziemy niedługo potrzebni, ale fanda też ma swoje zadanie. Muszą dodawać ludziom otuchy, nie pozwolić, by wpadli w panikę, a także uważać na złodziei, których mogą kusić zostawione bez opieki chaty.

— Może ja zajmę się twoją pracą, a ty moją, skoro tak dobrze się na tym znasz.

Emwaya czuła się dotknięta; rzadko to okazywała, nawet kiedy żałowała, że użyła swego ciętego języka. Teraz kurczowo przylgnęła do narzeczonego. — Obawiam się, że każde z nas ma swoje obowiązki. Masz tu swoją wojenną farbę?

— Tak. Zamierzasz pomalować mnie całego?

Emwaya spuściła wzrok.

— Całego. Lecz nie licz na to, że znajdziemy czas...

Seyganko wyszczerzył zęby i zaczął rozwiązywać swoją przepaskę. Pełny rytuał wojennego malowania wymagał, by również łono i męskość wojownika zostały pokryte farbą. Dawniej, kiedy Emwaya go malowała, kończyło się to wielką uciechą dla obojga. Coś mu jednak mówiło, że teraz tak nie będzie. Emwaya opowiadała o duchach, jakich nigdy jeszcze nie spotkała. Seyganko nie wątpił, że mówiła prawdę.

— Poczekaj, Conanie. Ześlizguje mi się ręka!

Valeria poczuła, jak potężne ramiona Cymeryjczyka naprężają się pod jej stopami. Mogła teraz oderwać jedną rękę i bezpiecznie poszukać nowego punktu zaczepienia. Skała zrobiła się śliska od krwi, która ciekła z ręki zranionej w miejscu, którego przedtem dosięgła.

Wreszcie znalazłam to, czego szukałam, pomyślała. Wiele lat machania mieczem i wspinania się po okrętowym takielunku dało jej rękom więcej siły niż zwykle ma kobieta. Póki miała się czego mocno chwycić, nie musiała się bać, że spadnie.

Dobrze oceniła tę szczelinę w skale, ale zanim wdrapała się na półkę, ociekała potem. Dziesiąty raz, od czasu gdy zaczęli wspinaczkę, musiała odgarnąć z oczu włosy. Starła się jak najpewniej usiąść na pokruszonych kamieniach. Miała przed sobą już tylko komin, który oboje łatwo mogli pokonać, a potem zaczynały się solidne schody.

Oddarła pasek z koszuli i związała nim włosy. Z koszuli został właściwie tylko wystrzępiony kawałek szmaty obwiązany wokół bioder. Jednak już nie dbała o swoje ubranie, byle tylko miała pas, za którym tkwił miecz.

Gdy Conan uwolnił ramiona, podał jej swoje buty i broń, po czym podskoczył i mocno chwycił się brzegu półki, jednocześnie zaczepiając stopami o skałę. Po chwili siedział już na półce obok Valerii.

— Wygodniej byłoby powiązać to wszystko jakimś sznurkiem — zauważył wskazując poobijaną i brudną ręką na ich skąpe wyposażenie i buty, po cholewki wypełnione bogactwem. — Potem moglibyśmy wciągać je na linie.

— Z mojego ubrania nie da się zrobić nawet sznurka — odpowiedziała Valeria. — Oczywiście mógłbyś poświęcić resztę swoich portek.

— Albo możemy zostawić...

Valeria jedną ręką przezornie objęła swoje buty, a drugą położyła na rękojeści sztyletu. Conan cofnął się w udanym strachu.

— Na Erlika, kobieto, nie znasz się na żartach?

— Znam się na dobrych żartach. Ale wątpię, żeby to był dobry dowcip.

Conan wzruszył ramionami i nic więcej nie powiedział. Valeria miała nadzieję, że wiedział, co ona naprawdę myśli — że gdyby chodziło o życie, zostawiłaby bez wahania te kamienie. Martwy pirat nie ma pożytku z łupu, to prawda; ale ona jeszcze nie była martwa. Gardło miała zaschnięte z pragnienia, brzuch pusty, była brudna i prawie naga, z dala od domu i spokoju — ale na pewno żywa.

Wtem w górze usłyszeli dźwięk, znany każdemu, kto podróżował na południe, choć trochę dziwny w tym otoczeniu. W pobliżu ogniska ktoś bił w bęben wojenny. Gdy dołączył do niego następny, ciepłe światło ogniska zgasło i podróżników ogarnął mrok.

Bęben zaczął wzywać Ichiribu z Wielkiej Wioski. Dołączył się drugi, trzeci...

Seyganko stał przy palenisku, a kucharki wylewały garnki, tykwy i dzbany wody na ogień. Robiły to patrząc na niego z niezadowoleniem. Nie tylko dlatego, że przy gaszeniu kuchennego ognia można się było mocno pobrudzić; był to także zły omen. Kobiety obawiały się duchów... ale i tego, co ich krewni powiedzą na zimne posiłki.

Na szczęście bały się też Seyganko i wojowników z fandy, więc były posłuszne. A może bały się Emwayi? Stała na skraju zagrody kuchennej z rękami skrzyżowanymi na piersiach i kamiennym obliczem. Od czasu, kiedy potknęła się w tańcu, nie zmieniła wyrazu twarzy. Wyglądała jak zły duch. To ona powiedziała Seyganko, że kuchnia jest centrum zła. Mieliby sporo kłopotów, gdyby ta wiadomość doprowadziła mieszkańców wioski do paniki, której się tak obawali, a Seyganko przysporzyłoby to nowych wrogów.

Sądysz więc, że niepotrzebnie obawiamy się nieznanym duchów?

Seyganko usłyszał w myślach to pytanie, ale tylko potrząsnął głową. Nie chciał odpowiadać myślą, kiedy tylu ludzi mogło nagle odwrócić jego uwagę. Aondo był między nimi.

Aondo był wojownikiem fandy, a przy nim stał jeszcze inny... jakże on się nazywa? Aha, Szybki Wobeku, ten, który brał udział w wypadku Seyganko i razem z nim pojmał kwanyjskich więźniów, którzy przynieśli te złe wieści. Był najszybszym biegaczem wśród Ichiribu i bliskim przyjacielem Aondo.

Dziś Wobeku nie biegał. Stał teraz, rozstawiwszy długie nogi, a Seyganko wydało się, że rozgląda się dookoła uważniej niż powinien. Raz patrzył na Seyganko, to znów na palenisko — zwłaszcza na jego dolną część, gdzie zaczynał się kanał, którym wlewano stopiony tłuszcz, by karmić duchy — to znów na Emwayę. Nie można się dziwić, że Seyganko zastanawiał się, czego Wobeku szuka.

W tej chwili uświadomił sobie, że zachowuje się tak samo podejrzliwie jak przedtem Emwaya. Mimo to... Ostrzegłaś ojca?

Ojciec nie potrzebuje ostrzeżeń. Wie, co robią duchy, tak samo jak wie, co robi każdy z jego ludzi.

W odpowiedzi Seyganko szeroko się uśmiechnął. Potem przywołał Wobeku.

— Posłaniec pobiegł do szamana Dobanpu, ale nie jest tak szybki jak ty. Czy zanieziesz następną wiadomość?

Uśmiech Wobeku, posłuszny i radosny, miał maskować niezadowolenie, które dostrzegłoby nawet dziecko. Seyganko nie odwzajemnił uśmiechu. Wobeku coś planował... i dlatego wolałby tu pozostać. Oczywiście nie musiało to być coś niegodziwego.

Taką cenę płacił Seyganko za tytuł Czcigodnego wśród wojowników Ichiribu. Musiał ryzykować zdradę, byleby tylko nie oskarżyć bez potrzeby lojalnych wojowników. Było to jego świętym

obowiązkiem. Duchy razem z krewnymi niesłusznie posądzonego mogłyby się na nim zemścić.

— To dobrze. Emwaya, córka Dobanpu, powie ci, co masz przekazać.

Wiadomość była krótka — ale nie na tyle, by wzbudzić podejrzenie Wobeku. Seyganko zobaczył, jak posłaniec kiwa głową, zdejmując buty i cały rynsztunek prócz pióropusza i przepaski na biodra i rusza. Jego wymalowane ciało szybko rozplynęło się wśród cieni chat. Nim bębny przestały grać, całkiem zniknął za bramą wioski.

Do tego czasu w zagrodzie pozostali jedynie fanda, Seyganko i Emwaya. Dzieci podglądały ich przez szpary w ścianach sąsiednich chat. Były tak ciekawe, że nie przestraszyłyby się, gdyby z ziemi zaczęły wylazić duchy w kształcie węży. Jeszcze więcej dzieciaków siedziało przycupniętych na drzewach i palisadzie. Seyganko słyszał wołania ich matek.

Po chwili wszystkie inne dźwięki zagłuszyło narastające dudnienie dochodzące z głębi ziemi. Wszystko się zatrzęsało, a palenisko, które stało tu od pięciu pokoleń, zaczęło się rozsypywać.

Nawet oko Conana nie od razu przyzwyczało się do zapadłych nagle ciemności. Przez chwilę słyszał tylko oddech Valerii, szybki jak u spragnionego psa. Choć bardzo się starała, nie zdołała całkowicie ukryć niepokoju. Crom nie sprzyjał bojaźliwym, zresztą tchórze nie żyli długo w Cymerii; Conanowi udało się zachować zimną krew.

Wydawało się, że ktoś — lub coś — bawi się nimi, zabierając każdą nadzieję ucieczki w chwili, gdy zaczynali na nią liczyć.

— Na koronę Mitry! — syknęła Valeria. — Jeśli to robota tych na górze, lepiej niech zachowują się przyjaźnie, kiedy się tam pojawimy.

Conan tylko chrząknął. Wypowiadała jego myśli, czyniąc przy tym niepotrzebny hałas. Istoty z góry mogły nie tylko być wrogo nastawione; one prawdopodobnie pilnie nasłuchiwały odgłosów z dołu. Conan bał się też, że ściany studni nie wytrzymają nadmiernego hałasu i zaczną się kruszyć, kiedy on i Valeria będą się po nich wspinać. Musieli jednak to uczynić; droga powrotna już nie istniała.

W chwilę później Conan przekonał się, że jego ostrożność była niepotrzebna. Grzmot rozdarł ciszę, ziemia posypała się w dół i na nowo pojawiło się światło. Potem kawał skały wielkości sporej beczki przeleciał tuż koło niego.

Bez słowa przycisnął Valerię do piersi i przywarł płasko do ściany. Nawet najpłytsze wgłębienie mogło ich uratować przed zmiążdżeniem przez następny głaz.

Ściana, która wyglądała jak ulepiona z surowej ziemi, była nieustępliwa jak kamień z podziemnych tuneli. Conan macał ją wolną ręką, ale znajdował wciąż to samo.

Może pod cienką warstwą ziemi była skała, a może to korzenie związały ją tak mocno? Równie dobrze mogły ją utwardzić czary; zwałą im cały szyb na głowy.

Następny kamień świsnął koło nich, tym razem mniejszy, a potem cały strumień drobnych kamieni pomieszanych z grudami ziemi. Szyb wypełnił się kurzem. Conan przytknął rękę do ust, a Valeria próbowała zasłonić twarz włosami; nic nie pomogło. Zaczęli głośno kasłać.

Nic więcej nie wpadło do szybu. Conan słusznie podejrzewał, że ktoś na górze może nasłuchiwać. Na tle błogostawionych promieni słońca, które wlewały się przez powiększony wylot szybu, pojawiła się głowa.

— Kto tam idzie? Powiedzcie, jak was zwa, albo zostaniecie uznani za wrogów Ichiribu.

Język był podobny do dialektów, które Conan poznał w Czarnych Królestwach, więc zrozumiał, o co chodzi. Głos należał do wojownika i przywódcy, przyzwyczajonego do posłuchu. Conan nie widział powodu, by nie odpowiedzieć, szczególnie że szyb ciągle jeszcze mógł się zawalić. Przy tym nie byłoby dobrze, gdyby tak od razu się przedstawili. W tym kraju tylko żebracy i nędzarze podawali swoje imiona każdemu, kto tego zażądał. Rozważni ludzie wiedzieli, że nie jest to bezpieczne, bo niektórzy mogli użyć ich imion do czarów.

— Nie jesteśmy wrogami Ichiribu, jakkolwiek się nazywamy. Pozwólcie nam wejść na górę, a sami się przekonacie.

Conan nie dojrzał twarzy pytającego, którego głowa znikła teraz znad studni. Jaśniejsze światło padło na górną część szybu i, mimo wszechobecnego kurzu, można było dostrzec wylot. Był jeszcze wysoko, dobre dziesięć razy wyżej niż wynosił wzrost Cymeryjczyka, a ściany nie obfitowały w występy, za które można by się chwycić. Kiedyś schody wity się spiralą do samej góry. Conan poznał to po dziurach, w których tkwiły podtrzymujące je legary, a nawet pozostałości paru stopni. Nie przyda im się to jednak na nic, dopóki czary utrzymujące ściany szybu nie osłabną. A kiedy osłabną, cały szyb niewątpliwie spadnie im na głowy, przypieczętowując ich los gradem kamieni.

— Conanie — szepnęła Valeria — wracamy?

— Jak? — zapytał. — Nawet gdybyśmy potrafili, ci na górze słyszeli nas, a może nawet widzieli. Pomyślą, że jesteśmy demonami i zablokują szyb. Uważasz, że znajdziemy inne wyjście, zanim padniemy z głodu?

— A jeśli to ludożercy?

— Będą musieli przełknąć porcyjkę stali, zanim dobiorą się do nas — mruknął Conan. Valeria odpowiedziała uśmiechem, po czym sięgnęła do buta i wyjęła garść ognistych kamieni.

— Pomogłoby, gdybym rzuciła im kilka tych błyskotek?

— Chyba nie zaszkodziłoby — odparł Conan. — Ale sądziłem, że to twój łup.

— A ja sądziłam, że nie będziemy potrzebowali pomocy tych... jak im tam... Ichiribu, żeby wydostać się z tej zasiedlonej przez demony dziury!

Conan wziął największy kamień, zważył go w dłoni i lekko uniósł, żeby rzucając nie stracić

równowagi. Rozparłszy się nogami machnął kilka razy ręką. Wreszcie dłoń otworzyła się, a kamień poszybował ku wyjściu szybu, rozbłyskując zielenią, kiedy trafiły nań promienie słońca.

Cymeryjczyk nie widział ani nie słyszał, gdzie upadł kamień, ale po krzyku, jaki podnieśli wartownicy, zorientował się, kiedy go zobaczyli. Hieny walczące o padlinę byłyby spokojniejsze. Wśród hałasu Conan nie mógł rozróżnić ich słów. Poznał jedynie głos przywódcy, który darł się najgłośniej i wreszcie uciszył resztę. Potem usłyszał głos młodego wojownika, a może kobiety, rozmawiającej z przywódcą.

Wtedy krzyknęła Valeria, starając się mruganiem odegnać napływające do oczu łzy. Nawet Cymeryjczykowi zrobiło się lżej na sercu, gdy zobaczył, że gruby rzemień ze skóry bawołu, z pętlą na końcu, zwisa u wejścia do szybu. Zatrzymał się o długość włóczni od palców Conana, który przyłożył dłonie do ust i zawołał: — Obawiam się, że to za mało. Jeszcze długość człowieka i będzie dobrze.

— Najlepiej będzie, jak ja pójdę pierwszy — zwrócił się do Valerii. — Mówię ich językiem, a są szczepy, które uważają, że kobieta wojownik przynosi pecha.

— Naszpikują cię włóczniami...

— Wtedy nie dostaliby więcej ognistych kamieni — przypomniał Conan. — Z wrzawy, jaką podnieśli, wnioskuje, że za taką nagrodę zrobią dla nas wszystko.

Valeria bardzo chciała wierzyć, że Conanowi nic się nie stanie i że nie zostawi jej samej w tej okrutnej ciemności. Conan nie mógł jednak jej tego obiecać, a nie chciał kłamać.

Wciągnął rzemień przez głowę i mocno zacisnął pod pachami.

— Módl się, żeby to nie byli pigmeje — powiedział — albo wrócę tu szybciej niż się uniosę!

Potem rzucił w górę: — Ciągnijcie!

— Ktokolwiek tam jest, mówi Językiem Prawdy — powiedział Seyganko. — Z tego wynika, że to człowiek.

— Duchy mogą przybierać ludzką formę, prawda? — podrzucił Aondo.

Emwaya najwyraźniej wolałaby skłamać, ale przytaknęła.

— Więc potrafiłyby także mówić — uznał Aondo.

Emwaya zmarszczyła brwi. Wy tłumaczyła kiedyś Seyganko, dlaczego w rozmowach z duchami nie używa się ludzkiego języka, wiedział więc, że ci na dole musieli być ludźmi. Ale nie mogła tego wytłumaczyć Aondo bez zdradzania całej fundzie części wiedzy szamańskiej.

Wtem człowiek z szybu znów krzyknął: — Wyciągacie mnie czy nie?

Seyganko podniósł maczugę i trzykrotnie uderzył w tarczę. Po trzecim uderzeniu ludzie zaczęli cofać się od wejścia do szybu, ciągnąc za sobą rzemień.

— Cięższy niż człowiek! — krzyknął któryś, wycierając pot z czoła.

— Ciągnij albo puść kogoś na swoje miejsce! — warknął Seyganko. Tamten był gotów się kłócić, ale po chwili namysłu wrócił do pracy.

Jeśli istota, która wyłoniła się z jamy ziejącej w miejscu dawnego paleniska, była człowiekiem, to większym niż ktokolwiek znany Seyganko, poza Aondo.

Z bliska wojownik dostrzegł, że pod warstwą brudu skóra przybysza jest zupełnie jasna. Poza tym miał proste włosy i niesamowicie niebieskie oczy. Seyganko słyszał opowieści o krajach na dalekiej północy, zamieszkiwanych przez takich niebieskookich olbrzymów z rasy powszechnie uważanej za ludzką. Ogromny gość bez wątpienia pochodził stamtąd.

— Powiesz nam, jak cię zwą? — chciał wiedzieć Seyganko.

— Powiem, kiedy się napiję, a wy wyciągniecie moją kobietę — odparł olbrzym.

— Twoją kobietę? — zapytał któryś.

— Myślicie, że podróżuję przez lasy bez żadnych wygod? — powiedział ze śmiechem, ukazując równiutkie zęby, z których żaden nie był ostro spiłowany. — A gdybyście chcieli więcej tego — wskazał na leżący na ziemi klejnot — to są tam na dole.

Emwaya chwyciła Seyganko za rękę. Patrzyła na kamień jakby to była gotowa do ataku kobra. Seyganko odwrócił ją w drugą stronę, tak by przybysz nie widział jej twarzy, potem machnął na swych ludzi, aby spuścili linę i krzyknął w kierunku najbliższej chaty, by kobiety przyniosły wodę.

— O co chodzi, kobieto? — szepnął do Emwayi upewniwszy się, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

— To są Ogniste Oczy Złotych Węży — odpowiedziała narzeczona dysząc ciężko, jakby przed chwilą skądś przybiegła. — On mówi, że mają ich więcej.

— I co z tego? Są miłe dla oka, nie tak jak ty, kiedy nasmarowana olejkami leżysz na macie, ale...

— To oczy Złotych Węży hodowanych w Xuchotl. Słyszałam opowieści, że mieszkańcy tego miasta używali tych oczu jako ozdoby.

— Zatem...

— Możliwe, że przyjęliśmy morderców z Xuchotl!

— Nic takiego nie zrobiliśmy — zaprotestował Seyganko.

— Myślisz, że łatwo będzie z powrotem wpędzić ich do studni, jeśli się mylisz?

Seyganko przyjrzał się mocarnej sylwetce przybysza i jego broni, ocenił swobodną, lecz czujną postawę.

— Jeśli są duchami, to stąd nie odejdą. A jeśli są ludźmi i też nie będą chcieli odejść, to nie godzi się ich zmuszać.

— Więc co zrobimy?

— Każ ojcu zwołać duchy tanecznego bębna. Natychmiast, zanim ci obcy spędzą u nas noc. Mężczyzna zna Język Prawdy. Może też znać nasze obyczaje.

Pierwszy raz, odkąd pamiętał, Emwaya wykonała jego polecenie nie tylko bez dyskusji, ale nawet bez wahania. Pobiegła sama; takiej wiadomości nie można było powierzyć nikomu innemu.

Seyganko wyszedł naprzód, by powitać kobietę, która wyszła z szybu. Miała jeszcze jaśniejszą skórę niż mężczyzna, włosy koloru dojrzałego ziarna i figurę godną bogini. Na jej szyi wisały dziwne skórzane buty, które szybko zdjęła, jakby były bardzo ciężkie. Seyganko i Tesztafandy podeszli bliżej i zobaczyli wypełniające buty Ogniste Oczy; wyglądało to jak dwa małe wulkany pełne wrzącej zielonej lawy.

Wojownicy wciągnęli powietrze, niektórzy mocniej ścisnęli broń. Kobieta, która niosła wodę, znieruchomiała w pół kroku i ledwo złapała niesiony na głowie dzban. Rozlana woda utworzyła u jej stóp kałużę. Kobieta popatrzyła wokół i uciekła.

Obca gotowa była chwycić za broń. Olbrzym położył na jej ramieniu rękę i lekko się uśmiechnął.

— Dotrzymaliście obietnicy, więc i ja dotrzymam swojej.

Odwrócił się do Seyganko.

— Jestem Conan z Cymerii, człowiek wolny. — Użył określenia oznaczającego wojownika, którego przysięgi czynią niezależnym od wszelkich szczepów i klanów. To stan bardzo czcigodny, a kłamliwe przypisanie go sobie było surowo karane.

— Ta kobieta to Valeria z Czerwonego Bractwa — ciągnął Conan. — Jest także wolną kobietą. Językiem Prawdy mówi tylko w swoim szlachetnym sercu. Oboje prosimy o gościnę wśród ludu Ichiribu i przyrzekamy pomoc im, na ile będzie to w naszej mocy.

Seyganko starał się nie patrzeć na Ogniste Oczy. Jeśli ich moc była tak silna, że tych dwoje wyciągnęła z Xuchotl... Mogłaby uczynić Ichiribu władcami całej ziemi wokół Jeziora Śmierci, nawet do podnóża Góry Burz. Mogłaby też pograżyć ich bardziej niż Chabano albo Ludzie–Bogowie sobie wyobrażają.

Seyganko przeszył chłód, kiedy spojrzał w niebieskie oczy Conana.

Ryku często marzył, by stać się owadem na ścianie w czasie zebrania Kapłanów Żywego Wiatru, jak Ludzie–Bogowie siebie nazywali. Teraz to marzenie prawie się spełniło. Wreszcie osiągnął taki stopień samokontroli, że kapłani, a nawet sam Żywy Wiatr nie wyczuwają jego obecności.

Jak małpa na gałęzi siedział w szczelinie skalnej, która w sam raz wystarczała, aby się w niej schował. Wystający gzyms krył go przed oczami tych, którzy byli pod spodem.

Ośmiu kapłanów otaczało kręgiem wielką kulę z bardzo dziwnego, na pewno nie ziemskiego tworzywa. Kula, wysoka jak człowiek i przejrzysta jak woda, zdawała się twarda jak skała, a jednocześnie na tyle lekka, że tylko dwóch służących wniosło ją na nosidle do tej pieczary.

O tym, jak wielka moc tkwiła w kuli, świadczył fakt, że słudzy ci byli głusi i niemi. Takich używano tylko do najtajniejszych zadań. Mówiono, że kiedyś Żywy Wiatr dał kapłanom zaklęcia, które uciszały języki i zatykały uszy; odwoływano je, kiedy już nie były potrzebne. Jednak ta wiedza poszła w zapomnienie i teraz do tego celu służyły rozpalone noże i igły.

Oznaczało to, że tajnych sług było z każdym rokiem mniej. Kwanyjczycy oddali na służbę Ludziom–Bogom z Góry Burz wielu młodych, zdrowych mężczyzn i kobiet, pochodzących z pomniejszych klanów, a także więźniów i niewolników. Klany spodziewały się, że przynajmniej wolni ludzie powrócą do domów cali i zdrowi, ale nawet czekającymi na egzekucję niewolnikami nie obdarzali Ludzi–Bogów nazbyt szczerze. Od czasu, gdy Chabano został Najwyższym Wodzem, stali się jeszcze mniej hojni.

Najwyższy Kapłan, który potrafiłby używać starożytnej wiedzy, zdobyłby przyjaźń Chabano. Ale gdyby Najwyższy Wódz uparł się, że to on stanie na czele przymierza czarowników i wojowników, Najwyższy Kapłan mógłby popchnąć Kwanyjczyków, by wybrali innego wodza.

Podmuch wiatru poruszył wilgotnym powietrzem w pieczarze. Ryku poczuł, jak chłodzi mu skórę i osusza pot na brwiach. Wiedział, że odpowiednimi zaklęciami kapłani mogli wywołać Żywy Wiatr z jego jamy, chociaż jako Cichy Brat posiadał tę wiedzę bezprawnie. Znał znacznie więcej rzemiosła kapłanów. Prawo nigdy nie znaczyło wiele dla Ryku, zwanego Synem Nkube.

Jednak jeszcze nigdy nie widział wywoływania Żywego Wiatru. Nie wiedziałby, że to się szykuje, gdyby jeden z kapłanów nie był trochę niedyskretny. Ryku zastanawiał się, czy kapłani znają zaklęcia, które pomagają wykryć obecność wścibskich oczu szpiega.

Może takie zaklęcia należały do najstarszej wiedzy, którą żyjący już nie władali. A może Żywy Wiatr istniał już dość długo, by móc samemu odszukać i ukarać swych wrogów. Ta myśl tak poruszyła Ryku, że o mało nie wypadł ze swej kryjówki. Spociał się na całym ciele, choć wiatr wzmagał się z każdą chwilą. Nie powinien tu siedzieć. Ulotni się, kiedy tylko Wiatr odejdzie.

Nagle tunel po drugiej stronie pieczary zaczął jarzyć się purpurowym i szafirowym światłem —

barwami Żywego Wiatru. Światło jeszcze nie migotało, zwiastując bliską obecność Wiatru, ale nie mógł on być daleko.

Ryku oblizwał usta, które nagle zrobiły się suche jak kasza sprzed miesiąca, i spróbował odzyskać choć część samokontroli.

Dziewka służebna podała Valerii dwie drewniane miski. W jednej leżała solona ryba bez głowy, oprawiona i wypatroszona tak wprawnie, jak widywało się tylko w kapitańskiej kwaterze w nadbrzeżnych tawernach. Drugą miskę wypełniał ostro pachnący gulasz z ryby, zbóż i orzechów, jakich nigdy nie jadła. Za nią stał chłopak z trzecią misą, w której dymiły gorące ziemniaki.

— Dziękuję, wystarczy — powiedziała Valeria. Starła się korzystać ze swojej skromnej znajomości języka Czarnych Królestw.

Dziewczyna chyba nic nie zrozumiała, bo uśmiechała się, potrząsała głową i znów podawała miski.

Valeria zmarszczyła brwi. Czy Ichiribu przysłali im do posługi jakąś niedojdę? Spróbowała poklepać się po brzuchu, potem złączyła ręce trzymając je jak najdalej przed sobą. Chciała powiedzieć dziewczynie, że najadła się już do syta ich wspaniałą strawą, że zaraz pęknie. Dziewczyna uśmiechnęła się i dalej usiłowała wręczyć miski Valerii. Ta podniosła rękę, by ją odepchnąć, gdy poczuła na nadgarstku znajomy żelazny uścisk.

— Zaczekaj, Valerio.

Cymeryjczyk też posługiwał się językiem Czarnych Królestw i gestami. Dziewczyna spojrzała na Valerię i potrząsnęła głową. Conan kiwnął ręką, po czym dziewczyna i Cymeryjczyk wybuchli śmiechem.

Valeria zaczerwieniła się i by ukryć gniew, sięgnęła po soloną rybę. Chyba naprawdę pęknie, jeśli zje jeszcze choć trochę, a już na pewno, jeśli potem popije rybę odrobiną piwa Ichiribu. Ale nie chciała wyglądać na prostytutkę.

Służąca podała Valerii danie przyklękając z gracją. Miała na sobie koszulę nie zasłaniającą prawie nic. A było na co popatrzeć: długie nogi, gibka talia i mocne ramiona dziewczyny, która dopiero niedawno stała się kobietą. Valeria zauważyła, że Conan wodzi za nią oczami z wyraźnym upodobaniem.

Szturchnęła go pod żebra i o mało nie zwichnęła palca na twardych mięśniach.

— Zdawało mi się, że nie dbasz o czarne dziewczki — syknęła.

— Pamiętasz tamte koło fortu? Miały zęby spiłowane na ostro. Tutejsze dziewczyny wyglądają jak kobiety, nie jak rekiny.

— Jak jesteś taki obyty z kobietami, Conanie, to wytłumacz, co ta dziewczka chciała powiedzieć. Zdaje

się, że wyraźnie powiedziałam, że mam dość.

— Och, tak. A potem pokazałaś, że jesteś przy nadziei. Dziewczyna zrozumiała, że potrzebujesz więcej jedzenia... dla siebie i dziecka.

— Przy nadziei? — szczęka Valerii opadła; nie była pewna, czy dobrze dosłyszała. Uśmiech Conana zapewnił ją, że tak. — Od lat nie miałam okazji!

— Nic dziwnego, że denerwują cię mężczyźni. Żeby tak nie umieli się poznać na pięknej kobiecie!

— Ty gadatliwy cymeryjski prostaku! — Kiedy Valeria zaczęła mówić, zamierzała przypieczętować swoje słowa policzkiem, ale zamiast tego parsknęła śmiechem, przewracając miskę. Conan klepnął ją po ramieniu.

— Spokojnie, kobieto. Żartowałem.

Valeria wolałaby, żeby to nie był żart. Chciała, by ta wielka dłoń zatrzymała się na jej ramieniu na dłużej, więc przytrzymała ją oburącz. Wiedziała, że Conan mógł bez trudu wyrwać rękę, ale miała nadzieję, że nic podobnego nie zrobi.

Nie zrobił. Dłoń ogrzewała jej nagie ramię na tyle długo, by dziewczka służąca podniosła oczy i mrugnęła na pacholka. Po chwili byli sami.

— Będą podsłuchiwać — wyszeptał Conan. — Jeżeli podejdziesz bliżej, to nie usłyszą, o czym rozmawiamy.

Valeria gotowa była podejść tak blisko jak się da, ale wiedziała, że pora nie jest właściwa. Wyczuła w głosie Cymeryjczyka ostrzeżenie i zawiedziona miała ochotę zakląć. Czyżby wśród Ichiribu także nie byli bezpieczni?

Powietrze w pieczarze wirowało i zawodziło, jakby próbowało w przerażeniu ujść przed Żywym Wiatrem. Ryku wczepił się w kryjącą go skałę rękami i nogami; gdyby miał ogon jak małpa, też by go użył. Myśl o wyjściu z ukrycia dawno go opuściła.

Nieważne zresztą, czy było go widać; skupili uwagę na kuli znajdującej się pośrodku tworzonych przez nich okręgu. Na kuli... i na Żywym Wietrze, który do niej przywoływali.

Światło Wiatru zalewało pieczarę oślepiającym potokiem, tryskającym z tunelu jak strumień w porze deszczowej. Ale żaden strumień nie bił w górę jak fontanna i nie znikał w kuli, która pozostała czysta jak górskie jezioro, mimo całego blasku, jaki do niej wpłynął.

Nagle Ryku zobaczył, jak kula drga, raz, drugi, trzeci. Spojrzał na odlaną z brązu misę o ośmiu połączonych nogach, na której spoczywała kula. Misa również drżała. Mrugnął i przetarł oczy, bo wydawało mu się, że z naczynia unosi się zielonkawy dym.

Po chwili Wiatr zdwoił moc, choć wydawałoby się to niemożliwe. Ryku był bliski utraty równowagi. Znów złapał skałę oburącz, zamknął oczy... i otworzył je, kiedy poczuł dym.

Teraz cienie różnych kształtów tańczyły dziko w przejrzystym wnętrzu kuli, która przybrała gniewny purpurowy odcień z delikatną nutą szafiru. Niektóre cienie przypominały ludzi, inne węże, jeszcze inne stwory, na które nie ma nazwy, przybyłe prosto z koszmarów... do których zaraz wrócą.

A jeżeli zmaterializują się i wyjdą z kuli, Ryku będzie musiał stawić czoło ich widokowi; za nic nie wolno mu zamknąć oczu. Jak inaczej mógłby mieć nadzieję, że zdobędzie moc kapłana, która przyniesie mu to, czego najbardziej pragnął?

Dym unosił się z misy, której nogi jarzyły się, jakby rozgrzano je do czerwoności. Ryku odniósł nawet wrażenie, że jedna z nóg się wygina. Czyżby ciężar kuli zwiększył się nagle niepomierne, gdy Żywy Wiatr wniknął do niej?

Ośmiu kapłanów też widziało dym, a ich miny wyraźnie mówiły, że dzieje się coś strasznego. A może to tylko ten zapach? Kiedy Ryku go poczuł, ledwo powstrzymał torsje.

Po chwili już wszystkie osiem nóg misy zaczęło się wyginać. Dym oderwał się od nich, potem od misy, wreszcie od kuli. Odwaga godna przedniego wojownika i bezgraniczne oddanie utrzymywało kapłanów przy kuli, lecz to nie uchroniło ich przed wściekłością Żywego Wiatru.

Dym nagle zniknął, jakby wciągnęły go gigantyczne usta. Misa zamieniła się w kałużę bulgoczącego roztopionego brązu, żarzącego się jak krater wulkanu. Kula chwiała się unoszona w powietrzu przez siły, o których Ryku nie śmiał myśleć.

Wtem moc kapłanów widać się załamała, bo kula spadła. Plusnęła w płynny metal i wielkie krople roztopionego brązu rozprysły się dokoła. Dyscyplina kapłanów nie wytrzymała takiego bólu. Krzyczeli i podskakiwali jak małpy zaatakowane przez pszczoły albo dzikie świnie gryzione przez czerwone mrówki.

Cienie we wnętrzu kuli przybrały wyraźniejszą formę — dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety — po czym znikły, a kula zaczęła się topić i mieszać z oślepiającym płynnym metalem. Zasiłiła go na tyle, że wielki jęzor ognia zbliżył się do kapłanów.

Przed chwilą złamali obowiązującą ciszę, teraz pękła ich odwaga. Jeszcze nie uciekali. Poszerzyli tylko krąg i trzymali oburącz laski na poziomie bioder. Śpiew z trudem dobywał się z gardeł, przepełniony bólem i strachem.

Jęzor ognia nagle podskoczył. Purpurowe płomienie, przejrzyste jak powietrze, owiły się wokół laski jednego z kapłanów. Ten wypuścił ją, lecz laska nie upadła. Płomienie uniosły ją pod sklepienie i tam dopiero spaliły. Na podłogę nie spadła nawet odrobina popiołu, a płomienie wróciły na dół, syte jak nakarmione zwierzę.

Dużo trudniej było nakarmić płynny brąz, który opadł otaczając rozpaloną kałużą stopy innego kapłana. Po chwili kapłan nie miał już stóp ani nóg. W chwilę potem świadomość tego, co się z nim

dzieje dotarła do jego mózgu. Cierpiał żywcem palony. Palony? To słowo nie oddawało męczarni, które przeżywał kapłan.

Żywy Wiatr miał przynajmniej tyle litości, że pozwolił mu umrzeć szybko. Zanim zaczął krzyczeć, ogień pochłonął go do pasa, a gdy dopadł płuc, zdusił krzyk w zarodku. Głowa jeszcze chwilę majaczyła na powierzchni rozpalonego metalu, po czym z miejsca, w którym znikła, uniósł się wielobarwny dym.

Ten płynny metal też skojarzył się Ryku z nasyconym zwierzęciem. Ognisty strumień cofał się do tunelu; purpurowe płomienie podążyły za nim. Gdy oba żywioły znikły, Wiatr ucichł.

Siedmiu pozostałych kapłanów chwiejnym krokiem wyszło z pieczary. Niektórzy, oślepieni, trzymali się kurczowo ramion prowadzących ich współbraci. Inni zanosili się kaszlem, jakby mieli śmiertelnie porażone płuca.

Na wpół oślepiony i przyduszony, z płucami pełnymi dymu i niewyobrażalnego smrodu, Ryku kurczowo trzymał się ścian swojej kryjówki, dopóki ostatni kapłan nie wyszedł z pieczary. Najłatwiej byłoby teraz puścić się i spaść na podłogę, umierając czystą i szybką śmiercią.

Jednak takie rozwiązanie uznał za głupie, oto bowiem stało się coś, o czym nie śmiał nawet marzyć — jedno miejsce wśród kapłanów właśnie się zwolniło. Jeśli dodać do tego stratę magicznej kuli, Najwyższy Kapłan chyba zrozumiał, że Ludziom–Bogom z Góry Burz grozi niebezpieczeństwo największe od lat.

Jeśli Ryku udowodni, że wie, jak powstrzymać Chabano przed wykorzystaniem tej sytuacji przeciw kapłanom, może zostanie wysłuchany. Może nawet przejdzie inicjację i zostanie kapłanem. Wtedy będzie miał prawo używać mocy Żywego Wiatru.

Nie chciał nawet myśleć o tym, że w końcu może podzielić los tego kapłana, którego Żywy Wiatr tak brutalnie potraktował. Gdyby pozwolił sobie na takie rozważania, wolałby spaść z tej skały i zginąć.

Conan nie znał piękniejszej kobiety niż Valeria, ale na razie zapomniał o pożądaniu, a to, co szeptał jej do ucha, nie było miłosnym wyznaniem.

— Ugoszczono nas jadłem i dano dach nad głową — wymruczał. — To znaczy, że nie zamordują nas podstępnie.

— Nie mówisz całej prawdy — odpowiedziała cicho Valeria.

— Ichiribu też. Znam ich mowę lepiej niż się spodziewają. Nieostrożnie gadali w mojej obecności. Nie podoba im się miejsce, z którego wyszliśmy i czary, które nam pomogły.

— Jakie czary? Nie potrafilibyśmy zaklęciem obciąć dziecku paznokci.

— Złamaliśmy zaklęcie strzegące wejścia do tunelu pod paleniskiem. Potem zniszczyliśmy palenisko

— wszystko jedno, my czy duchy, kiedy się rozjuszyły. Wokół nas skupiło się zbyt dużo mocy, żeby Ichiribu mogli być spokojni.

— Niech demony pochłoną ich spokój! Nie jesteśmy dla nich groźni, chyba żeby chcieli nas zabić.

Przerwała, bo dłoń Conana zacisnęła się jak żelazo na jej ramieniu, a palec drugiej ręki spoczął na jej pełnych ustach.

— Nawet o tym nie myśl. Mają tu gdzieś szamana.

— Kogo?

Conan wyjaśnił jej, kto to taki. Nie przepadał za szamanami bardziej niż za innymi czarodziejami. Kiedy był jeszcze władcą w Czarnych Królestwach, wiele nauczył się o ludziach. Dzięki temu jakoś przeżył, choć nawet miejscowych władców często zabijano.

— Widzisz — zakończył, zwalniając wreszcie uścisk mocarnej dłoni — ten człowiek nie jest jeszcze naszym wrogiem. Być może ma nadzieję, że zdobędzie naszą przyjaźń dla siebie i dla swego szczepu. Z tego, co o nim mówią, wynika, że przebiegły z niego staruszek.

— Jeżeli okaże się na tyle przebiegły, żeby poznać, że nie mamy złych zamiarów, będę sławić jego mądrość w pieśniach.

— Valerio, słyszałem jak śpiewasz. Chcesz wywołać wojnę z tymi ludźmi, kiedy już całe ich bydło padnie?

Valeria warknęła jak lwica broniąca młodych. Conan zaśmiał się cicho.

— Przecież gdybym ci powiedział, że twój śpiew przyćmiewa słowika, uznałabyś, że postradałem rozum. A jeśli chodzi o naszego szamana, to na pewno poprosi nas o pomoc przeciw wrogom tego plemienia, których nazywają Kwanyi. Założę się, że ci Kwanyi zajmują brzegi... Jeziora Śmierci, chyba tak na nie mówią.

— Wiesz dlaczego?

— Nie, ale byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział. Jeśli otwarcie zacznę wypytywać, pomyślą, że jesteśmy szpiegami. A jeżeli powiem, skąd przyszliśmy, domyśla się, że to my zniszczyliśmy Xuchotl.

— Bo to prawda i nie wstydzimy się tego! Chyba nie są takimi głupcami, żeby żałować tego miasta szaleńców!

— Kto mówi, że żałują? Nie, nie mieli z Xuchotl pożytku i stronili od niego, tak jak my powinniśmy byli. Ale nie mogą zrozumieć, jakie czary doprowadziły do jego upadku. Powiemy im, co zrobiliśmy, a wtedy... Chcesz wiedzieć, co tu robią z czarownicami?

Valeria otworzyła tylko usta i potrząsnęła głową. Conan znów objął ją ramieniem. Oparła głowę na jego piersi i zamknęła oczy.

— Najpewniej poddadzą nas jakiejś próbie. Może to być coś prostego, na przykład każą mi osiąść cię w łóżu przed całym szczepem...

— Jeszcze jeden taki żart i nie posiadasz już więcej żadnej kobiety!

— ...albo taniec bębna.

— Nie ma na świecie bębna dość mocnego, by cię utrzymać, Conanie. Mówisz o zawodach w rozbijaniu bębnów?

— W tym kraju robią olbrzymie, mocne bębny, tak że można na nich tańczyć parami. Każdy próbuje zrzucić drugiego, a ten, który spada, ginie.

Conan poczuł, że ciało Valerii wiotczeje; wyrzucił sobie, że chlapiąc ozorem wystraszył ją tak, że zemdląca. Potem usłyszał jej miarowy, długi oddech. Delikatnie ją przesunął, by móc zobaczyć jej twarz.

Zamknięte oczy, na wpół otwarte usta. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko przenieść ją na matę po prawej stronie drzwi do chaty. Sam zajął matę po przeciwnej stronie, zdjął buty i wyciągnął się jak kot.

Szaman zwoła pewnie jakąś naradę. Valeria miała właściwy pomysł, jak wykorzystać resztę czasu.

VIII

Valeria nie wiedziała, jak wygląda szaman. Conan pewnie wiedział, ale nie był to właściwy czas i miejsce, by go zapytać. Cymeryjczyk rozmawiał bowiem właśnie z Dobanpu, szamanem ludu Ichiribu.

Dobanpu młodość miał dawno za sobą i według Valerii nie wyglądał na kogoś, kto para się potężną magią. W jego obecności zapomniała, że znajdowali się w jaskini, a wolałaby dać się nawlec na pał, niż znów zejść pod ziemię.

Po jednej stronie Dobanpu siedziała młoda kobieta, podobna do niego jak córka, a po drugiej wojownik Ichiribu. Nawet człowiek nie znający obyczajów Czarnych Królestw poznałby, że to ktoś znaczny. Tęczowe pióra zdobiły jego włócznię i pióropusz, na szyi wisiał naszyjnik z masy perłowej uformowanej w zęby lamparta. Posturą nie dorównywał olbrzysiemu Cymeryjczykowi, ale też nie musiał. Poruszał się w taki sposób, że Conan wyglądał przy nim jak dzikus. Valeria przyznała w duchu, że w Czarnych Królestwach mieszkają bardzo urodziwi ludzie.

Rozmowa toczyła się między Conanem i młodym wodzem — nazywał się Seyganko, a córka szamana Emwaya. Valeria spostrzegła w cieniu jeszcze jedną postać; poznała w niej dziewczynę, która im usługiwała i myślała, że Valeria jest przy nadziei.

Conan miał rację mówiąc, że będą ich szpiegować. Choć z drugiej strony nie zaskoczyło to Valerii. Mieszkańcy Czarnych Królestw wiedli może proste życie w porównaniu z Aquilończykami, ale na pewno nie byli prostakami!

Znów zwróciła uwagę na rozmawiających. O ile mogła ocenić, rozumiejąc piąte przez dziesiąte z tego, co mówili, proponowano pojedynk. Zdaje się, że Conan wyzywał Seyganko, ale czy tamten przyjął, czy odmówił?

Patrzył teraz na Dobanpu. Kobieta, Emwaya, próbowała skrzyżować wzrok równocześnie z ojcem i Seyganko. Valeria natychmiast poznała, że była zaręczona z wojownikiem albo mu poślubiona, a z pewnością zakochana.

Dobanpu nie patrzył na nikogo. Siedział tak cicho, jakby przemienił się w ducha, a wreszcie wypowiedział słowo, które dla Valerii zabrzmiało jak imię: — Aondo.

Twarz Seyganko przybrała wyraz niezadowolenia, natomiast Emwaya starała się ukryć radość. Valeria odwróciła wzrok, żeby jej to ułatwić. Tylko raz w życiu czuła coś takiego do mężczyzny, ale on nie żył, a jego kości rozrzucone były gdzieś pod daleką rafą. Tylko morska piana i rozgwiezdy nad nim płaczą.

Narada była skończona. Conan dyskretnie odwrócił się i wyszeptał: — Ukłoń się i wyciągnij ręce.

Valeria, zdziwiona, lecz ufna, posłuchała. Wpatrywała się w podłogę jaskini tak długo, że zdążyła policzyć ślady zostawione przez małe węże, jakie jasnovidze i znachorki w Aquilonii trzymały w domach, by dostarczały skóry na amulety i zjadały insekty.

Wspomnienie domu uspokoiło ją. Przypomniała sobie, od jak dawna znajdują się poza granicami Aquilonii. Już dobrych kilka lat była kobietą i wędrowcem, kiedy spotkała tego, który teraz leżał pod rafą. To stało się tak dawno, że potrzebowała obu rąk, by zliczyć te lata. A teraz klęczała z rozpostartymi ramionami. Zmęczone mięśnie zaczynały boleć, a ręce drżeć. Kolana mówiły jej, że pod piaskiem kryje się twarda i zimna skała.

Wtem poczuła delikatne dotknięcie na szyi; coś przykryło jej ramiona. Poczowała zmieszany zapach fiołków i dojrzałych jabłek, jeśli w tym kraju coś takiego rosło. — Wstań — polecił jej Conan.

Wstała, przeciągając obolałe kończyny. Przepęłniła ją duma, że wytrzymała nie zachwiawszy się. Zadowolona dostrzegła, że Seyganko spogląda na nią w podobny sposób jak wcześniej ona na niego. Zaraz potem zobaczyła zmarszczone brwi Emwayi, która zauważyła, gdzie zawędrował wzrok narzeczonego.

Dobanpu ponownie przemówił, wymawiając imię: — Mokossa.

Dziewczyna wyszła z zacienionej części jaskini, a on wskazał jej wyjście. Dziewczyna podbiegła kawałek i zatrzymała się, jakby na coś czekała.

Conan objął Valerię w pasie i powoli pociągnął za sobą. Na zewnątrz padał deszcz. Zatrzymali się pod skalnym nawisem i patrzyli, jak krople tańczą po powierzchni jeziora tworząc malutkie łezki.

Valeria przyjrzała się wieńcowi na swojej szyi. Kwiaty zdawały się zasuszone i żywe jednocześnie. Gdyby nawet dostała wieniec od kogoś innego, nie od Dobanpu, wyczułaby w nim magię. Chciała go zdjąć, lecz Mokossa zmarszczyła brwi, a Conan objął ją ramieniem.

— Spokojnie, Valerio. Jest całkiem nieszkodliwy, zabezpieczy cię w razie mojej przegranej.

— Uwierzyłabym ci, gdybyś mi powiedział, po co to jest.

— Naznacza cię jako moją kobietę. A to znaczy, że jestem przeznaczony dla ciebie.

„To” było grubym pasem, chyba ze skóry węża, owiniętym wokół lewego nadgarstka Cymeryjczyka. Pas miał te same barwy co wieniec Valerii.

— Rozumiem. Powiesz mi, co możesz wygrać lub przegrać, czy mam sama zgadnąć? Conan zamyślił się.

— Niełatwo to wytłumaczyć...

— Możesz zająć mi tyle czasu, ile chcesz, na przykład pół nocy. Nie mam nic lepszego do roboty, niż słuchać opowiadań Cymeryjczyka.

— Pewnie, że nie masz — z denerwującą wesołością zgodził się Conan. W Valerii chęć uduszenia go walczyła z atakiem śmiechu. Śmiech zwyciężył.

Siedzieli na belce, którą kiedyś zdobiły rzeźby, ale teraz pokrywał ją tylko mech i paprocie, rosnące na nadgniłych bokach.

Conan wyciągnął pożyczoną oselkę z pożyczonej sakwy wiszącej przy pożyczonym pasie i zaczął obrabiać ostrze miecza. Przynajmniej miecz nie był pożyczony. Wyglądało na to, że miał się poddać osądowi bogów, mierząc się z wojownikiem Ichiribu w różnych konkursach. Będą rzucać włócznią, trójzębem, pojedynkować się na maczugi i tarcze, biegać, skakać, wspinać się, pływać, wiosłować...

— A dziewczki w łożu brać?

— Wątpię, by ich dość znaleźli, a zresztą człowiek niewierny jest tabu dla tutejszych kobiet.

— A czy kobieta niewierna jest tabu dla tutejszych mężczyzn?

— Chyba nie jesteś tak niewierna jak ja?

Valerii nie przyszła do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc pozwoliła Conanowi mówić dalej.

— Nie muszę wygrać każdej konkurencji, ale w każdej muszę zmierzyć się ze wskazanym wojownikiem i wykazać się umiejętnościami. Inaczej nazwą mnie człowiekiem pozbawionym łaski bogów i tchórzem.

— A boisz się? — Valeria czuła, że w powietrzu wisi coś niedopowiedzianego. Ale Cymeryjczyk był szczery.

— Jeśli bogowie pozwolą mi przejść przez wszystkie konkurencje, skończymy na bębnie. Tam zwycięzca otrzyma ostateczne błogosławieństwo bogów. Pokonany zginie. Jeśli wygram, wszystko będzie dobrze. Jeśli przegram — wzruszył ramionami — cóż, chyba nie zdobędę tronu ziem Hyborii, ale to mała strata.

— Nie zdobędziesz tronu? — Czy Dobanpu zaćmił czarami rozum Cymeryjczyka?

— Tron, kobieto, to coś, na czym się siedzi. Strzelasz z łuku, więc wiesz jak łatwo jest trafić siedzącego ptaka. Równie łatwo trafia się siedzącego króla.

— Jeszcze nie strzelałam do królów, ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek. — Wtem pogodny ton jej głosu załamał się. — Conanie, jeśli przegrasz...

— Zginę. Ty przeżyjesz. Chyba żebyś chciała walczyć, żeby mnie obronić albo pomścić...

— Nie przybyłam tu z iranistańskiego haremu!

— I na pewno tam nie trafisz. Będziesz musiała przysiąc wierność innemu mężczyźnie, ale pozwolą ci go wybrać. Sądzę, że nieźle byłoby poprosić o pomoc Dobanpu i jego córkę. Seyganko też pewnie zna swoich wojowników i dobrze mu z oczu patrzy. Cieszę się, że nie z nim mam walczyć. Lud będzie go potrzebował w czasie zbliżającej się wojny.

— To z kim masz walczyć?

— Z jakimś wielkoludem, Aondo. Podobno jest większy ode mnie.

— Kaza ci bić się z małpą?

— Małpa na pewno by przegrała — rzekł Conan. Przypomnieli sobie oboje o jego dawnych bitwach z niezwykłymi przeciwnikami, ale Valeria nie znalazła w tym żadnej pociechy. Potrzebowała pewności, że nawet gdyby Conan przegrał, ona nie zostanie na łasce Ichiribu. Zrozumiała jednak, że takiej pewności nie zdobędzie.

Pocieszała ją myśl, że ów Aondo nie zdoła pokonać Cymeryjczyka w uczciwej walce. Co można zrobić, żeby ta walka pozostała uczciwa? Gdy uświadomiła sobie, że bardzo niewiele, deszcz zmył z niej resztki spokoju. Po cichu przeklęła szaloną myśl, która kazała jej skierować się na południe po ucieczce z fortu. Kiedy następnym razem ucieknie z niechcianych objęć, rozejrzy się, dokąd idzie. Będzie uważać, żeby nie skończyć w kraju, którego języka, praw ani tradycji nie zna... i gdzie będzie na łasce cudzej wiedzy!

Ryku nie widział Najwyższego Kapłana wśród ósemki, która próbowała zwabić Żywy Wiatr do kuli, mimo to kapłan zdradzał oznaki ogromnego zmęczenia i ciężko opierał się na swojej złoconej lasce.

Oczy, zapatrzone w leżącą na podłodze lwią skórę, wyglądały pusto, jakby były niewidome, albo jakby widziały coś, czego nawet Ludzie–Bogowie nie powinni widzieć.

Jak obyczaj nakazywał Cichemu Bratu, Ryku leżał przed kapłanem twarzą do ziemi. Leżał tak, aż chłód kamiennej posadzki przeniknął jego członki i sięgnął serca. Może to tylko złudzenie, ale skała wydawała się zimniejsza niż zwykle. Jakby Żywy Wiatr wyssał z niej całe ziemskie ciepło.

Dobrze, że twarz miał tuż przy ziemi, kiedy ta myśl przeszła mu przez głowę.

— Powstań, Ryku.

Ryku nie mógł podnieść się od razu, bo zeszywniał z zimna. Jednak starał się wstać nie tracąc równowagi ani godności.

— Wezwałem cię tu, ponieważ Kapłani Żywego Wiatru potrzebują cię.

— To honor, o jakim nie śmiałem marzyć...

Kapłan podniósł rękę. Ryku zauważył, że była chudsza i bledsza niż kiedy ostatnio go widział. Mocniej też drżała.

— Zachowaj swoją pokorę. Nie jesteś obcy Chabano, Najwyższemu Wodzowi Kwanyjczyków. — To nie było pytanie.

Ryku dostrzegł, że nadarza się okazja, ale też niebezpieczeństwo. Uznał, że lepiej będzie powściągnąć język.

— Czy przyrzekłeś mi coś w imieniu kapłanów? — To już było pytanie, które wymagało odpowiedzi.

— Nie, panie. — Co było prawdą, jako że Ryku nie był idiotą.

— Czy uwierzy ci, jeżeli teraz przyrzekniesz?

Ryku zmieszał się, co nie było udawane.

— Co mam przyrzec? Chabano nie jest głupcem, czego nie muszę ci mówić, Najwyższy Kapłanie.

— O tak, nie trzeba mi przypominać czegoś, co i tak wiem. Możesz mi przyrzec w moim imieniu część tego, o co prosił, a czego nie otrzymał.

— Co ma nam dać w zamian?

— Nie bądź bezczelny, Ryku.

— Mówię tak, by przypomnieć ci o charakterze Chabano, Mistrzu. Jest zuchwały jak lampart, który zakrada się do zagrody z bydlęciem, by oderwać nowo narodzone cielę od matczyne łona. Zawsze tak

postępuje, kiedy chce coś zdobyć.

— Gdybym sądził, że Chabano ma władzę nad duchami, pomyślałbym, że uczynił cię swym sługą. Zachowujesz się, jakbyś śpiewał hymn pochwalny.

Ryku zamilkł. Staruch mógłby przestać mówić zagadkami.

— Gdyby Chabano miał władzę nad duchami, sam zrobiłby większość tego, o co nas prosił w przeszłości. Zatem nie wątpię, że twoje słowa są prawdą, którą nosisz w sercu.

— Żaden człowiek nie może mówić inaczej, Mistrzu. Spojrzenie, jakim kapłan obdarzył Ryku, przypomniało mu, że Chabano nie był jedynym człowiekiem zdolnym bez podnoszenia głosu stłumić nieposłuszeństwo i przepelnić nielojalnych ludzi strachem. Miał ochotę znów paść na twarz.

Najwyższy Kapłan skrzyżował ręce na wiszącym na jego szyi medalionie z brązu.

— Możesz iść do Chabano, Cichy Bracie Ryku. Obiecasz mu naszą pomoc i poprosisz, by powiedział nam, kto przybył do Ichiribu.

— Może zdobywcy Xuchotl?

Po minie kapłana Ryku poznał, że lepiej o tym głośno nie mówić. Zrobił pokorną minę.

— Mamy swoje sposoby, by się tego dowiedzieć — ciągnął kapłan. — Lecz gdybyśmy ich użyli, ci, którzy władają magią, odkryliby to. Poznaliby naszą moc i stali się dla nas śmiertelnym zagrożeniem. Oczy, które widzą i uszy, które słyszą bez magii, nie wysyłają ostrzeżenia. Tymi włada Chabano.

Ryku udawał nie tylko pokornego, ale także zaskoczonego i pełnego podziwu. Nie mógł dać poznać po sobie, że wie, co się stało ze świetlistą kulą.

Lepiej nie lekceważyć Najwyższego Kapłana, nawet teraz, gdy nad nim tryumfuje.

— Rzeczywiście, Chabano często mówił, że żaden ptak nie złoży jajka, o którym on się wcześniej czy później nie dowie — rzekł Ryku. — Myślę, że trochę się przechwała, ale na pewno wie, do czego służą szpiedzy.

— Zatem idź i poradź mu, by ich wykorzystał — polecił kapłan. — Idź, a jeśli wrócisz z dobrymi wieściami, może zostaniesz podniesiony do rangi kapłana.

Nowego kapłana wybierano spośród Cichych Braci tylko wtedy, gdy któryś ze starych umarł, a na razie nic takiego nie ogłoszono. I pewnie nikt się o tym nie dowie, podejrzewał Ryku, przynajmniej do czasu, kiedy koniecznie trzeba będzie wyjaśnić, dlaczego Cichy Brat Ryku został tak uhonorowany.

A będzie trzeba to zrobić już niedługo, przysiągł sobie. Nie zawiedzie. Teraz, gdy zaproponowano mu taki dar, za który normalnie musiałby przelewać krew... swoją także.

Ryku upadł na twarz i usłyszawszy pozwolenie, pospiesznie opuścił komnatę Najwyższego Kapłana.

Włócznia Conana głęboko wbiła się w pień, który stanowił cel w zawodach na celność rzutu. Tak głęboko, że odbiła się od sęka, ocenił Cymeryjczyk. Drzewce gwałtownie się wygięło i wyrwało z metalowego grota. Włócznia spadła na ziemię wzbijając tuman kurzu.

Conan odwrócił się do Aondo i uniósł rękę oddając mu cześć. Wojownik zwyciężył tę konkurencję, chociaż bardzo małą różnicą. Gdyby nie ten przeklęty sęk...

Valeria stanęła u boku Conana. Miała na sobie koszulę Ichiribu i wieniec pokazujący, że jest mu przypisana, oraz skórzane opaski na kostkach. Podróże, wraz ze słonecznymi dniami na wyspie Ichiribu, przyciemniły pomocną biel jej cery, ale nie ujęły urody.

— Co teraz, Conanie?

— Dziś już nic. Jutro czółno, łowienie ryb, a wieczorem taniec bębna.

Cień padł na twarz Valerii.

— Conanie, posługuję się wiosłem równie zręcznie jak ci ludzie. Lepiej niż ty.

— Możliwe. Ale nic się nie stanie, jeśli coś przegram... z wyjątkiem tańca bębna. Aondo wygrał zapasy...

— Bo mu pozwoliłeś wygrać. Żeby mu zamącić w głowie nadzieją.

— Kobieto! — rzekł Cymeryjczyk udając gniew. — Czy nie mogę mieć przed tobą tajemnic?

— Nie — odparła Valeria posyłając mu zuchwały uśmiezek, z którym wyglądała prawie jak dziewczynka. — Po tylu spędzonych z tobą dniach musiałabym być kretynką, żeby ich nie poznać.

— Nie jesteś kretynką, to pewne jak woda w jeziorze — przyznał Conan. Wtem niespokojna myśl przebiegła mu przez głowę. Zmarszczył brwi. — Czy ty zaproponowałaś im, że zajmiesz moje miejsce w czółnie?

— A jeżeli tak?

— Odpowiedz! Tak, czy nie?

— Tak.

— Wielki Cromie! Gdybyż tylko odmówili...

— Zgodzili się.

Conan miał ochotę solidnie nią potrząsnąć, żeby odzyskała rozsądek. Wiedział, że rozbiłoby to ich przyjaźń, zadowolił się więc stekiem przekleństw. Klął tak głośno, że kilkoro dzieci zaczęło płakać, a wszyscy inni, i kobiety, i wojownicy, odsunęli się, aby tego nie słyszeć.

— Czy to pomysł Emwayi?

— Co mianowicie?

Szukał odpowiedniego słowa.

— Ta... zamiana.

— Nie. Wprawdzie jest dość przyjaźnie nastawiona, ale nie jestem tu jeszcze na tyle długo, by rozumieć, co mówią... zwłaszcza córka czarownika.

— Przynajmniej nie postradałaś wszystkich zmysłów.

— Cóż to znaczy, Cymeryjczyku? — głos Valerii zabrzmiał ostro.

— Jeśli pozwalają ci zastąpić mnie w którejś konkurencji, znaczy to, że uważają cię za wojownika.

— Naprawdę?

— Wysokiej rangi.

— Jeszcze lepiej.

Conan nie próbował ukryć gniewu w głosie.

— Wojownika związanego ze mną braterstwem .krwi. Tylko wtedy może zastąpić drugiego w zawodach. Takie jest prawo.

— Wiedziałam...

— Kobieto!!! — zagrzemiał Cymeryjczyk. — Wiedziałaś, że jeśli to zrobisz, będziesz sądzona razem ze mną? Że twój los pójdzie w ślad za moim? Jeśli przegram taniec bębna, zginiesz tak jak ja!

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że Valeria zarzuci mu ręce na szyję, przyciągnie za włosy do siebie jego twarz i mocno ucałuje.

— Chwała wszystkim bogom! Nie wiedziałam, że tak łatwo uniknę siedzenia i czekania, aż mnie rzucą jakiemuś wojownikowi jak psu kość!

Conan uświadomił sobie, że ona rzeczywiście tak postanowiła, że żadne z nich nie oszalało. Ale szczerze wątpił, czy — jeżeli taniec bębna nie pójdzie po jego myśli — potulnie pójda na śmierć. Valeria nie należała do takich kobiet.

Jeżeli sama zdecydowała, by rzucić się w ostatnią bitwę u jego boku, niech tak będzie. Tym gorzej dla Ichiribu, jeśli poważnie potraktują werdykt tańca bębna!

IX

Valeria wciąż dobrze nie rozumiała języka Ichiribu, choć potrafiła niezłe odczytywać wyraz twarzy. Teraz wszystkie twarze zgromadzone wokół niej mówiły, że jest szalona.

Dziesiąty raz podniosła wiosło, pozwalając mu znaleźć właściwą równowagę. Poranne słońce złociło opadające z niego krople.

Tego ranka Jezioro Śmierci wydawało się okropnie chybioną nazwą. Powierzchnia wody połyskiwała szmaragdem i lazurem, marszcząc się lekko przy słabych podmuchach wiatru. Słońce pobłyskiwało odbijając się od różowych i śnieżnobiałych skrzydeł ptaków, których całe stada przelatywały wysoko nad wyspą Ichiribu ku odległemu brzegowi.

Opuściła wiosło i też po raz dziesiąty lekko zakołysała łodzią, żeby sprawdzić jej stateczność. Była to najlepsza i najlżejsza dłubanka, jaką w życiu widziała. Całe wnętrze, a także burty i dno wyszlifowano i naoliwiono tak, że gładkością dorównywały jej skórze... a nawet ją przewyższały, po tym co przeszła od czasu ucieczki z objęć kapitana.

Conan niewiele się pomylił. Zmarniałaby w tej ponurej, nadgranicznej osadzie w ciągu kilku lat, czas zabrałby jej siłę i grację. Czerwone Bractwo straciłoby ją na zawsze.

Może przysłoby jej umrzeć na febrę albo od strzały czy noża jakiegoś bandyty, niegodnego skrobać zęzy w okręcie Czerwonego Bractwa. Zginęłaby nie czując już nigdy desek pokładu pod stopami, nie widząc brzemiennego wiatrem żagla, nie słysząc śpiewu wioślarzy, którzy wyprowadzają statek z portu...

Strząsnęła z siebie przeszłość. Teraz mogła żyć tylko od chwili do chwili, od jednego uderzenia wiosłem do następnego. Inaczej Conan straci punkt i ci, którzy wątpią w moc bladokórych przybyszów, będą się radować, a ona niepotrzebnie rzuci swe życie na szalę.

Jakieś dwadzieścia kroków od jej burty Aondo szczyrzył krzywe zęby w szyderczym uśmiechu. Potem podniósł wiosło i machnął nim w przód i w tył; nie można było nie zrozumieć wymowy tego gestu.

Valeria odpłaciła pięknym za nadobne. Ugryzła się w kciuk i udała, że rzuca go do wody, plując za nim. Mina Aondo zrzędła, gdy publiczność na brzegu zaniósła się śmiechem. Valeria usłyszała nawet parę głosów wykrzykujących jej imię jak okrzyk wojenny.

Pięćdziesiąt kroków za przeciwną burtą dwóch wojowników sędziujących tej próbie siedziało w swoich czółnach. Sędziowskie czółna miały po czterech wioślarzy, choć jedno z nich nie było

większe niż łódź, którą Aondo prowadził sam.

Valeria uznała, że Aondo najbardziej zależało na tym, żeby przemaszerować przed publicznością dumnie jak paw i zapiąć jak kogut na kupie gnoju. Niech mu to doda sił! Wybrała czółno, z którym na pewno sobie poradzi na całej długości wyścigu. Nieważne, jak długo Aondo będzie prowadził, byleby tylko pierwsza wpadła na metę.

Na brzegu odezwały się mówiące bębny Ichiribu. Mogły one przesyłać skomplikowane wiadomości, lecz dziś miały inne zadanie. Miały zdopingować ją i Aondo do większego wysiłku. Ich jednostajne, niskie dudnienie budziło dreszcz w jej brzuchu i wypełniało ją jak mocne wino. Valeria poderwała głowę, włosy otarły jej się o ramiona, a sędziowie podnieśli trójzęby. Kiedy opadną...

Chmury wodnego pyłu trysnęły spod rzuconych trójzębów, połyskując tęczą. Tęcza nie znikła jeszcze, gdy wiosło Valerii uderzyło w wodę i pchnęło czółno.

Wiosłowała tak jak ją nauczono, z wyprostowaną głową, by ramiona były swobodne i wszystkie mięśnie mogły je wspomagać w wysiłku. Aondo, jak zobaczyła, siedział skulony, jakby to miało napędzać czółno. Nie wiosłował tak gładko jak ona, ale jego mięśnie niebezpiecznie rozpędzwały łódź.

Kiedy mijali pierwszą boję, czółna dzieliła odległość najwyżej jednej włóczni. Valeria czuła pot spływający po twarzy i po całym ciele; jej opaska na głowę coraz mocniej nasiąkała. Dziękowała Mitrze, że założyła tylko cieniutką koszulę i skórzane podkładki, które chroniły dłonie przed otarciami.

Cały wyścig miał sześć boi, czyli około mili, może trochę więcej, jak oceniła Valeria. Przy drugiej boi została w tyle bardziej niż mogła sobie pozwolić, a włosy miała już tak mokre, jakby je zanurzyła w wodzie.

Do trzeciej boi nie nadrobiła straty, ale i nie pozwoliła, by Aondo bardziej się oddalił. Z niego też kapał perlisty pot, a jego czółno zdawało się zanurzać mocniej niż na początku. Czyżby nabierał wody, którą obficie rozpryskiwał silnymi uderzeniami wiosła?

Łodzie sędziów dotrzymywały im kroku, ale Valeria nie spodziewała się po nich wiele. Była nazbyt obca Ichiribu, honor może nie przemóc złej woli, kiedy ważyć się będzie jej los. Musi działać tak jak zawsze to robiła — postawić wszystko na swoje umiejętności i siłę, a resztę pozostawić bogom.

W dół, w tył, w górę, lekki obrót, w dół, w tył, w górę, znów lekki obrót. Wiosło pracowało jak koło młyńskie. Mięśnie brzucha i ud w ślad za rękami protestowały ostrym bólem. W dół, w tył, w górę, gwałtowny obrót tym razem, żeby strząsnąć pot z oczu, które piekły, jakby nalano do nich gorącego wosku.

Czółno Aondo od pewnego czasu szło jakby niepewnym kursem. Uderzenia wiosłem nie straciły jeszcze nic ze swojej siły. Czółno nie zanurzało się już tak głęboko. Czyżby zdołał je opróżnić, kiedy nie patrzyła? A może to tylko jej wyobraźnia podsunęła przedtem, że tak mocno się zanurzało?

Jednak z pewnością prowadził łódź coraz bardziej nierówno. To nie była wyobraźnia. Valeria nie

spuszczała oczu z wojownika. Aondo, kiedy sądził, że nikt nie patrzy, obrócił się ukradkiem i spojrzał na nią. Złość w jego spojrzeniu zmroziła w niej krew i niemal zamieniła pot w bryłki lodu. Gdyby Aondo miał decydować o jej losie, błagałaby o śmierć na długo, zanim by nadeszła.

Jej zalane potem oczy dostrzegły też coś innego. Aondo stopniowo wprowadzał czołno przed jej dziób. Nim dotrą do następnej boi, będzie musiała zwolnić albo zderzyć się z nim, a to by oznaczało, że przegra wyścig.

Wściekłość nie przytępiła jej umysłu. Musiała zaskoczyć przeciwnika, silnego jak bawół, ale niezbyt błyskotliwego. Zastanawiała się, kto podsunął mu ten zdradziecki pomysł, ale wątpiła, czy się tego dowie. Wiedziała tylko jedno — sam Aondo by na to nie wpadł.

Valeria nieznacznie zmieniła siłę i kąt uderzeń wiosłem, tak by czołno zaczęło schodzić lekko na prawą burtę. Poczowała przyływ energii, kiedy zobaczyła, jak Aondo zwalnia. Upewniło ją to, że podstęp się uda. Myślał, że wyczerpywały się jej siły i nie będzie mogła obronić się przed jego planem.

Kiedy dochodzili do czwartej boi, łodzi dzieliła tylko długość miecza. Aondo już połową czołna wszedł przed dziób Valerii i wiosłował tylko tyle, by utrzymać dystans. Wystarczy kilka uderzeń na pusto i jego czołno rozciągnie się przed nią jak kłoda.

Ale to Valeria puściła wiosło płazem po wodzie, celowo, ale tak, by wyglądało to jak błąd wiosłarza na granicy wyczerpania. Została lekko w tyle, ale tylko kilka kroków, potem nagle jej wiosło silnie odgarnęło wodę i czołno wystrzeliło za rufę Aondo.

Ten wrzasnął coś wściekle i dziko walnął wiosłem w wodę. Jednak uderzył z niewłaściwej strony, a zanim zdał sobie z tego sprawę, czołno gwałtownie skręciło, tak że położyło się na niemal odwrotnym kursie.

Valeria tymczasem oddaliła się na otwartą wodę. Nie dbała o to, czy Aondo spędzi resztę dnia kręcąc się w kółko, czy wyskoczy za burtę i zostanie zjedzony przez skrzydlice i krokodyle. Obchodziło ją tylko to, że lewą burtą mijają czwartą boję i mogła już śmielej rozkładać siły. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że jeszcze te siły miała.

Jej wiosło się zanurzało, po czym wyskakiwało po to tylko, by zapaść w wodę po drugiej stronie. Za każdym uderzeniem czołno zdawało się unosić w górę i przeciw naprzód. Woda za rufą bulgotała, słońce malowało tęczę na wzbijającym się przed dziobem wodnym pyle. Valeria zauważyła, że klęczy w wodzie, która zebrała się na dnie łodzi. Nie pozwoli sobie na spojrzenie wstecz. Dała z siebie wszystko, Aondo nie mógł już nic zmienić. Świat momentalnie skurczył się do monotonnego rytmu uderzeń wiosłem. Woda za burtami uciekała, piąta boja znikła za rufą, widać już szóstą i ostatnią...

Aondo znów się pojawił, teraz po lewej burcie. Nie chował chyba w zanadrzu żadnych sztuczek, ale miał jeszcze za dużo siły, by Valeria mogła być spokojna. Ale ona o tym nie myślała. Jej świat ograniczał się teraz do kolejnego uderzenia wiosłem. Nic więcej się nie liczyło, dopóki każde pociągnięcie pchało ją ku boi.

Czy Aondo jest teraz bliżej? Valeria nie zmarnuje nawet chwili, by spojrzeć za siebie. To nie ma znaczenia. Żadnego. Wiosłem w dół, w górę, obrót — aż wydało jej się, że rozpalona do białości klamra zaciska się na jej udach i krzyżu. — Heeej, Valerio!

Na świecie był tylko jeden taki głos. Valeria nie wiedziała, czy Conan cieszy się, że ona wygrywa, czy krzyczy, żeby mocniej wiosłowała. Sądziła, że nie ma już siły, ale grzmiący głos Cymeryjczyka dowiódł, że się myliła. Pruła w chmurze wodnego pyłu, wiosło fruwało od burty do burty, w górę i w dół, tak szybko, że prawie go nie widziała. Cała zmieniła się w mięśnie i ścięgna, kości i oddech.

— Valerio!

Znów usłyszała głos Conana, który tym razem utonął we wrzawie innych krzyków. Wszyscy wołali na nią — z brzegu, z jeziora, może nawet z nieba.

— Valerio! — Cymeryjczyk znów przekrzyczał tłum. — Wygrałaś! Valeria chciała krzyczeć razem z nimi, lecz usta miała suche, jak wypchane wełną. Otworzyła je, ale wydała z siebie tylko żabi rechot. Schyliła się ostrożnie, bojąc się, że oczy jej wypadną i potoczą się na dno łodzi. Czółno huštało się i kręciło. Sięgnęła po sztylet; otumaniona zmęczeniem wyobraziła sobie, że Aondo będzie chciał się zemścić za porażkę i zamordować ją na oczach wszystkich.

Wtem wielka, pełna odcisków od miecza dłoń chwyciła ją za rękę i pociągnęła. Obok niej, po pachy w wodzie stał Conan. Wyrwał jej wiosło i rzucił na dno łodzi.

Potem zobaczyła upstrzone chmurkami niebo, kiedy Cymeryjczyk wyciągnął ją z czółna i poniósł na rękach do brzegu. Poczwała, że chłodna woda jeziora łagodzi ból stóp i rąk. Odzyskała oddech i westchnęła przeciągle.

Wyszli na brzeg. Dziewczyna służebna, Mokossa, podbiegła z bukłakiem wody. Valeria wypiła odrobinę, bojąc się, że jej gardło i żołądek odmówią posłuszeństwa. Woda jednak pozostała w niej. Zaczęła chciwie pić.

Po chwili mogła już nawet stać, oparta o Conana. Wygodnie się na nim uwiesiła, a Ichiribu wykrzykiwali jej imię. W tym hałasie wychwyciła znajomy, niski głos:

— Nie musiałaś aż tak się wysilać, żebym cię wyniósł na brzeg! Niektóre kobiety nie mają nawet tyle rozumu co muchy!

Miała wielką ochotę go udusić albo chociaż kopnąć — ale należało pomyśleć o godności zwycięzcy. Ta godność nie pozwalała także okazać, jak bardzo marzy o odpoczynku. Chwyciła więc następny bukłak i opróżniła go sobie na głowę.

Wobeku zostawił broń przed drzwiami i trzymając ręce przed sobą, ostrożnie wszedł do chaty Aondo. Aondo był porywczy nawet kiedy mu się wiodło, więc teraz ostrożność była tym bardziej na miejscu.

Na widok Wobeku niewolnica podskoczyła i pobiegła w kąć chaty. Przycupnąwszy zrobiła znak przeciwko złemu oku. Aondo podniósł się i jakby od niechcenia chwycił ją za kostkę. Dziewczyna pisnęła z przerażenia. Jednak nie śmiała się bronić, gdy przyciągnął ją do siebie i przełożył przez kolano.

— Wobeku nie ma złego oka. Powtórz dziesięć razy.

— Wobeku nie ma... aaaj!

Ręka Aondo mocno spadła na jej pośladki. Dziewczyna z piskiem próbowała się wyrwać.

Wobeku popatrzył na zadymiony sufit. To nie jego sprawa, jak Aondo traktuje swoje kobiety. Ale nie miał dużo czasu, nawet jeśli ostatnia część pojedynku między Aondo i Conanem Bez Szczepu zostanie odłożona do jutra.

Kiedy Aondo skończył, dziewczyna jedną ręką masowała pośladki, a drugą wycierała oczy. Powłokła się do najdalszego kąta i przykucnęła. Wobeku nie współczuł jej. Gdyby zobaczyła te kobiety, które poważnie rozdrażniły wielkiego wojownika, mogłaby powiedzieć, że miała szczęście.

— Musi odejść — rozkazał.

— A kim ty jesteś... — warknął Aondo i zmrużył oczy. — To znaczy wyjść z chaty?

— Tak. Sądzisz, że jestem taki głupi, żeby wchodzić między ciebie a twoją kobietę?

Aondo odwrócił się do dziewczyny.

— Idź! Wyślę po ciebie Wobeku, kiedy skończymy.

Dziewczyna — nie ucieszyła się z polecenia, ale posłuchała. Wobeku też nie ucieszyła wizja zostania chłopcem na posyłki tego przerośniętego chłopaczka, któremu bogowie dali siłę dwóch ludzi i połowę rozumu. Ale posłucha, tak jak dziewczka... tyle że nie ze strachu.

— Aondo — powiedział, kiedy zostali sami — zhańbiono cię dziś.

— Jak śmiesz!

— Śmiem powtórzyć to, co wszyscy będą mówić, nim jutro zajdzie słońce.

— Kogo obchodzi, co będą mówić przed zachodem słońca? Po następnym wschodzie nikt nie powie nic przeciwko mnie. Wszyscy będą zajęci paleniem czarownika Conana.

— Jesteś pewny siebie.

— Jestem Aondo.

— To, że jesteś Aondo, nie uczyniło cię szybszym niż ta kobieta, Valeria.

— Znam sposoby, by kobieta stała się wolniejsza.

To prawda. Aondo wiedział, co zrobić, by kobieta zupełnie przestała się ruszać... aż jej krewni zanoszą ją na stos ciałopalny.

— Wiem, jak spowolnić każdego człowieka. Zwłaszcza tego, który będzie jutro wieczorem tańczył z tobą na bębnie.

— Nie potrzebuję takiej pomocy.

— Kto mówi o pomocy? Jesteś Aondo, który zwycięża bez pomocy. Ja proponuję przyjaźń.

— Ty miałbyś być czyjś przyjacielem? Jak rozpowiem wszystkim Ichiribu, że przyrzekłeś mi przyjaźń, poduszają się ze śmiechu.

Wobeku zrobiło się gorąco, a ręce same zacisnęły mu się w pięści. Nie śmiał okazać gniewu przed Aondo. Rzeczywiście był samotny, nie miał przyjaciół i nikt by go nie pomścił, gdyby Aondo go zabił.

— Jeśli przyjaźń źle brzmi w twoim uchu, nazwij to przysługą za przysługę.

— Nie daruję Valerii.

— Kto mówi, że mocarny Aondo ma zrezygnować ze swojej zemsty? — Wobeku przybrał niewinną minę. — Nie zostanie skrzywdzona, przysięgam. Ale nawet nie robiąc krzywdy, mogę zapewnić ci zwycięstwo.

— Powiedzmy, że wyświadczysz mi tę przysługę — rzekł Aondo. — Czego chcesz w zamian?

Wobeku o mało nie zatańczył z radości. Trójząb tkwił głęboko. Teraz pociągnij za linę i skrzydlica jest twoja.

— Wśród Ichiribu jest wielu takich, którzy rozmawiają z tobą, a ze mną nie.

Wobeku nie wspomniał, że ci ludzie nie tyle rozmawiali z Aondo, ile nie krępowali się w jego obecności. Myśleli, że zwalisty wojownik jest za głupi, by spamiętać ich słowa. Było w tym trochę prawdy, ale nie znaczyło to, by Aondo nie mógł stać się nową parą oczu i uszu.

— To prawda.

— Jest też prawdą, że czasem muszę wiedzieć o rzeczach, których nikt przede mną nie wyjawi. Powiem ci, o co chodzi. Ty będziesz patrzył i słuchał, a potem powtarzał mi, co widziałeś i słyszałeś.

— Kto jeszcze się o tym dowie?

— Tylko bogowie.

— Dobanpu nie?

— Szaman? Nigdy! Ani nikt z jego rodziny!

Aondo uspokoił się, że Wobeku nie zamierza szpiegować dla Dobanpu. Wiadomo było, że nie będzie już się nad tym zastanawiał. Prędzej księżyc zamieni się w miskę kaszy, niż Aondo domyśli się, że szpieguje dla Kwanyjczyków.

— Bogowie! Połamcie mnie raczej kołem, nie każcie mi tego znosić!

Emwaya uspokajała Valerię, a Mokossa nacierała olejem jej obolałe członki. Conan zaśmiał się, a Valeria spojrzała gniewnie.

— Jutro o tej porze nie będziesz się śmiał, Cymeryjczyku. Aondo wytrzyma długi taniec.

— Założę się, że nie dłuższy niż ja.

— O co się założysz?

— A co ty stawiasz, kobieto?

Valeria wybuchła śmiechem.

— Wiem, co chciałbyś, żebym postawiła, Conanie.

— Czy Emwaya nauczyła cię sztuki czytania myśli?

— Conanie, niektóre twoje myśli są tak oczywiste, że dziecko by je odgadło. Ja już jestem sporo starsza!

— O, tak — odparł Conan wodząc wzrokiem po nagim ciele Valerii. Zapewne każdy mięsień bolał ją jak przypalany żelazem, ale nic nie było widać na czystej skórze. — Szkoda, że nie możesz mnie zastąpić w tańcu — ciągnął. — Lepiej tańczysz, a w tym ubraniu zamroczyłabyś lepszego niż Aondo.

— Już to zrobiłam — rzuciła Valeria. — A może zapomniałeś, że ci ludzie uważają taniec bębna za męską magię? Nie uznaliby mojego tańca za żart, to pewne.

Conan zrobił niegrzeczną uwagę, proponując, dokąd Ichiribu mogą pójść, jeśli się im nie spodoba. Emwaya nie zrozumiała jego słów, ale ton głosu był jednoznaczny. Podniosła brwi, ale nie mogła powstrzymać śmiechu.

W końcu Valeria, śliska jak węgorz od wonnych olejków, przysnęła na swej macie. Kobiety Ichiribu odeszły. Conan usiadł koło Valerii i położył rękę na jej włosach. Valeria przekreśliła się sennie i z na wpół przymkniętymi oczami uszczypnęła go. Cofnął dłoń udając gniew.

— Ech, niech będzie po twojemu, kobieto. A już myślałem, że obchodzi cię, co się ze mną jutro stanie! Valeria przygryzła wargi.

— Uwierzyłbyś, gdybym powiedziała, że naprawdę mnie obchodzi?

— Każdy, kto wierzy kobiecie, zasługuje na większe cięgi niż dostałem.

— To nietrudno załatwić, Conanie.

Cymeryjczyk usiadł na swojej macie i ściągnął buty.

— Jutro wieczorem będziemy pić do późna i długo śmiać się z tych obaw. Dziś chcę się dobrze wyspać.

Valeria już spała, zanim Cymeryjczyk zdążył się położyć. Kiedy tak leżeli, odległy pomruk burzy przerodził się w gniewne bębnienie deszczu o dach.

Najpierw niebo przesłoniły chmury, a kiedy Ryku prześlizgiwał się przez mrok na spotkanie Chabano, spadł deszcz.

W taką noc nie musiał bać się zdemaskowania, chyba że przez czary kapłanów. Na naturalnych wrogów wystarczał deszcz, a Najwyższy Kapłan powinien go chronić przed ciekawością podwładnych. Jeśli tego nie robi, albo jeśli szaman Dobanpu wetknie tu swój nos, nadzieje Ryku na spełnienie ambicji skończą się, zanim na dobre się zaczną.

Ryku wmawiał sobie, że jego posepny nastrój jest skutkiem deszczu, a nie ostrzeżeniem duchów. Nagle błyskawica rozświetliła niebo, ukazując potężną postać stojącą przy drzewie. Postać była tak ogromna, że nie wiadomo, kto kogo podtrzymywał — drzewo wojownika czy odwrotnie.

— Chwała, Chabano. Szybko przyszedłeś.

— Twoja wiadomość przysłała na czas, zatem jestem. Mów.

— Mam dobre wieści. Mogę obiecać większą pomoc dla Kwanyjczyków...

— Nie znajdziesz między nami miejsca za Same obietnice, Ryku.

— Wcale tego nie chcę. Kazałeś mi mówić, to mówię.

— Głośno śpiewasz jak na małego ptaszka.

— Miodojad też głośno śpiewa, i dzięki temu niedźwiedź go słucha. Chabano warknął jak niedźwiedź, ale uciszył się zaraz, by wysłuchać tłumaczenia Ryku, czego chce Najwyższy Kapłan i co przyrzeka.

— Moi szpiedzy wśród Ichiribu nie przysięgali posłuszeństwa Ludziom–Bogom — powiedział w końcu Chabano.

Ryku pomyślał, że przysięgi szpiegów nadają się tylko na pokarm dla skrzydlic, ale głośno powiedział:

— Czyż nie mogą złożyć takiej przysięgi? Jeśli są na tyle sprytni by być twymi szpiegami, wiedzą, że Ludzie–Bogowie nie życzą źle Kwanyjczykom.

— Ja sam tego nie wiem — odparł Chabano. — A może powiesz, że brak mi sprytu?

Ryku uznał, że cokolwiek by teraz powiedział, mogłoby to być jego ostatnim słowem. Wzruszył więc tylko ramionami.

Chabano zaśmiał się tak donośnie, że zagłuszył deszcz, dorównując grzmotom.

— Nie wiem dużo o Ludziach–Bogach — powiedział wreszcie. — Ale ty mi wszystko powiesz, prawda?

Ryku skinął głową.

— Cieszę się. A moi szpiedzy mnie złożyli przysięgę, więc będą posłuszni, nawet jeśli to ma pomóc Ludziom–Bogom. Wiedziałaś o tym?

Ryku przyznał, że nie.

— Zatem musisz się nauczyć o Kwanyjczykach tyle, ile ja o Ludziach–Bogach. A może i więcej. Pamiętaj o tym i uważaj, co mówisz, kiedy spotkamy się następnym razem.

Ryku gotów był przyrzec uroczyście, że tak postąpi, ale zorientował się, że przyrzekałby ciemności. Chabano zniknął bezszelestnie jak kobra, chociaż bardziej przypominał szukającego miodu niedźwiedzia.

X

Zielone wzgórza zachodniego brzegu Jeziora Śmierci już dawno połknęły słońce. Teraz posrebrzone księżycem chmury zakrywały gwiazdy. W stronę wyspy Ichiribu wiał wiatr, na razie słaby, ale niosący zapowiedź nawałnicy.

Na szczycie najwyższego na wyspie wzgórza, stojąc po jednej stronie tanecznego bębna, Conan bacznie przyglądał się stojącemu naprzeciwko Aondo. Obaj mieli na sobie jedynie przepaski na biodra i skórzane pasy na kostkach i nadgarstkach, a ich twarze przybrały wyraz determinacji. Zwłaszcza Aondo starał się to pokazać. Conan wyglądał normalnie, czyli, jak mówili wśród widzów,

tak samo groźnie jak zawsze.

„Wyglądasz, jakbyś był gotów wyzwąć samych bogów, gdy tylko dadzą ci cień powodu” — powiedziała mu niegdyś pewna kobieta w odległym kraju. To miał być z jej strony komplement, chociaż należała do tych, którzy wątpią w istnienie bogów,

Niewiara Conana była innego rodzaju. Wątpił we wszystko, co kapłani mówili o bogach; czekał, aż bogowie sami przemówią. Ale że dotąd milczeli, uznał to za wystarczający powód, by polegać tylko na swoich umiejętnościach i sile.

Twarz rozjaśniła mu się nieco, gdy tak przyglądał się Aondo. Olbrzymi Ichiribu nie mógł pochwalić się błyskotliwym rozumem; wyglądał na powolnego jak stojący w bagnie bawół, ale to było zwodnicze. Conan widział w poprzednich próbach, jak potrafi być szybki. A nade wszystko Aondo znał sztukę tańca na bębnie od dziecka, podczas gdy życie Conana — teraz również Valerii, niech ją diabli! — zależało od tego, czy zdoła nauczyć się go w ciągu najbliższych chwil.

Conan dał spokój obserwacji Aondo i zaczął przyglądać się bębnowi.

Gigantyczny instrument stanowił niezbyt dokładne koło o średnicy około dwudziestu kroków. Ramę tworzyły belki, tak grube że można by z nich zbudować galerę. W świetle pochodni powierzchnia bębna miała jasnobrązowy kolor dobrze wyprawionej skóry bawołu, ale połysk malutkich łusek zdradzał inne pochodzenie. Wiedząc, jak wiele dziwnych zwierząt zamieszkiwało tę część puszczy, Cymeryjczyk nie zastanawiał się specjalnie, z którego z nich ta skóra pochodzi. Ważne, by utrzymała jego ciężar, dopóki nie wygra życia i wolności dla siebie i Valerii. Niechby sobie była choćby ze stwora mieszkającego na księżycu.

Zza kręgu widzów wysunęli się naprzód Dobanpu i Seyganko. Conanowi wydało się, że wśród ludzi widzi Emwayę i Valerię, ale w takim tłumie nie mógł być tego pewien. Wyglądało na to, że każdy, kto żyw, postanowił tu dziś przybyć, od niesionych na rękach niemowląt do czcigodnych starców.

Zawiał wiatr i omal nie zdmuchnął pochodni, których dym spowijał Conana jak wstęga. W powietrzu unosił się zapach egzotycznych żywic i ziół, których Conan nie spotkał nigdy w Czarnych Królestwach. Mógł się założyć, że plemiona znad Jeziora Śmierci nie kontaktowały się nawet z mieszkającymi bliżej morza krewnymi. Będzie czas, żeby ich lepiej poznać, kiedy zwycięży.

Podniósł ręce nad głowę i klasnął na znak, że jest gotów. Aondo zrobił to samo.

Poza oświetlonym przez pochodnie kręgiem uderzono w bębny. Brzmiało to raczej jakby dziecko stuknęło sobie dla zabawy, ale musiał to być rytualny sygnał, by tancerze zajęli miejsca.

Conan zauważył, że za drabinę prowadzącą na wysoki bęben służyła nie wzbudzająca zaufania, ponacinana belka. Złapał się brzegu bębna, ugiął kolana i jednym skokiem znalazł się na górze.

Zadudniło, jakby wszystkie bębny wszystkich galer z całego świata uderzyły naraz. Conanowi wydało się, że płomienie pochodni na chwilę zamarły. Na wszystkich twarzach, również Aondo, malowało się zdziwienie.

Mistrz Ichiribu miał przynajmniej tyle rozumu, by nie próbować powtórzyć wyczynu Conana. Wspiął się na bęben po kłodzie i dopiero wtedy skoczył na jego środek.

Znów po wzgórzu rozniosło się dudnienie i zamarło w ciemności nad jeziorem.

Conan ugiął kolana, żeby rozbujać skórę bębna. Uznał, że utrzymać się na nim nie jest trudniej niż na pokładzie statku, a na pewno łatwiej niż stanąć na grzbiecie konia. Nie oczekiwał jednak, że dalej też będzie łatwo.

Wobeku z poważną miną przyglądał się, jak tancerze przymierzali się do swego dzisiejszego zadania. Wątpił, by doświadczenie Aondo na coś mu się przydało. Był zanadto pewny siebie, no i nie doceniał przeciwnika. A stanąć przeciwko Cymeryjczykowi... to szaleństwo.

Tym lepiej. Im więcej Aondo będzie zawdzięczał Wobeku, tym lepszym będzie narzędziem w jego rękach. Im więcej wieści Wobeku zanieśe kwanyjskiemu wodzowi, tym wyższe zajmie miejsce, kiedy już zawładną wszystkimi ziemiami wokół Jeziora Śmierci.

Wobeku poklepał wiszącą przy pasie sakwę. Wyglądała jak sakwa zwykłego wojownika, w której można znaleźć łyżkę i miskę z tykwy, igłę z rybiej ości i ścięgna do naprawy ubrania, albo kilka kawałków suszonego mięsa czy solonej ryby. Nosił te rzeczy, owszem — ale po to, by zmylić kogoś, kto przypadkowo do niej zajrzy. Pod spodem leżały dwie części krótkiej dmuchawki i kołczanik z rybiego pęcherza ze strzałkami.

Szczepy mieszkające na południu używały dmuchawek długości człowieka; ta była nieduża. Miała zasięg krótszy niż pół dobrego rzutu włócznią. Ale dziś nie będzie musiał strzelać nawet z tak daleka, bo ofiara nie będzie się niczego spodziewać. Strzałka nie musi też głęboko ugodzić; wystarczy, że przebije skórę, by zadziałała trucizna.

Tylko Ludzie–Bogowie wiedzieli, co zrobić, by jad kobry nie tracił mocy na powietrzu. Strzałki stanowiły część ich darów dla Chabano. Dość małą część, ponieważ Wobeku miał ich tylko trzy. Czy zaklęcie konserwujące jad było tak skomplikowane, czy też Ludzie–Bogowie byli aż tak skąpi?

Chociaż... jeśli jedna strzałka wystarczała, to nie potrzeba nawet trzech. Ofiara nic nie podejrzewa, a kobry są dość pospolite na wyspie, więc wszyscy pomyślą, że to zwykły pech, aż w końcu będzie za późno. Za późno dla ofiary Wobeku, jak też jej pobratymca na bębnie.

W chłodnym wietrze dało się wyczuć nadchodzący deszcz, mimo to Conan był spocony, tak samo jak Aondo. Ich pot spływał na śliską skórę bębna, tak że jeszcze trudniej było utrzymać się na nogach.

Nie tylko pot przeszkadzał Cymeryjczykowi. Co jakiś czas wojownik Ichiribu padał na kolana, potem na brzuch, po czym z całej siły walił ogromnymi dłońmi w bęben, chcąc się szybko podnieść. To sprawiało bęben w bardzo niebezpieczny, nieprzewidywalny ruch.

Conan nie używał takich sztuczek. Szybko nauczył się, że ruchy bębna nie groziły upadkiem... o ile był na nie przygotowany. Nogi musiał mieć szeroko rozstawione i w odpowiednim momencie je

rozluźniać albo usztywniać, zależnie od wibracji bębna.

Taniec bębna nie przypominał wprawdzie niczego, co Cymeryjczyk kiedykolwiek robił, ale wymagał umiejętności, które od lat w sobie wyrabiał i doprowadził do perfekcji. Z nici tych umiejętności może utkać swe zwycięstwo.

Swymi sztuczkami Aondo tylko się osłabiał, co cieszyło Conana. Jednak nadal nie tracił tempa; był równie szybki jak na początku pojedynku.

Ciekawe, pomyślał Conan, jak Ichiribu rozstrzygną zawody, jeśli obaj skończą taniec na bębnie, niezdolni ruszyć palcem?

Roześmiał się na samą myśl. Roześmiał się jeszcze raz, gdy zobaczył, że denerwuje to Aondo. Na pewno wysilał umysł zgadując, jaki fortel szykuje Cymeryjczyk.

Kiedy Conan roześmiał się po raz trzeci, rywal zaczął wpadać w szal. Jeszcze trochę i nie zwróci uwagi na jego następny ruch, a to pewna porażka. Dla Conana cały świat skurczył się do bębna i stojącego na nim człowieka. Koncentracja na ruchach przeciwnika była dla niego najważniejsza w każdej walce na śmierć i życie, od kiedy dorósł na tyle, że zaczął posługiwać się sprytem, by wygrywać, zamiast liczyć tylko na młodzieńczą energię i może trochę na przychyłność łaskawych bogów. Dzisiaj powinno być podobnie.

Conan podskoczył wysoko, obrócił się w powietrzu, opadł na czworaki i poturlał się. Podniósł się na kolana i łokcie, mocno walnął nimi w bęben i odbił się w górę stając na nogi. Wylądował blisko brzegu bębna.

Aondo wydał zwycięski pomruk, gdy ujrzał zbliżające się zwycięstwo. Teraz on podskoczył bezmyślnie, wprawiając bęben w dziki taniec.

Conan celowo pozwolił, by ruchy bębna przeniosły go bliżej brzegu. Nie groziło mu nic poza tym, że rama się załamie. A wtedy według zwyczaju pojedynków zostanie zawieszony, aż cieśle ją naprawią.

Natomiast Aondo szybko wyczerpie siły, jeżeli nadal będzie podskakiwał jak pchła na gorącym blacie i nie zepchnie Conana z bębna. Chyba zapomniał o prastarej zasadzie: nigdy, jeśli to możliwe, nie opieraj swego zwycięstwa na sztuczce, którą możesz zrobić tylko raz.

Conan przestawił nogi, tak że drgający bęben sam odpychał go od brzegu. Jego dudnienie zagłuszało wiatr; niedługo będzie głośniejsze niż pioruny. Conan zastanowił się, jak widzowie mogą wytrzymać ten hałas; zauważył, że poszerzyli koło.

Valeria i Emwaya stały jedna obok drugiej, zaraz za wbitym w ziemię palem, na którym płonęły pochodnie. Conan spojrzął na Valerię i pomachał jej, a ona odpowiedziała mu tym samym. Potem obrócił się szybko, widząc że Aondo próbuje się zbliżyć.

Dotknięcie drugiego tancerza łamało wszelkie prawa i reguły gry, ale zbliżenie się do niego nie było zabronione. Jeśli nie miał on gdzie się dalej ruszyć, mogło to przynieść zwycięstwo. Mogło też

sprowokować go, by uderzył przeciwnika i przez to przegrał. Conan wiele by postawił na to, że Aondo właśnie przyszedł do głowy taki pomysł, chociaż... na jego spływającej potem twarzy widniała taka wściekłość, że mógł nawet zadać pierwszy cios.

Conan przez moment w to uwierzył, jednak zaraz odrzucił tę myśl. Takie zwycięstwo nie byłoby honorowe, nie dałoby jemu i Valerii pewnej pozycji wśród Ichiribu. Aondo był zresztą zbyt dobrym wojownikiem, by umrzeć tylko dlatego, że nie zdołał opanować gniewu.

Gdyby nie to, że życie Valerii zależało od niego, Conan nie zawahałby się tak rozstrzygnąć pojedynku. Ale w tej sytuacji musiał zrezygnować z tej sztuczki, chyba że naprawdę będzie musiał ratować siebie i swoją towarzyszkę.

Aondo zbliżył się jeszcze bardziej. Wyciągając rękę Conan mógł go teraz dotknąć. Przeciwnik był za wysoki, by go przeskoczyć, więc Cymeryjczyk czekał, aż on podskoczy. Wtedy mocno tupnął obiema nogami w bęben. Aondo spadł na drżącą skórę i zachwiał się, a próbując utrzymać równowagę spuścił Conana z oczu.

W tym momencie Conan wykonał najdłuższy w tym pojedynku skok. Spadł dobre sześć kroków za Aondo. Teraz to on stał tyłem do brzegu bębna.

Conan jeszcze bardziej zwiększył dystans, widząc że Aondo w furii jest gotów bić na oślep i narazić się na śmierć w hańbie. Nagle, akurat gdy wydało mu się, że wojownik się uspokaja, przez dudnienie bębna przebił się krzyk kobiety.

Valeria stała obok Emwayi z oczami wbitymi w bęben, gdy poczuła jakiś ruch. Zdawało się jej, że kobieta uniosła się w powietrze i odplynęła jakieś dwa, trzy kroki, nie dotykając ziemi. Kiedy na nią spojrzała, jej twarz była jak z kamienia.

Nagle córka Dobanpu zaczęła pocić się zupełnie jak wojownicy na bębnie; wyrzuciła w górę ręce, jakby chciała coś pochwycić, i krzyknęła.

Valeria natychmiast obnażyła miecz i sztylet, nie zważając na stojących obok Ichiribu. Ludzie otoczyli ich kręgiem, jakby Emwaya nagle stanęła w płomieniach.

Ona chwiała się, machała rękami i bezdźwięcznie otwierała i zamykała usta. Przewróciła oczami, aż było widać tylko białka, a wreszcie padła na kolana w konwulsjach.

— Wąż! — krzyknął ktoś.

Valeria okręciła się wokół własnej osi, aby dostrzec i pociąć na kawałki wszystko, co choć trochę przypominało węża. Zobaczyła czerwony spuchnięty ślad na ręku Emwayi.

Natychmiast zmieniła cel poszukiwań. Nie szukała węża, człowieka czy broni. Szukała określonego wyrazu twarzy — takiego, jaki powinien mieć morderca. Nie można go przeoczyć, zwłaszcza u mordercy, który właśnie ugodził niewłaściwą osobę. Chyba że był wybitnym fachowcem, jakich

Valeria nie spodziewała się znaleźć wśród Ichiribu.

Znalazła twarz o takim wyrazie. Rozpoznała ją, choć nie mogła przypisać jej żadnego imienia. Mężczyzna nerwowo próbował schować za stojącymi przed nim kobietami jakiś przedmiot, który trzymał w rękach.

Wiedziała, jaki los czekałby ją, gdyby zabiła niewinnego Ichiribu. Odwróciła sztylet i rzuciła tak, by ugodził rękojęścią. Rękojęść tę, dzieło najlepszych rzemieślników Nemedii, wieńczyła ciężka kula, służąca dokładnie temu celowi.

Mężczyzna — Wobeku, przypomniała sobie jego imię — w porę dostrzegł zagrożenie. Schylił się, sztylet lekko tylko go uderzył i odbił się w tłum. Okrzyk wojenny ostrzegł Valerię przed nadchodzącymi kłopotami. Chwilowo niepomna niebezpieczeństwa, podniosła miecz i wykrzyczała przekleństwa i ostrzeżenia w każdym znanym sobie języku.

Ichiribu może ich nie zrozumieli, ale umieli rozpoznać szaleństwo. Utworzyli przed nią ścieżkę, a ona rzuciła się na Wobeku akurat w chwili, gdy przykładał do ust coś, co przypominało dmuchawkę.

Jednak ani jej miecz, ani dmuchawka nie trafiły w cel. Złote płomienie otoczyły nagle Valerię, spadając z nieba jak deszcz. Ostrze cięło głęboko jakby ścianę gęstego miodu; posypały się z niego oślepiające iskry. W tej samej chwili złote płomienie owinęły się też wokół małego przedmiotu, który musiał być wystrzeloną w kierunku Valerii strzałką. Nie była widać metalowa, więc tylko błysnęła zielonkawo i znikła.

Złote płomienie utworzyły wysoki łuk, łączący rękę Emwayi z trzymaną przez Wobeku dmuchawką. Teraz on pokazał białka oczu, rzucił dmuchawkę i wziął nogi za pas. Płomienie rozświetlały niebo, aż Valeria musiała zmrużyć oczy, a w końcu całkiem je zamknąć. Jaśniały tak mocno, że miała ochotę rzucić miecz i zakryć twarz rękami. Słyszała wokół wrzaski i miała nadzieję, że to nie głos Emwayi.

Kiedy złote płomienie rozlały się nad wzgórzem, Conan był pewien dwóch rzeczy: Aondo wiedział o zdradzie, a Dobanpu robił wszystko, by ją pokonać.

Wojownik tańczył wokół Conana, tak manewrując, że Cymeryjczyk musiał patrzeć w oślepiający blask albo odwrócić się od przeciwnika. W normalnej walce nie miałyby to znaczenia, słuch Conana mógł wychwycić szelest spadającego liścia. Teraz kroki przeciwnika tonęły w ogłuszającym hałasie: dudnienie bębna, krzyki ludzi i grzmoty, które zdawały się przewalać z nieba na ziemię i z powrotem. Conan zamknął oczy, wziął głęboki wdech i ocenił położenie Aondo po smrodzie jego spoconego ciała.

Nie udało mu się dokładnie zgadnąć jego pozycji, ale to wystarczyło. Aondo ledwo otarł się o rękę Cymeryjczyka. W tym momencie mógłby chwycić i zrzucić Conana i nikt by tego nie zauważył. Spryt Aondo nie dorósł jednak do takiego fortelu. Uznał, że ma przed sobą bezbronny przeciwnika, lecz zaraz przekonał się, że był w błędzie. Jego wzrok też osłabł od blasku.

Po chwili płomienie zmniejszyły się, tak że ludzkie oko mogło już znieść jasność. Conan otworzył oczy, wyskoczył wysoko, lekko na bok i celowo opadł na kolana. Aondo ryknął jak szalony byk i rzucił się na Cymeryjczyka. Tłum wydał okrzyk przerażenia, widząc jak łamie się tabu.

Conan nie pozwolił się dotknąć. Upadł płasko i ogromną piersią walnął w bęben. Aondo stracił równowagę. Próbował ją odzyskać lecąc do przodu, w kierunku Conana, który zrobił salto i usunął mu się z drogi. Wojownik zrozumiał, że nic go nie uratuje; będzie musiał spaść z bębna. Zawył z wściekłością i przekoziółkował nad brzegiem bębna. Upadł między dwoma uzbrojonymi we włócznie wojownikami, którzy rzucili się, by go powstrzymać.

Równie dobrze mogli łapać wściekłego słonia. Gigantyczna pięść jednym uderzeniem złamała włócznię, druga rozciągnęła na ziemi następnego wojownika. Aondo poprawił jeszcze kopiąc leżącego w żebra, opuścił głowę i dał nura w tłum.

Inni wojownicy przepuścili go, ale zastąpili drogę Cymeryjczykowi, który zeskoczył z bębna goniąc olbrzyma. Podniósł pięść, gotów powiększyć liczbę leżących na ziemi, nieprzytomnych wojowników.

Valeria przepchnęła się przez tłum z przeciwnej strony, pomagając sobie ręką i łokciem. Zaraz potem krzyknęła zaskoczona, kiedy Conan zarzucił jej ręce na szyję.

— Na bogów, Conanie! Jesteś gorszy niż tortury albo Mokossa z jej olejkami!

Trzymając ręce na jej ramionach spojrzał głęboko w oczy Valerii, by upewnić się, że są jak przedtem żywe i rozumne. Potem zaśmiał się cicho.

— Ten krzyk ... to nie ty?

— Nie pierwszy. To Emwaya krzyczała. Ugodziła ją strzałka z dmuchawki... wymierzonej we mnie.

Conan czuł, że powraca jego siła, ale nadal myślał wolno jak Aondo.

— Strzałka?

— To Wobeku — wyjaśniła Valeria i opowiedziała co zaszło. Conan powoli dochodził do siebie. Zanim skończyła, odzyskał siłę i oddech.

— Gdzie mój miecz?

— Conanie...

Cymeryjczyk podniósł ją z ziemi jedną ręką.

— Kobieto, prosiłem o miecz. Chcę nim zabić Aondo i Wobeku. Czy to tak trudno zrozumieć? Może odebrało ci słuch?

Valeria odchyliła głowę i roześmiała się tak zaraźliwie, że Conan się do niej przyłączył i rozluźnił chwyt. Kiedy stanęła znów na ziemi, odwróciła się ku niemu.

— Oto twój miecz, Conanie.

To Seyganko trzymał przed sobą broń i pas Cymeryjczyka. Za nim stało sześciu wojowników, każdy wyposażony w dwie włócznie i trójzęb; niektórzy mieli też maczugi, dzidy i sznury zakończone kamieniami.

Conanowi przeszło przez głowę, że w jakiś sposób przegrał pojedynek, a dawano mu broń, by mógł honorowo stoczyć ostatnią walkę. Wtedy spostrzegł, że ponure oczy wojowników patrzą w bok. Tylko Seyganko spoglądał na niego.

Conan przezornie uzbroił się, zanim przemówił.

— Seyganko, mam nadzieję, że mogę razem z wami ścigać tych pohańbionych...

— Ichiribu osądzą hańbę jeszcze surowiej niż ty, przyrzekam — powiedział Seyganko. Potem złożył rozmaite przysięgi, które — jak wiedział Conan — miały bardzo duże znaczenie w Czarnych Królestwach, kilku z nich Cymeryjczyk nie znał, ale brzmiały szczerze.

Jego pomoc w pościgu nie była zatem mile widziana. Co więcej mógł uczynić?

— Jak się czuje Emwaya? — zapytał. Seyganko starał się zapanować nad sobą.

— Jest w rękach ojca i bogów. Byłoby łatwiej ją uleczyć, gdyby Wobeku nie upuścił broni, która ją zraniła. Dziecinnie łatwo byłoby go zniszczyć.

Porzucona broń Wobeku... to nie docierało do Cymeryjczyka. Ale cóż, cała sprawa cuchnęła magią, więc może nic nie stracił. Uznał, że nie należy Wobeku traktować jak bezbronną ofiarę tylko dlatego, że nie miał broni, po czym dalej słuchał Seyganko.

— Na razie Wobeku uciekł. Emwaya leży i choć nie cierpi, jest w wielkim niebezpieczeństwie, mimo umiejętności jej ojca. Jeśli sądzisz, że twoi bogowie mają jakąś moc na tej ziemi, módl się do nich.

Conan skinął głową. Seyganko podniósł rękę, a jeden z wojowników podał mu włócznie.

— Przysięgam na tę broń, nosicielkę śmierci dla zdrajców, że nie skrzywdzę ciebie ani twojej kobiety. Cokolwiek się dziś w nocy stanie, możecie opuścić nasze ziemie. Ale jeśli Emwaya umrze, nie znajdziecie przyjaciół ani we mnie, ani w moich ludziach.

Seyganko odwrócił się i na czele swojego oddziału odmaszerował w mrok, który teraz, gdy znikły złote płomienie, wydawał się jeszcze ciemniejszy.

Wobeku biegł, jakby czuł Żywy Wiatr tuż za plecami. Wiedział, że na wyspie nie znajdzie żadnej kryjówki, będą go pewnie szukać nawet kobiety i dzieci. O mało się nie potknął, kiedy wyobraził sobie, co zrobiłyby mu kobiety, gdyby Emwaya umarła. Modlił się, żeby zdążyć dotrzeć do ukrytego

czołna, zanim go dopadną, a jeśli mają go złapać, niech to będą wojownicy, nie kobiety. Gdy przekroczył przełęcz na północnym brzegu wyspy, był pewien, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Teraz droga prowadziła z górki aż do samego czołna.

Pozwoliło mu to trochę zwolnić i starać się biec ciszej. Nie było możliwe, żeby wojownicy dostali się do brzegu szybciej niż on... ale ludzie często umierali tylko dlatego, że byli zanadto pewni siebie. Wobeku trzymał się z dala od szlaków i zboczy pokrytych luźnymi kamieniami albo gęsto zarośniętych; tam mógł go zdradzić hałas. Bardzo pomógł mu deszcz, który zaczął padać, gdy połowę zbocza miał za sobą. Błyskawice rozświetlały niebo niemal tak jak wyczarowane przez Dobanpu złote płomienie.

Boże Męskości, chroń go! Zwycięstwo i śmierć minęły go o włos; na samą myśl o tym miał ochotę wyc jak hiena. Gdyby Emwaya nie złapała strzałki, Valeria już by nie żyła. Przecież Dobanpu nie wezwałby dla niej duchów, a jej śmierć oznaczałaby koniec Conana. Najwyraźniej są bliskimi przyjaciółmi, więc złamałoby to serce wielkoluda, zostawiając Aondo z łatwym zwycięstwem.

Jednak gdyby Wobeku nie porzucił dmuchawki, Dobanpu odwróciłby truciznę od Emwayi z powrotem do niego! To on leżałby teraz konając od jadu kobry, ze świadomością — jeżeli miałby jakąś świadomość — że kiedy wyda ostatnie tchnienie, cały szczep będzie bawił się i pił piwo, z Emwayą na czele.

Potknął się z tej złości i zjechał kilka kroków po śliskiej od deszczu ziemi. To potknięcie uratowało go.

Z miejsca, w którym ukrył czołno, wyskoczyło dwóch chłopców. Byli w wieku, w którym ledwo mogli pilnować stad, więc mieli tylko krótkie włócznie. Ichiribu nazywali ich bidui.

Tabu zabraniało pasowanemu wojownikowi, jak Wobeku, zabić ich lub choćby walczyć z nimi. Wobeku jak dotąd nie zhańbił się złamaniem tabu; Valeria nie należała do żadnego klanu, a być może była czarownicą. Teraz też nie chciał tego robić. Gdyby ich zabił, czekałyby go gorsze rzeczy niż oddanie w ręce kobiet... a co by się z nim stało po śmierci!

Wobeku sprawnie jak myśliwy podczołgał się i ukrył za krzakami. Deszcz i grzmoty zagłuszyły wszelki hałas. Zobaczył, że czołno było całe, choć do połowy napełnione deszczówką. Obok niego leżało wyciągnięte na brzeg mniejsze czołno. Chłopców pewnie zaskoczyła ulewa, więc dopłynęli do brzegu, gdzie znaleźli ukrytą łódź.

Odważne chłopaki... sami na jeziorze po zmroku, zwłaszcza w taką noc, kiedy na wzgórzu walczą na bębnie. Nie przestraszają się byle czego. Jak by się tu ich pozbyć?

Tuż za Wobeku zatrzeszczały łamane gałęzie, jakby wielki głaz toczył się po zboczu. Odwrócił się i o mało nie wypadł z krzaka. Zaklął cicho.

Potykając się, zbiegał z góry broczący krwią Aondo. Biegając na oślep musiał wpaść w gęstwinę ciemnych krzaków; był niemal nagi i mocno poraniony.

Zakrwawioną ręką trzymał włócznię, za pasem, który był jego jedynym odzieniem, miał zatkniętą maczugę. Bidui podskoczyli, gdy wytoczył się na polanę. Podnieśli włócznię, a jeden z nich odczepił od pasa sznur z kamieniem na końcu.

— Dawać łódź! — rzucił Aondo. Przynajmniej tak wydawało się Wobeku, bo brzmiało to raczej jak warknięcie dzikiego zwierza, niż ludzki głos. Chłopcy popatrzyli na niego, jakby był potworem, z którym należy walczyć.

Teraz wydarzenia rozegrały się w czasie krótszym niż jeden oddech. Bidui ze sznurem zaczął nim kręcić nad głową, a jego towarzysz postąpił krok naprzód. Trzymał małą włócznię wymierzoną odważnie w pierś wojownika, aby dać koledze czas na dobry rzut. Może też chciał przebić się przez szaleństwo Aondo i przypomnieć mu o tabu.

Pięść Aondo uderzyła chłopaka w twarz. Poleciał do tyłu, jakby go odrzucił szarżujący byk. Trzask czaszki rozbijającej się o leżący na brzegu kamień wydał się Wobeku głośniejszy niż piorun.

Drugi chłopak rzucił sznurem, który owinął się na ręku Aondo, a kamień niegroźnie odbił się od jego piersi. Olbrzym przerzucił włócznię do wolnej ręki i cisnął. Chłopak zginął przyszpilony do drzewa.

Wobeku nie dał Aondo czasu na radość ze zwycięstwa... albo na lament nad losem, który sam sobie zgotował. Wyskoczył z kryjówki i długimi susami sadził do brzegu.

Na wpół oszalały Aondo wyczuł jego obecność, ale siła i szybkość opuściły go już. Zdołał tylko chwycić za maczugę, kiedy Wobeku rzucił włócznią. Przebiła brzuch olbrzymiego wojownika i wyparła z niego oddech. Aondo ujął drzewce, nie bardzo rozumiejąc, co się stało.

W tym czasie Wobeku dopadł łodzi i odciął cumę. Jeszcze tylko wiosło i pchnąć z całej siły.

Aondo wydał nieludzki okrzyk i zeskoczył z brzegu wprost na rufę czółna Wobeku, które rozpadło się jak patyk pod uderzeniem siekiery. Aondo wpadł do wody; szaleńczo machając rękami wypłynął na powierzchnię, a krew i drzazgi pływały wokoło. Wobeku wyleciał w powietrze, lądując głową na dół w płytkiej wodzie, a uderzając o leżące na dnie kamienie o mało nie wybił sobie z głowy mózgu.

Aondo wrzeszczał z bólu, a zawył jeszcze mocniej, gdy nagle jakiś wielki, ciemny kształt chwycił go pod wodą w pół. Wynurzył się z wody i na oślep próbował się tego pozbyć; wyciągnął sobie nawet z brzucha włócznię i cisnął w dół.

Nie pomogło. Rozpryskiwana woda mieszała się z deszczem, gdy krokodyl machając ogonem oddalał się od brzegu z Aondo w pysku. Przez chwilę wystawały z wody głowa i tułów, potem już tylko głowa. Potem Wobeku usłyszał bulgotanie i zobaczył spieniony wir.

Oszołomiony wojownik wyczołgał się czym prędzej z wody, ukląkł na brzegu i zwymiotował. Kiedy wstał, widział już tylko deszcz i czółenko chłopców bidui. Było za małe nawet dla niego, nie utrzymałoby Aondo... ale Aondo już go nie potrzebował.

Wobeku przeciwnie. Kiedy znajdą ciała chłopców, a nie będą mogli odnaleźć Aondo, nikt na wyspie nie będzie wątpił, że to Wobeku zhańbił się tymi morderstwami. Na jeziorze nie będzie musiał

poddawać się żadnemu osądowi. Bogowie wiedzieli, że był niewinny przelania krwi chłopców... jeśli bogowie wiedzieli cokolwiek, ale na to pytanie nie spodziewał się otrzymać odpowiedzi tej nocy. Wśliznął się do czółna, wypróbował dostosowane do niższego wzrostu chłopców wiosła, rzucił lianę i odepchnął się od brzegu. Zanim wszedł w jednostajny rytm, widok brzegu zasłonił mu deszcz. Wobeku pozostał sam z jeziorem, bogami i strachem — drżał na samą myśl, jak też Chabano wynagrodzi go za tak spartaczone zadanie.

Gliniany dzban w kącie chaty pełen był dobrego piwa — od rana, kiedy go przyniesiono, nic z zawartości nie ubyło. Gardło Conana wyschło jak wyżyny Iranistanu, Valeria również była spragniona, ale oboje pili tylko wodę.

Przytomny umysł przydawał się w walce, ale czy rzeczywiście czekała ich tej nocy walka? Conan ufał Seyganko, który złożył takie przysięgi, że ciarki przechodziły na samą myśl o ich złamaniu. Mogli być pewni, że nie stanie im się krzywda, nawet jeśli Emwaya umrze.

Conan nie przepadał za modlitwami, ale mruczał teraz pod nosem te nieliczne, wygrzebane z zakamarków pamięci słowa, które przypominały bogom o tym, że ktoś potrzebuje pomocy. Valeria pomodliła się na głos do wszystkich bogów Aquilonii i teraz słała modlitwy bogom Shemu i Zingary. Wierzyła w to czy nie, modliła się tak zawzięcie, że żaden bóg nie dostrzegłby różnicy. Poza tym, pomyślał Conan, nawet bóg powinien dwa razy się zastanowić, nim odrzuci prośbę kogoś o takim wyrazie twarzy.

Na zewnątrz zadudniły kroki. Czyżby szli już po nich? Conan położył miecz na kolanach, zobaczył, że Valeria robi to samo, i uświadomił sobie, że to tylko dwie pary stóp. Deszcz osłabł.

— Wejdźcie! — zawołał dziwnie słabym głosem. Wskazał na dzban z piwem i kubki, Valeria zaczęła je napełniać, gdy słomiana zasłona w wejściu odsunęła się i weszli Seyganko z Mokossą.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by domyślić się, jakie przynoszą wieści. Conan podskoczył; czuł się tak wspaniale, że znów mógłby tańczyć z Aondo, a potem gonić Wobeku aż nad morze. Złapał ich za ręce tak mocno, że dziewczyna pisnęła, nawet Seyganko z trudem wytrzymał uścisk.

— Tak, to prawda. Emwaya, moja narzeczona, będzie żyła i wyzdrowieje.

— Jak czuje się jej ojciec? — zapytała Valeria. — Jemu też zawdzięczam życie.

— Nic się nie stanie, jeśli Ichiribu nie będą przez kilka dni rozmawiać z duchami — powiedział sucho Seyganko. — Ta noc skończyła się inaczej, niż się spodziewaliśmy, kiedy zapadał wieczór.

— Chodzi ci o to, że Conan i ja jeszcze żyjemy? — wyzywająco zapytała Valeria. Conan położył rękę na jej ramieniu, ale ją zrzuciła.

Seyganko zawstydział się mocno.

— Mój język zawodzi w potrzebie. Nie! Życzyliśmy Conanowi zwycięstwa, ale nie chcieliśmy

niepokojów wśród ludzi. — Wsparł się na włóczni jak starzec na lasce. — Aondo i Wobeku uciekli, ale przedtem zamordowali dwóch chłopców bidui i zabrali ich czółno. Złamali tabu, musimy ich odnaleźć albo duchy przeklą Ichiribu. Nasze pola na wyspie i na drugim brzegu wyjałowiejają. Krowy wyschną i nie będą dawać mleka. Ryby popłyną w dół rzeki, poza zasięg naszych łodzi...

Recytował tę litanie ewentualnych nieszczęść, aż Mokossa ścisnęła go za rękę; Seyganko wyglądał, jakby nagle obudził się z drzemki.

— Nie można wydać uczyty powitalnej, dopóki przestępcy nie zostaną złapani. Bogowie nam wybaczą, jeśli damy tobie i twojej kobiecie towarzystwo na tę noc i następne, według waszego życzenia.

Conan powstrzymał się od śmiechu, bo Seyganko wyraźnie nie był w wesołym nastroju. Teraz zrozumiał, dlaczego Mokossa przerwała lament wojownika... wiedział też, kogo chciała przeznaczyć na partnerkę Conana na tę noc.

Wreszcie Cymeryjczyk nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Seyganko spoglądał na Valerię jak na nieprzyjemny obowiązek, który musi spełnić dla dobra swojego szczepu. Na szczęście wojownik był na tyle rozsądny, że także obrócił wszystko w żart.

— Wielkie dzięki ludziom Ichiribu, bez obrazy dla ich pięknych dziewcząt — rzekł Conan. — Moja kobieta i ja dobrze się znamy i jesteśmy związani przysięgą, jak ci mówiłem.

— Możemy chociaż przysłać wam więcej piwa? — niemal błagalnie zapytał Seyganko, patrząc na Valerię.

— Jak sobie życzycie — odparł Conan. Spojrzał na zasłonę w drzwiach; już po chwili został sam z Valerią. Z Valerią, która właśnie zdjęła koszulę. Nie zobaczył nic nowego, rozbierała się przy nim z tuzin razy... ale pierwszy raz na taki widok zawrzała w nim krew.

Postąpił krok naprzód, a Valeria wyciągnęła rękę. Ujął ją, a ona przycisnęła drugą rękę do jego piersi.

— Wiesz, że będziesz musiał to udowodnić — powiedziała podchodząc jeszcze bliżej.

— Co udowodnić?

— Że dobrze mnie znasz.

Zaśmiał się i pocałował ją, tym razem w usta, które rozchyliły się, gdy tylko ich dotknął.

— Mamy całą noc przed sobą. Jeśli nawet nie znam cię tak dobrze, na Erlika, do rana poznam cię całą! — Podniósł ją, a ona przytuliła się na chwilę do jego piersi, po czym uniosła spragnioną pocałunków twarz.

— Coś chwyciło przynętę — powiedział Conan. Siedząca na rufie czółna Valeria wyprostowała się i sięgnęła po trójzęb. Miała na sobie koszulę Ichiribu, naszyjnik z zębów skrzydlicy i szeroki kapelusz z palmowych liści przywiązanych lianami do trzciniowego szkieletu.

Conan, ubrany tylko w przepaskę, za którą tkwił sztylet, przysiadł na środku łodzi i zaczął popuszczać linkę. Na rękę miał skórzaną rękawicę, aby wykonana z lnu i ścięgien szorstka linka nie przecięła mu dłoni. Obok niego, na dnie łodzi leżały ich miecze oraz łuk Valerii; broń była owinięta natłuszczoną skórą byka i jeszcze na wierzchu woskowanym lnem.

Niektórzy wojownicy wciąż odnosili się do dwójki przybyszów z nieufnością; wybierając się na taką wyprawę jak dzisiejsza nie mogli sobie pozwolić na zostawienie broni na brzegu, musieli zatem zabezpieczyć ją przed wilgocią. Najbliższy kowal, który potrafiłby zrobić nowe ostrza lub choćby naprawić stare, był co najmniej o miesiąc drogi od Jeziora Śmierci.

Wreszcie ryba przestała ciągnąć linkę. Conan zaparł się i zaczął ją wybierać. Valeria czekała z uniesionym trójzębem. Druga lina, jednym końcem przywiązana do wbitego w dno łodzi kołka, leżała luźno zwinięta na rufie.

Ryba walczyła zaciekle, ale Conan nie tracił czasu na zabawę. Uznał, że linka wytrzyma naprężenie, jakie ryba mogła wywołać, i pociągnął z całych sił.

Wokół czółna pojawiły się fale i zaraz potem zobaczyli szarpiące się na haczyku cielsko. Valeria nie spuszczała z ryby oka, szukając miejsca, w które można by wymierzyć trójzęb. Conanowi na pewno spodobałoby się to, jak piersi Valerii zabawnie poruszały się w miarę jak jej ręka podążała za rybą, ale nie miał czasu by je podziwiać.

Nagle ryba wyskoczyła, ale trójzęb był równie szybki. Krew i piana pokryły fale, gdy z ryby uciekały resztki życia o łokieć od łodzi. Valeria chwyciła za ogon, Conan za głowę i wciągnęli ją na pokład. Grisku, jak ją nazywali Ichiribu, długa na jedną trzecią łodzi, ważyła tyle co nowo narodzone cielę.

Valeria skrzywiła się, kiedy przez grisku przeszedł ostatni dreszcz.

— Tyle pracy dla takiego czegoś? Wiesz, że smakują jak glina.

— Ichiribu je lubią, a my nie będziemy musieli jej jeść. Dobrze wiesz, że im więcej przyniesiemy ryb, tym mniej nas będą podejrzewać.

— Ja im ufam. Ty nie?

— Większości tak, przynajmniej na tyle, na ile ufam wszystkim cudzoziemcom, kiedy jestem między nimi. Ale nie trzeba wielu wrogów, żeby zgotować kłopoty.

— W każdym razie, Conanie, niech tych wrogów będzie mniej. Dzień i noc suszysz mi głowę

pomysłem wojny z Kwanyjczykami.

— Nie każdej nocy, Valerio. Kilka spędziliśmy inaczej. Pociągnęła nosem.

— Jeżeli już zniżyłam się do tego, by wpuścić do łóża wielkiego, cymeryjskiego prostaka, mógłby mi przynajmniej nie wypominać tego za dnia.

— A wolałabyś, żebym o tym zapomniał?

Valeria zrobiła wulgarny gest i przypieczętowała go jeszcze wulgarniejszą odpowiedzią. Potem zaśmiała się.

— No tak, nie chcę kłócić się z Ichiribu. Wojna z Kwanyjczykami może być dobrym sposobem na spędzenie czasu.

— Lepszym od innych. Jeśli połowa z tego, co mówią o Chabano, jest prawdą, on zamierza założyć sobie imperium. A to może go popchnąć przeciw moim starym przyjaciołom znad morza, jeśli się go nie powstrzyma.

— Ale to nie są moi przyjaciele — zaprotestowała Valeria, chociaż niezbyt stanowczo. Tak jak on, należała do ludzi, którzy dwa razy pomyślą, zanim przepuszczą okazję do bijatyki. Tym bardziej jeśli miało się do spłacenia dług, jak oni szczepowi Ichiribu.

Ponadto...

— Myślę sobie — powiedział Conan — że jeśli Dobanpu się zgodzi, moglibyśmy zbadać te tunele pod wyspą. Jeżeli prowadzą do kwanyjskiego brzegu jeziora, będzie można pewnej nocy wspiąć się do sypialni Chabano.

— A Złote Węże?

— Co z nimi? — zapytał Conan wzruszając ramionami. — Będziemy mieli dosyć ludzi po naszej stronie, żeby poradzić sobie z każdym Złotym Wężem. Poza tym im więcej Złotych Węży, tym więcej ognistych kamieni.

— No tak. — Przez chwilę błękitne oczy Valerii rozblęskły zielonkawo, kiedy jej piracką duszę rozgrzała myśl o takim łupie.

Geyrus, Najwyższy Kapłan, przyjął pozycję medytacyjną. Ryku z szacunku zrobił to samo. Wątpił, by ten gest oszukał Najwyższego, ale mógł oddalić otwartą kłótnię.

Jeśli Najwyższy rzeczywiście zamierzał zejść z Góry Burz na spotkanie z Chabano, Ryku nie musiał się obawiać. Obecność kwanyjskich wojowników, razem z jego nowymi umiejętnościami, czyniły Ryku odpornym na wszelkie niespodzianki, jakie Geyrus mógł mu zgotować.

Mężczyźni trwali w pozycji medytacyjnej tak długo, aż Ryku zaczął się niecierpliwić, a zeszywniałe ręce i nogi dały o sobie znać. Najwyższy Kapłan dotrzymał obietnicy: przekazał Ryku większą część wiedzy kapłańskiej. A czego go nie nauczono, Ryku zdołał poznać sam, włączając w to również sztukę, której kapłani nie uznawali. Mocno z tego powodu ucierpiał. Często nie dosypiał, znosił pragnienie, głód, dotkliwy ból, doprowadzając swoje ciało do granic wytrzymałości. Przekonał się przy tym, że choć uznawał się dawniej za mężczyznę, był jedynie młodzikiem.

Zdawało się, że księżyc zdążył z pełni przejść w now i ponownie do pierwszej kwadry, zanim kapłan skończył medytować. Gdy Ryku ujrzał jego oczy, pożałował, że nie trwało to rzeczywiście tak długo.

— Ryku, nie jestem zadowolony, że tak mało wiedzy o Ichiribu zebrałeś od Chabano.

— Badałem wiedzę Kwanyjczyków tak samo gorliwie, jak studiowałem sztukę kapłańską. Chwaliłeś moją gorliwość w tej drugiej sprawie. Nie proszę o pochwały za pierwszą, jeśli owoce mego wysiłku nie dorównują twym oczekiwaniom, ale przysięgam...

— Nie składaj próżnych przysięg w Grocie Żywego Wiatru — powiedział ostro Geyrus.

Tak jakby prosił Ryku o coś, czego kapłani nie wymagali nawet sami od siebie. Czyżby Geyrus próbował zastraszyć go taką dziecienną groźbą? A może wiedział o Żywym Wietrze coś, czego mu nie przekazał?

Gdy o tym pomyślał, grotą wydała mu się nagle chłodniejsza niż normalnie. Zaczął przeszukiwać w pamięci zdobytą wiedzę w nadziei, że znajdzie odpowiedź na to pytanie. Był pewien — tak jak tego, że żyje — że staruch nie powie mu tego dobrowolnie.

— Jeśli nie wolno mi przysiąc, czy wolno mi myśleć?

— Twój język stał się ostry, Ryku.

— Ufam, że także mój rozum nie stał się tępy. Chciałbym prosić o prawo towarzyszenia ci, panie, w spotkaniu z Chabano. Uważam, że ze mną będzie mówił bardziej swobodnie niż z tobą, o ile znajdzie okazję uczynienia tego bez wiedzy wojowników.

— Chu nadal boją się Ludzi–Bogów?

— Tak.

— Rzeczywiście, powinni — powiedział Geyrus wstając. Wyglądał potężniej niż wskazywałyby przeżyte lata, które przecież ujmują ciału wagi. — Dobrze. Jeśli Chabano chce sprzedawać zepsute ryby jako świeże, trzeba nauczyć go jaśniej myśleć.

Geyrus wyszedł, nie nakazując Ryku iść za sobą. Cichy Brat powrócił do pozycji medytacyjnej, ale myśli jego powędrowały gdzie indziej. Czyżby Chabano mniej wiedział o sprawach Ichiribu niż twierdził? To nie było prawdopodobne. Przecież miał szpiegów na pastwiskach, na polach, nawet na samej wyspie. Choć równie dobrze ci szpiegdy mogli wpaść w ręce Ichiribu lub nie zdołali przesyłać mu wiadomości.

Dobrze byłoby dowiedzieć się czegoś o tym. Geyrus nie będzie bez końca powstrzymywał gniewu, gdy dowie się, że ubił kiepski interes. Jeśli Ryku pozna prawdę, zanim zrobi to Najwyższy Kapłan, będzie mógł przynajmniej uciec do Kwanyjczyków.

Ryku wątpił, by Geyrus otwarcie wyzwał Chabano za jednego zbiega. Geyrus był stary, zmysły miał lekko pomieszane stratą tej nieszczęsnej dziewczki, ale nie był głupcem. A to oznaczało, że Ryku będzie musiał na tym spotkaniu być gotów do użycia sztuki kapłanów, tak by strona, której zechce pomóc, miała powód do wdzięczności.

Zbiornik lampy wypełniał rybi tłuszcz pomieszany z łojem i rozdrobnionymi ziołami. Valeria uważała, że wachała już w życiu przyjemniejsze zapachy, ale Seyganko i Emwaya łąpczywie wdychali dym. Conana nic nie wzruszało, żadna niewygoda — duża czy mała.

Valerię zdumiewało, że człowiek mógł nauczyć się takiej wytrzymałości. Ale cóż, Conan pobierał nauki w brutalnej szkole życia, gdzie albo się wytrzymywało, albo umierało. Jeszcze gdy był wolnym młodzieńcem w rodzinnej Cymerii, kamieniste stepy i śnieżne zimy udzieliły mu pierwszych lekcji.

— Valeria i ja nauczymy wojowników Ichiribu całej naszej sztuki wojennej, którą będą chcieli poznać, by dorównać Kwanyjczykom na lądzie — rzekł Conan. — Widzieliście, jak dobrze Valeria zna sztukę walki na łodzi.

— Widzieliśmy — przyznał Seyganko. — Użyłeś słów „będą chcieli poznać”. Nie „musieli”.

— Mam dużą wiedzę i doświadczenie wojenne, wiele czasu spędziłem w Czarnych Królestwach — wyjaśnił Conan. — Nie zdobyłem imienia Amra siedząc na złotym tronie i pieścąc konkubiny.

— Bez wątplenia nie były z tego zadowolone — powiedziała Emwaya. Valeria na tyle już rozumiała język Ichiribu, by skwitować to uśmiechem. Emwaya czasem wyglądała tak młodo, że mogłaby być jej córką, a czasem okazywała mądrość kobiety starszej od jej babki.

— Kwanyjczycy są tam, a ja jestem tutaj — ciągnął Conan. — Nie należę do ludzi, którzy obrażają swych gospodarzy mówiąc, że w walce zachowują się jak dzieci. Chabano nie sprawi, żeby Kwanyjczycy byli niezwyknięci. Są takie umiejętności, których mogę was nauczyć, a które ocala wielu wojowników Ichiribu, gdy zetną się z Kwanyjczykami.

Seyganko skinął głową.

— Jestem tego pewien, Conanie. Ogłoszę, że mówisz moim głosem ucząc wojennego rzemiosła. W zamian proszę tylko o jedno.

— Co takiego?

— Porzuć pomysł przejścia przez podziemia, z dala od boskiego światła dziennego i wśród kto wie jakich czarów, by uderzyć na Kwanyjczyków.

Emwaya odwróciła się i wbiła wzrok w narzeczonego; zaczęła ostro pokrzykiwać. Valeria nie rozumiała jej słów, ale jako kobieta potrafiła wyczuć ich znaczenie. Seyganko zaskoczył Emwayę; była niezadowolona bardziej z tego zaskoczenia niż z samej propozycji.

Emwaya mówiła jeszcze przez jakiś czas. Valerii zdawało się, że Conan próbuje powstrzymać śmiech, że Seyganko bardzo chciałby być gdzieś daleko i że Emwaya byłaby zdolna sprzedać głowę narzeczonego za szemickiego miedziaka.

Ani Conan, ani Valeria nie byli skłonni do takiej transakcji, więc głowa Seyganko nie spadła. Wreszcie Emwayi zabrakło tchu. Valeria czuła się nieswojo, dopóki córka szamana zalewając się łzami nie padła w ramiona narzeczonego. Zapewne gniew bardziej wyczerpał ją niż jego, bo choć trucizna opuściła jej ciało, siły jeszcze nie powróciły.

— Conanie — odezwał się Seyganko i zamilkł. Długo trwało, zanim znalazł następne słowo. — Wygląda na to, że Emwaya, podobnie jak ty, wierzy w te tunele.

Cymeryjczykowi udało się zachować poważną minę. Sądząc, że ma ku temu powody, Valeria zrobiła to samo.

— Ona i ja przedstawimy tę sprawę jej ojcu — ciągnął wódz. — Czy podporządkujesz się jego osądowi?

Conan przytaknął.

— Nie chcę cię urazić, Emwayo, ale twój ojciec zapewne wie o tym więcej niż zdołał cię nauczyć. — Popatrzył na nią, a Valeria zobaczyła, że kobieta próbuje zajrzeć w te lodowatoniebieskie oczy, jednak bez skutku.

— Ufam, że nie musimy czekać z rozpoczęciem lekcji — zakończył Cymeryjczyk.

Seyganko zrozumiał znaczenie słów Conana — może sobie zatrzymać całą władzę nad wojownikami Ichiribu jeśli sprzeciwi się Conanowi. Valeria przesunęła się tak, że siedziała w zasięgu ręki Conana i jednocześnie twarzą w twarz z Seyganko.

Wódz, nie będąc głupcem, poznał, że przegrał bitwę, zanim się do niej włączył.

— Jeśli potrzebne są jakieś przysięgi, złożę je, Conanie, tak byś mógł nauczyć Ichiribu chodzić na rękach i ciskać włócznie stopami!

— To nie byłoby takie złe. Widząc to Kwanyjczycy zaczęliby się tak się śmiać, że można by im w tym czasie porozcinać brzuchy — powiedział Conan. — Przyjdź jutro o świcie i opowiedz mi, jak walczą Kwanyjczycy. Wtedy będę wiedział, co z mojej wiedzy przyda się wojownikom najbardziej.

— Możemy zacząć już dziś — ochoczo wykrzyknął Seyganko, ale poczuł, że Emwaya dwoma palcami zakrywa mu usta w rytualnym geście uciszenia. Uśmiechnęła się i drugą rękę położyła na jego kolanie.

— Rozpocznijmy jutro, kiedy wszyscy będziemy wypoczęci i pełni sił — wyjaśnił Conan, a goście potraktowali propozycję jak rozkaz.

Gdy opadła za nimi zasłona, ryknął śmiechem, aż wydeła się jak pod naporem wichury.

— Tak to jest, kiedy kobieta przez jakiś czas nie miała przyjemności w łożu! Nie pozwoli zamienić tego na gadanie o wojnie.

— A tu jest jeszcze jedna taka — powiedziała Valeria gładząc go po ramieniu.

— Co, nie miałaś przyjemności w łożu? Chcesz mnie obrazić? Może to jakaś inna kobieta oplatała mnie jak liana ostatniej nocy?

— Wiesz dobrze, że jedna noc jest jak jeden posiłek. Czy jest się mężczyzną, czy kobietą, nie można się najeść na całe życie.

Odwrócił się do niej, a ona podniosła się, żeby łatwiej mu było ją rozebrać. Kiedy to robił, zarzuciła mu ręce na szyję.

Wiedziała, że to się nie utrzyma. Żadne z nich nie wytrzyma długo w związku, w którym nie jest się pewnym, kto przewodzi, a kto idzie za nim. Ale na razie mogła iść za nim z rozkoszą — nie tylko na matę.

Wobeku dziwił się, że pochodnie nie zwabiły przeróżnego robactwa, którego mrowie powinno było dawno już pastwić się nad nim. Ogień zwykle przyciąga owady i wystarczy jedna pochodnia, żeby wyciągnąć z puszczy całe ich mnóstwo. Ale tym widocznie różniła się wyspa od stałego lądu. Wobeku będzie musiał to znosić, aż zwycięstwo Chabano zawiedzie go na powrót do domu. Te pochodnie jednak wyglądały i pachniały normalnie. Widać Ludzie–Bogowie musieli użyć jakichś silnych czarów, pomyślał.

Jako uciekinier wśród Kwanyjczyków, nie powinien chyba o to pytać, a gdyby się nawet odważył, długo czekałby na odpowiedź. Lepiej być pogryzionym przez robaki niż martwym, powiedział do siebie i przybrał minę odpowiednią na przyjęcie szamanów, czy jak się tam ci Ludzie–Bogowie nazywali.

Na szczęście Chabano nie zostawił Wobeku martwego na podłodze w chacie Najwyższego Wodza. Widać gniew szybko mu minął. Wobeku zapewne zawdzięczał to temu, że nie złamał żadnych tabu oraz temu, że Aondo był głupcem. Ponadto Chabano ostatnimi czasy własnoręcznie nie zabijał już tylu ludzi, nawet w swoich słynnych atakach szału.

Teraz Wobeku stał wśród dwunastki wojowników otaczających Wodza. Wszystkie trzynaście par oczu wpatrywało się w oświetloną pochodniami ścieżkę, po której zbliżało się sześciu ludzi. Przybysze mieli na sobie ceremonialne szaty Ludzi–Bogów, od peleryn i pióropuszy z purpurowych i szafirowych piór, przez skórzane, nabijane złoconymi gwoździami przepaski na biodrach i srebrne bransolety na rękach, aż po laski, z których każda musiała być warta spore stado bydła.

Jeden z Ludzi–Bogów ubrany był w mniej ozdobne szaty Cichego Brata, ale niósł tarczę Najwyższego Kapłana. Tarczę z bawolej skóry zdobiło osiem Złotych Węży, ułożonych w tak skomplikowany wzór, że człowiek nie powinien się weń wpatrywać zbyt długo. Inaczej zaczynało mu się wydawać, że węże żyją, a ich oczy jarzą się na zielono.

Pięciu towarzyszących Najwyższemu Kapłanowi ludzi rozdzieliło się — trzech przeszło na jedną jego stronę, dwóch na drugą. Sam kapłan podszedł do Chabano. Wyglądał na pewnego siebie nawet w zasięgu tyłu włóczni; zapewne czary zapewniały mu bezpieczeństwo.

Kwanyjczycy nie śmieli nawet pytać, czym był Żywy Wiatr, by nie otrzymać odpowiedzi, która by ich przerażała. Że dawał on Ludziom–Bogom wielką moc, wszyscy dobrze wiedzieli bez potrzeby zadawania pytań.

Wobeku, naśladując Chabano i pozostałych towarzyszy, uderzył włócznią o tarczę, oddając honory Najwyższemu Kapłanowi. Ten oddał salut wbijając głęboko w ziemię laskę. Ziemia pod stopami Wobeku stała się na chwilę gorąca.

Wobeku starał się robić to co pozostali. Wszyscy wyglądali na spokojnych, choć Chabano był trochę nieufny. Najwyższy Kapłan nie uśmiechał się, jakby był z czegoś niezadowolony i miał ochotę owo niezadowolenie dać odczuć innym.

— Chwała, Geyrusie, Najwyższy Kapłanie Żywego Wiatru! — odezwał się Chabano kładąc na ziemi włócznię i tarczę. Wobeku zdawało się, że wódz padnie na twarz, ale nawet nie ukląkł. Wyprostował się tylko i skrzyżował ręce na piersiach.

— Chwała, Chabano — odpowiedział Geyrus głosem nieco tylko głośniejszym od szeptu.

— Najwyższy Kapłanie — powiedział ostro Chabano — wezwałeś mnie, a ja przyszedłem. Widzę, że jesteś w gniewie. Jakiż jest jego powód?

— Okłamałeś mnie — odparł Geyrus.

Nie tylko Wobeku wstrzymał oddech. Każdy zwykły człowiek nazywając Chabano kłamcą musiałby pożegnać się z życiem i jeszcze mógł uważać się za szczęśliwca, gdyby umarł od razu.

— Jeśli tak, miałem ku temu powód — rzucił Chabano.

To było z kolei poważną obelgą dla Geyrusa. Laski kapłanów uniosły się do góry, a zwieńczone piórami twarze upodobniły się do masek demonów, wywołując strach wśród Kwanyjczyków. Wobeku czasem zastanawiał się, jakim wynikiem zakończyłby się konkurs rzucania włóczni przeciwko rzucaniom zaklęć. Nie spodziewał się, że pozna odpowiedź biorąc udział w takiej rozgrywce.

Geyrus zdawał się walczyć z niepohamowaną chęcią uśmiercenia Chabano na miejscu, ale pokonał ją. Odpowiedział surowym tonem:

— Czy raczysz mi zdradzić przyczynę, dla której skłamałeś Kapłanom Żywego Wiatru?

— Chętnie to zrobię. W waszych grotach na Górze Burz przebywają ci, którzy oczami i uszami służą naszym wrogom. Musimy znaleźć jakiś sposób, aby nie słyszeli naszych rozmów.

Dla Wobeku brzmiało to zupełnie sensownie, ale dla Geyrusa była to zniewaga nie do zniesienia. Na widok twarzy kapłana Wobeku ze strachu ścisnął włócznię, aż pośmiały mu palce. Jednak żadne słowo nie wyszło z ust Najwyższego. Niebawem wściekłość opuściła jego oblicze, a ramiona obwisły. Wobeku wydało się, że oto na jego oczach kapłan postarzał się o dziesięć lat.

— Ufasz swoim ludziom? — zapytał, jakby chciał się dowiedzieć o cenę kozła.

— Ufam — odparł Chabano. Widać było, że rozpiera go duma na myśl o lojalności Kwanyjczyków.

— Zatem pójdźmy do najbliższej wioski i przekonajmy się, jak prawdziwe są te słowa. Jeśli mówiono kłamstwa...

— Cisza! — ryknął Chabano, ale nie uraziło to Geyrusa, który poznał, że ten rozkaz nie dotyczy jego, tylko wojowników ze świty Chabano. Kilku z nich pochodziło właśnie z owej „najbliższej wioski”, a ich twarze wyraźnie mówiły, że nie pragnęli gościć Ludzi–Bogów.

Wyglądało na to, że władza Chabano miała granice.

— Wielki Wodzu... — zaczął jeden z wojowników.

Chabano odwrócił się i spoliczkował go, potem wyrwał mu z ręki włócznię, złamał na kolanie i wskazał nią na ziemię. Tamten rzucił tarczę na trawę i padł na nią twarzą.

Chabano nie podniósł broni, tylko parę razy kopnął go w plecy. Za każdym kopnięciem wojownik wydawał cichy jęk, a Wobeku zobaczył, że przygryza wargi do krwi.

— Bądź wdzięczny, że się nad tobą zlitowałem — powiedział na koniec Chabano. — Na wojnie będziesz mógł nieść włócznię, ale nie wchodź mi w drogę do tego czasu.

Wojownik podniósł się, a towarzysze odsunęli się od niego jak od trędowatego. Oddał pokłon i chwiejnie, jak starzec, powlókł się ścieżką w głąb dżungli.

Wobeku nie patrzył za nim. Instynkt podpowiadał mu, że ta utarczka jeszcze się nie skończyła i że wszystko zależy od woli Geyrusa. Nie śmiał obserwować kapłana, ale starał się podążać za jego wzrokiem, który padał kolejno na każdego wojownika. Jeżeli podniesie laskę, albo gdy jego wzrok spocznie na kimś dłużej...

Ani laska, ani oczy kapłana nie dały Wobeku odpowiedzi. Mimo to miał szczęście — stał daleko po lewej stronie Chabano i widział wojowników stojących za wodzem. Było ich trzech; jeden zaczął oddychać nienaturalnie wolno. Jego oczy nabrały purpurowo–szafirowego odcienia, a włócznia, jakby ciągnąc za sobą rękę, powoli podnosiła się do rzutu.

Wtem włócznia podskoczyła, a wojownik zawisł nad ziemią, pociągnięty przez drzewce.

Ci którzy, to widzieli, oniemieli z przerażenia. Wszyscy poza Wobeku.

— Wodzu! Za tobą! — wrzasnął. Ostrzegł Chabano w samą porę. Wódz obrócił się, podrzucając tarczę, i zadał cios włócznią.

Trafił w powietrze, ale Wobeku miał więcej czasu, by się złożyć do rzutu. Włócznia utkwiała głęboko w boku wojownika. Ten odwrócił się do Wobeku, jakby wyśmiewał skulonego Ichiribu.

Wobeku nie mógł się bronić. Oczy rannego wojownika zamieniły się w iskry purpurowo-szafirowego ognia, a mgiełka tych samych barw otaczała jego broń i ręce, ale zaraz purpura magii Ludzi-Bogów ustąpiła miejsca purpurze krwi wypływającej z jego boku i ust. Zakrztusił się, zachwiał i padł.

Wobeku wiedział, że wojownik zaraz zyska towarzystwo po tamtej stronie życia: Chabano i pozostałych wojowników. Chabano zresztą nie próbował ratować się ucieczką. Daremny trud. Geyrus dostałby go, gdziekolwiek by się ukrył.

Wobeku też już kiedyś uciekł. Nie zamierzał tego robić powtórnie, tak jak nie chciał zabić bidui.

Szykował się na honorowe spotkanie ze śmiercią, co tak go pochłonęło, że nie zauważył, jak Chabano, prawdopodobnie wiedziony tą samą myślą, daje krok naprzód. Jego włócznia uniosła się, a mięśnie naprężyły, gdy przymierzał się, by cisnąć broń wprost w gardło Geyrusa.

Kapłan podniósł laskę oburącz przed sobą. Włócznia Chabano zatrzymała się, jakby trafiła na skałę. Z żelaznego grota zaczął unosić się dym, a serce Wobeku zmroziło przerażenie, gdy zobaczył, że dym ma odcień purpurowy i błękitny.

Wtedy zobaczył, jak Cichy Brat wychodzi z szeregu, machając swoją laską jak kobieta moździerzem, i przyklada ją do laski Najwyższego Kapłana.

Z laski Geyrusa wystrzeliły płomienie. W mgnieniu oka objęły całe ciało, jakby było tylko kupą słomy. Mieniły się wszystkimi kolorami i nie wydzielały dymu, ale były gorące. Wiszące nad nimi liście całkiem zbrązowiły i gdyby nie deszcz, spaliłyby się. Dym unosił się też ze ściółki, w której żar wypalał trawy i liście. Widok zwykłego dymu jakoś pocieszył Wobeku. Przynajmniej nie zginie w miejscu opuszczonym przez bogów.

Potem pomyślał, że może w ogóle nie zginie. Chabano słaniając się zrobił kilka kroków w tył i upuścił włócznię, której nadtopiony grot zasyczał w deszczu. Nie był ranny. Potknął się o ciało swego niedoszłego zabójcy i o mało nie upadł. Stojący z tyłu wojownicy pochwycili go.

Trzej pozostali, razem z Wobeku, patrzyli jak płomienie połykają obie laski i Najwyższego Kapłana, zostawiając Cichego Brata bez szwanku. Wyraźnie nie spodobało się to pozostałym kapłanom. Gapili się z szeroko otwartymi oczami na to przedstawienie, jakby odbywało się wbrew wszelkim regułom.

Wobeku doszedł do siebie. Wyrwał włócznię z rąk wojownika, który stał obok tak wystraszony, że

nie odróżniłby grotu od drzewca, poniósł ją i rzucił.

Tym razem trafił swoją ofiarę, kapłana stojącego na prawo od Geyrusa, prosto w gardło. Ten puścił laskę, padł na kolana i złapał się za rozplątane gardło i tkwiącą w nim włócznię; wreszcie zgiął się tak mocno, że spadł mu pióropusz. Nim pióra dotknęły ziemi, upadł na bok i spazmatycznie zagrzebywał nogą resztki życia.

Szybka akcja Wobeku na powrót wlała siły w pozostałych wojowników. Poparło ją kilka ostrych komend Chabano, wypowiedzianych tonem oznaczającym, że nieposłuszeństwo to pewna śmierć.

W kilka chwil pozostali kapłani zostali otoczeni. Stali przed wymierzonymi w ich gardła włóczniami, dopóki Najwyższy Kapłan nie zamienił się w kupkę popiołu na nadpalonej ściółce.

Cichy Brat bez oporu pozabierał laski z ich rąk i przemówił językiem, którego Wobeku nie rozumiał. Wyczuwał tylko, że jest to język niewyobrażalnie starożytny. Słyszał w nim echa czasów przed Atlantydą, czasów poprzedzających nawet dzień, w którym bogowie zdecydowali, że na ziemi będzie rządził człowiek, nie zwierzęta.

Skończywszy mówić, Cichy Brat odwrócił się i ukląkł przed Chabano. Zdawało się, że chciał upaść na twarz, ale nie mógł odłożyć lasek i odwrócić oczu od kapłanów. Wtedy Wobeku spostrzegł po raz pierwszy, że jego oczy miały sinawe zabarwienie, jak oczy innych kapłanów.

Chabano popatrzył na Wobeku, potem na Brata i skinął głową. Szacunek dla wodza to jedno, ale teraz ważniejsze było utrzymanie kapłanów w szachu.

— Jestem Ryku — oznajmił Cichy Brat. To imię obito się już kiedyś Wobeku o uszy, ale nie wiedział, co ono oznacza. Słyszał plotki, choć wypowiedano je tylko szeptem, że Chabano ma szpiega na Górze Burz. Ryku i ten szpieg to zapewne ta sama osoba.

— Chwała, Ryku, przyjacielu Kwanyjczyków — rzekł Wobeku. Uznał, że to najmniej głupia rzecz jaką może powiedzieć.

— Nie jesteś Kwanyjczykiem — stwierdził Ryku. — Czy jesteś oczami i uszami Chabano wśród Ichiribu?

— Zanim odpowiem na to pytanie — niebezpiecznie łagodnie odparł Chabano — ty musisz odpowiedzieć na moje.

— Pytaj, wodzu.

Chabano nie zwracał uwagi na ton głosu Ryku, tylko na znaczenie jego słów.

— Co powiedziałaś swym kamratom?

— Powiedziałem, że jeśli nie przysięgną mi posłuszeństwa we wszystkim, co dotyczy pomocy Kwanyjczykom, pozwolę wojownikom zabić ich tu i teraz.

— I przysięgną? — Chabano machnął ręką i dłonie wojowników zacisnęły się mocniej na drzewcach włóczni.

Cokolwiek kapłani przysięgali, robili to żarliwie i długo. Nim skończyli, Ryku nakazał Kwanyjczykom opuścić włócznie. Potem rzucił kapłanom jakieś ostre słowo, a oni podreptali ścieżką, którą tu przyszli, tak szybko jak pozwalały im sędziwe nogi.

Chabano rzucił wojownikom wymowne spojrzenie; oni też wycofali się pospiesznie w przeciwnym kierunku. Wódz, Człowiek–Bóg i szpieg zostali sami w puszczy.

— Składam dzięki wam obu — rzekł Chabano. — Podziękowania wodza są wiele warte, a ich wartość tym większa, im dłużej panują. — Popatrzył ostro na Wobeku. — Gdybyś ty swego czasu był równie szybki jak dziś, znajdowałbyś się teraz gdzie indziej.

Ryku poprosił o wyjaśnienie, a Chabano przychylił się do jego prośby z łagodnością, która zdumiała wojownika Ichiribu. Ale cóż, nawet Najwyższy Wódz nie przewyższał rangą Człowieka–Boga, który najwyraźniej stał się kapłanem dzięki własnemu wysiłkowi. A może osiągnięcie rangi Człowieka–Boga było łatwiejsze niż wmówiono to ludziom? Byłaby to pocieszająca wiadomość, gdyby Wobeku zapragnął pójść w ślady Ryku. Ale nic a nic go to nie obchodziło. Jego ambicją było zdobyć wysoki status między Kwanyjczykami, kiedy będą rządzić tymi ziemiami. Z Ludzi–Bogów Kwanyjczycy nie będą mieli wiele pożytku w obliczu umiejętności Dobanpu. Jego mistrzostwo nie było legendą, a jeśli zechce zemścić się na Wobeku, nie będzie pobłażliwy!

XII

Ichiribu i Kwanyjczycy spokojnie przygotowywali się do walki. Nie popchnęły ich do tego nowe sojusze, chociaż odegrały sporą rolę.

Wobeku zauważył, że choć wojownicy raczej od niego stronili, mało który otwarcie okazywał mu nieufność. W końcu to on uratował Chabano, Najwyższego Wodza, za którym wszyscy od dwunastu lat podążali. Nawet ci, którzy popierali go ze strachu, nie z miłości, wiedzieli że bez niego los Kwanyjczyków byłby przesądzony. Człowiek, który go uratował, miał teraz cały szczep za dłużnika.

Do Ryku również odnoszono się z wdzięcznością, ale i ze strachem. On też przyczynił się do uratowania Chabano, mało tego, zniszczył największego Człowieka–Boga. A czyniąc to sam stał się wielkim Człowiekiem–Bogiem.

Ryku odpowiadało, że stykał się z wojownikami tylko wtedy, kiedy wzywał go Chabano. Przez dziewięć dni na dziesięć pozostawał w odosobnieniu na Górze Burz, starając się, na ile pozwalały jego moce, doprowadzić kapłanów, Cichych Braci, służbę i niewolników do porządku. Gdyby zbyt często pojawiał się w wioskach, ktoś mógłby przysłużyć mu się tak jak Wobeku przysłużył się jednemu z kapłanów w czasie owego tajemnego spotkania. Zaoszczędziłoby to Kwanyjczykom wiele

kłopotów w nadchodzących dniach. Ale cóż, byli tylko drużyną krzepkich wojowników, a nie jasnowidzów.

Conan był wprost rozrywany przez Ichiribu. Większość z nich sądziła, że przybysz ma łaskę bogów albo że został przez nich przysłany.

Kwanyjczycy stali się niepokonani na lądzie, od kiedy Chabano nauczył ich walczyć w szeregu, z użyciem wysokich tarcz i długich włóczni, którymi można rzucić lub pchnąć. Zapewne Ichiribu nie posiada tej sztuki na tyle dobrze i szybko, by stawić czoło wrogom w pełnym szyku, nawet z pomocą Cymeryjczyka.

Conan zabrał się do uczenia ich, jak w nowy sposób wykorzystać starą broń. Mieli sporą liczbę łuczników i procarzy, którzy mogli nękać flanki Kwanyjczyków. Również ich trójzęby nie były bezużyteczne w starciu z kwanyjskimi włóczniami, o ile doprowadziło się do walki dwóch na jednego.

Valeria uczyła ich walki z czołna. Jeśli czegoś nie wiedziała o panowaniu nad małą łodzią, zapewne nie wiedział tego żaden inny człowiek. Nawet najbardziej doświadczeni rybacy Ichiribu wkrótce głośno mówili, że kobieta Conana warta jest tyle co sam Cymeryjczyk.

— Skoro Kwanyjczycy są jak dzika świnia, my musimy być mrówkami — mówił Conan, aż nawet Seyganko znużyło słuchanie tej oczywistej prawdy. — Walcząc wprost, szablą w szablę, skarzemy się na zagładę. Jeśli użądlimy ich tysiąc razy, zagłada przyjdzie na nich.

Ochota, z jaką Ichiribu pochłaniali jego nauki, napępiała serce Conana radością. Byłby jeszcze pewniejszy, gdyby sprawa przejścia przez podziemne korytarze nie wisiała wciąż na włosku. Dobanpu przyznał, że jeśli duchy pozwolą im się przedostać, to będzie wspaniała sztuczka, gdy wojownicy wyskoczą spod ziemi. Nie chciał nic więcej powiedzieć poza tym, że czekał na znak od duchów.

Wciąż się sprzeciwiał, a cierpliwość Conana wyczerpywała się.

— Czy to duchy oniemiały — zapytał pewnego ranka Emwayę — czy twój ojciec?

— Gdybym знаła odpowiedź, i tak nic by to nie pomogło — odparła dziewczyna. — Nikt nie potrafi wpłynąć na duchy, a mojego ojca, gdy postanowi milczeć, równie trudno jest przekonać, żeby się odezwał.

— Jeśli będzie milczeć zbyt długo, być może przesądzi o losie swego ludu — mruknęła Valeria. Oboje wiedzieli, że Emwayę też niepokoiła niechęć ojca do rozmowy. Nie wątpili, że mówi prawdę.

— Jest tego świadom — rzekła Emwaya i odeszła z całą godnością, na jaką mogła sobie pozwolić.

— Magowie! — powiedział Conan. Wypowiedział to słowo, jakby trąciło wyjątkowym smrodem. Popatrzył na niebo. Słońce mocno prażyło, choć zaczynała je przesłaniać zapowiadająca deszcz mgiełka.

Pora deszczów zbliżała się z każdym wschodem słońca. Conan był coraz bliższy postanowienia, by pozostawić szczepy Jeziora Śmierci samym sobie, jeśli Dobanpu nie przemówi, zanim na dobre zacznie padać. Rzeki bardzo by się wtedy podniosły, co utrudniłoby pościg.

— Jeżeli nie masz zajęć przed wieczorem, weźmy czółno i chodźmy na ryby — zaproponowała Valeria. — Może jedno z tych dużych.

Conan zaśmiał się. Duże czółno było o wiele za ciężkie dla dwóch wioślarzy, ale za to szerokie. Gdy na dnie położyło się kilka mat, stawało się świetnym miejscem do miłosnych igraszek.

Podpłynęli bliżej kwanyjskiego brzegu niż zwykle w czasie połowów. Nie był to pomysł Conana ani tym bardziej Valerii. Podsunęła go Emwaya, która pojawiła się na brzegu, gdy ładowali do czółna sprzęt rybacki i maty.

— Mogę popłynąć z wami? — zapytała.

Conan zerknął na Valerię i zmarszczył brwi. Woleliby zostać sami, ale żadne nie chciało urazić córki Dobanpu i narzeczonej Seyganko. Poza tym Conan usłyszał w jej głosie ton zdradzający, że nie tylko chciała urozmaicić sobie nudny dzień.

— Zapraszamy — powiedziała Valeria i wysłała chłopca bidui po jeszcze jedną matę i bukłak z wodą.

Emwaya okazała się silną, choć niezbyt doświadczoną wioślarką, więc szybko znaleźli się na łowisku. Gdy Conan i Valeria zaczęli słabiej wiosłować, Emwaya wskazała na kwanyjski brzeg.

— Możemy podpłynąć bliżej?

Tym razem Conan zmarszczył brwi jeszcze bardziej.

— Kwanyjczycy nie są zupełnymi szczurami lądowymi. Jeżeli zobaczą przy swoim brzegu podejrzanych ludzi bujających się w łódce, mogą posłać do nas jakieś pełne wojowników czółno.

— Położę się na dnie, nikt mnie nie pozna.

— A my? — zapytała Valeria. — Może słońce tak już nam opaliło skórę, że nikt nas nie odróżni od tubylców?

Emwaya nieźle już znała sztukę magiczną i urazić ją było rzeczą ryzykowną. Ale ani ona, ani jej ojciec nie zachowywali dość rozsądku w sprawach wojny.

Targowali się, jak później określiła Valeria, jak kapitan i dostawca wyposażenia statku. Wypiwszy połowę wody, by ulżyć wysuszonym gardłom, w końcu ustalili dokąd podpłyną. Wypadło bliżej brzegu niż chciał Conan, i dalej niż pragnęła Emwaya, ale na tyle, by oboje zadowolić. A nade wszystko, aby nie mogły ich zaskoczyć łodzie płynące od strony jeziora. Gdyby płynęły od brzegu,

mogli je zobaczyć na tyle wcześnie, by w trzy wiosła im umknąć.

— Pamiętajcie, że mogę z wyspy wezwać pomoc, jeśli pogoń się do nas zbliży — powiedziała Emwaya.

Nic więcej nie powiedziała, a Conan nie pytał. Wciąż był niespokojny mając za przyjaciela kogoś takiego jak Dobanpu. Przyznawał, że zdarzali się czarownicy usposobieni przyjaźnie lub przynajmniej nieszkodliwi, ale takich mógł policzyć na palcach jednej ręki. A ci, którzy prędzej czy później stawali się śmiertelnymi wrogami? Ich nie dałoby się policzyć na palcach rąk i nóg całej trójki. Dotarli do upatrzonego miejsca. Conan, mając najlepszy z nich wzrok, obserwował brzeg. Nie było widać znaków ludzkiej obecności, a zwierząt pokazywało się niewiele. Jedynie wysepki poranego przez krokodyle piasku zdradzały, że w tych spokojnych wodach czaiło się zło.

Conan i Valeria zarzucili linki i przygotowali trójzęby. Emwaya położyła się na macie rozłożonej na rufie i zdawała się zasypiać. Conan zauważył jednak, że jej oddech nie był tak miarowy jak we śnie. Sposób, w jaki trzymała ręce, dłońmi w dół, z rozpostartymi palcami, również zdradzał, że nie śpi i że jest niespokojna. Cymeryjczykowi zdawało się, że ciągle nasłuchuje. Ale czego, nie wiedział. Pamiętał, że podziemne korytarze, przepelnione bogowie wiedzą jak starym złem, mogły być rozsiane także pod jeziorem. Postanowił nie myśleć o tym.

Słońce wspięło się do zenitu, potem zaczęło się zniżać. Ryby nie brały. Conan nie zauważył, by w ogóle coś żyło w tej części jeziora. Nie podobała mu się ta myśl, ale z nikim się nianie podzielił. Valeria, znużona oczekiwaniem, zasnęła.

Nagle Emwaya podniosła się, ręką odgarnęła z twarzy poplątane włosy, drugą złapała się burty. Dziko rozejrzała się wokół, jakby coś ujrzała za lewą burtą. Conan spojrział tam gdzie ona, ale nie zobaczył nic poza nie zmaconą najmniejszym podmuchem wiatru powierzchnią jeziora. Patrzył jeszcze w tamto miejsce, gdy Emwaya podskoczyła, zrzuciła koszulę i dała nura w toń.

Wrzask Conana ogłuszyłby każdą rybę przepływającą w pobliżu. Valeria obudziła się i natychmiast przytomniejąc złapała za sztylet. Podniosła kamień kotwiczny, odsunęła się od zwiniętej liny i rzuciła go do wody.

— We dwoje łatwiej będzie ją znaleźć, Conanie. A łódź może zostać pusta.

Lina rozwijając się zaczęła cicho syczeć, ale kiedy się naprężyła, czółno wciąż dryfowało. Conan popatrzył w jezioro, wyczuwając głębię, jakiej nigdy nie spotkał. Głębię, w którą skoczyła córka Dobanpu i w którą oni też musieli skoczyć, jeśli...

Głowa Emwayi wynurzyła się nagle. Kilka uderzeń rąk przybliżyło ją do czółna. Chwyciła się burty i podciągnęła. Krople wody skrzyły się w jej włosach, mieniając się spływały po twarzy, ramionach, piersiach, lecz jej mina odwracała uwagę od pięknego widoku.

— Chodźcie, sami zobaczcie — powiedziała. — Ostrzegam tylko, że to się wam nie spodoba.

— Moje życie pełne jest nieprzyjemnych widoków, a jeszcze się nie skończyło — odrzekł Conan.

Wystawił nogi za burtę i wśliznął się do wody. Potem trzymał czółno, gdy skakała Valeria.

— Trzymajcie się blisko mnie — rozkazała Emwaya, kiedy Valeria się wynurzyła. — Chcę was ochronić przed tym, co się tam kryje.

Conan pomyślał, że wolałby, żeby to było coś więcej niż tylko chęć. Cóż, Emwaya miała przynajmniej tę zaletę, rzadką u czarowników, że nie obiecywała cudów. Nabrał powietrza i zanurkował, za nim Emwaya i na końcu Valeria. Zanurzyli się na długość czółna i wtedy Conan przekonał się, co Emwaya miała na myśli.

Wyglądało to, jakby nagle wpadli do ogromnej kuli płynnego kryształu. Woda była idealnie przejrzysta, całkowicie bez koloru, do samego dna jeziora, które musiało być około dwóch długości grotmasztu pod nimi. Nic dziwnego, że kotwica go nie dotknęła. Widział ją, jak bezużytecznie dynda na linie, wysoko ponad dnem.

W tej przezroczystej pustce nic się nie ruszało, nic nie żyło — najmniejsza ryba, choćby skrawek wodorostów, które bujnie porastały inne części jeziora. Conan spojrzął na dno. Tam też nie widział śladów życia, choć nie było ono zupełnie opustoszałe. Jego pole widzenia przecinał jakby głęboki rów, pełen skalnych bloków noszących ślady obróbki. Nawet z tej odległości to dostrzegł. Zdawało mu się, że na kilku głazach widzi rzeźby w kształcie wirujących węży, które aż za często spotykał w podziemiach.

Tyle udało mu się obejrzeć, zanim pieczenie w płucach przypomniało mu, że czas złapać świeży oddech. Popłynął ku powierzchni, a Emwaya i Valeria poszły w ślad za nim.

Gdy Conan się wynurzył, tuż po nim pojawiła się Valeria, jeszcze zanim złapał pierwszy głęboki wdech. Emwayi nie było widać i Conan uznał, że trzeba po nią zanurkować.

— Valerio, jeśli Emwaya ma kłopoty...

— Będzie potrzebować nas obojga. Pamiętaj, zawdzięczam jej życie.

— Racja. Myślałem raczej, że jedno z nas powinno płynąć do brzegu i opowiedzieć co się stało.

Valeria przyznała mu rację i już miała wdrapać się do czółna, gdy Emwaya wypłynęła tuż obok. Rękami rozpaczliwie biła wodę i ciężko dyszała. Conan i Valeria złapali ją za ręce i podnieśli jej głowę ponad wodę.

Panika znikła z jej oczu, gdy płuca napełniły się czystym powietrzem. Położyła się na wodzie, podtrzymywana przez przyjaciół, aż dyszenie przeszło w miarowy oddech. W końcu wspięła się do czółna.

— Co się stało, Emwayo? — zapytał Conan.

— Ojciec wiedziałby... określiliby to lepiej. Ale... pod dnem jest jeden z tych korytarzy.

— To ten zapadnięty rów?

— Tak. Ale... w tunelu... tam, gdzie się zapadł... coś jest.

— Pewnie zalany korytarz.

Błazeński żart wystraszył Emwayę.

— Nie mów o takich rzeczach lekko, Conanie. Ja... mnie się zdaje, że to żyje.

— Jak to możliwe? — spytała Valeria. Wreszcie zrozumiała, o czym mowa. — Wszystko inne, na dobre tysiąc kroków dookoła, jest martwe. Mało tego, dno jest opustoszałe.

— Tak. To, co jest w tunelu, żywi się... to słowo jest zakazane, ale zrozumiecie, kiedy powiem „siła życiowa”?

— Siłą życiową wszystkiego, co zbliży się do niego? — Valeria mówiąc trzymała rękę na sztylcie.

— Takie stworzenia żyły kiedyś, dawno temu. Ojciec i ja sądziliśmy, że już wyginęły.

— Zdaje się, że przynajmniej jedno żyje — zauważył Conan. Wziął wiosło. — Myślę, że trzeba by teraz wrócić na wyspę i opowiedzieć to twojemu ojcu, jeśli jeszcze sam tego nie wyczuł.

— Powinnam jeszcze raz zanurkować, żeby się więcej dowiedzieć — rzekła Emwaya.

Valeria przytuliła ją. — Z trudem wypłynęłaś na wierzch po drugim nurkowaniu. Zejdiesz po raz trzeci, a nie trzeba będzie żadnego magicznego potwora, by wyciągnąć z ciebie siłę życiową. Utopisz się, a my będziemy musieli to wytłumaczyć twemu ojcu i Seyganko. Wolę już walczyć z tym potworem.

Valeria nie mówiła jeszcze najlepiej w języku Ichiribu, ale Emwaya zrozumiała sens jej słów i dobrą wolę uścisku.

— Niech tak będzie — powiedziała. — Ruszajmy, nim nas wywęszy.

Nie był to największy ze Złotych Węży, ale za to ostatni, najstarszy. Ten i jeszcze jeden przeżyły wszystkie sobie podobne, ponieważ magia, na którą natrafiły w tunelach pod jeziorem, zmieniła je zupełnie.

Kiedyś musiały jeść mięso albo rośliny. Teraz żywiły się siłą życiową, która napędzała wszelkie stworzenia, nawet wodorosty. Umiały ją wyssać ze stworzenia znajdującego się poza zasięgiem ich drogocennych zielonych oczu i wzmocnić nią swoją siłę.

Po pewnym czasie siła życiowa jednego z węży osłabła. Drugi nie miał litości. Wiedział tylko, że jeśli pozwoli tamtemu umrzeć, jego siła życiowa zmarnuje się.

Walczyły więc. Jeden z nich zabił swego towarzysza, przejął jego siłę życiową i stał się mocniejszy.

Jednak ich bitwa zakłóciła magię, która utrzymywała i oświetlała tunele. Jeden długi korytarz nawet się zapadł. Na szczęście czary były jeszcze na tyle silne, by nie wpuścić wody, która utopiłaby ostatniego Złotego Węża.

By się uwolnić, ostatni wąż musiał przekopać się przez zawalony korytarz, wygrzebać się spośród zwałów kamieni i skał. Nie był bystrym stworzeniem, ale wiedział, że nie wystarczy mu siły, aby sprostać temu zadaniu.

Odpoczywał więc, pobierając siłę życiową z tego co znalazł nad korytarzem, a od czasu do czasu szukał drogi dookoła zwalonych głazów. Znalazł wyjście, które można było łatwo powiększyć, ale nie natrafił tam na ślad życia, które pozwoliłoby mu nadrobić energię zużytą do otwarcia drogi.

Przynajmniej nie na początku. Po pewnym czasie Złoty Wąż znów wyczuł siłę życiową wśród korytarzy. Potężną, taką samą, jaką emanowały dwunogie istoty, które w starożytności zakłęły te korytarze, ale wszystko wskazywało na to, że istoty musiały być daleko.

Cóż, jakiegokolwiek życie zeszło do tych głębin, nie mogło ich opuścić. Złoty Wąż zbudował barykadę, taką, którą można łatwo zniszczyć, gdy ofiara stanie po drugiej stronie.

Jeśli podejda do niej, nie będzie dla nich ucieczki. Będzie natomiast siłą dla Złotego Węża. Może nawet wystarczy tej siły, by wyjść z ukrycia na świat, gdzie wszędzie można znaleźć energię życiową.

Może powrócą czasy, gdy dwunodzy sami przynosili Złotym Wężom pożywienie... czyli mięso. Ach, zdobyć żywe mięso, a przy tym jego siłę życiową... Jeżeli można było słowo „ambicja” przypisać stworowi bez cech ludzkich, to ten przebiegły plan był największą ambicją Złotego Węża.

Wyciągając czołno na brzeg, Conan zauważył, że kręci się tam mniej ludzi niż zwykle. Nie widział w tym nic dziwnego, dopóki nie przekonał się, że tak samo jest na ścieżce prowadzącej do wioski.

Gdy zobaczył pół wioski zgromadzonej wokół miejsca, gdzie kiedyś było palenisko, domyślił się, że coś jest nie tak. Emwaya pociała się i zaciskała wargi przez całą drogę od brzegu, ale Conan wziął to za objaw zmęczenia po forsownym pływaniu. Teraz podejrzewał coś gorszego.

Przekonał się, że tak było, kiedy zobaczył jak kobiety i dzieci ładują kamienie i piach do koszy, a wojowników fandy, jak je wynoszą na skraj wioski. Jeśli wojownik powołany do fandy pracował jak kobieta, mogło to oznaczać pojedynek, albo przynajmniej surowy wyrok rady szczepu. A tu najwyraźniej każdy na tyle silny, by utrzymać się na nogach, rozkopywał prowadzący do podziemi szyb.

— Dobanpu chyba przemówił — wyszeptała Valeria.

— Zapewne — przytaknął Conan. — Masz ochotę na rundkę po podziemiach?

— Żeby upolować pozeracza siły życiowej? — wyglądała, jakby się sobą brzydziła. — No tak...

Słyszałam, że w Khitaju mają takie przysłowie: „Uważaj, o co prosisz, bo bogowie mogą to spełnić”. Zdaje się, że odrobinę za mocno pragnęliśmy wejść do podziemi.

— Co się stało, to się nie odstanie — posumował Conan. Odpiął pas i wręczył go Valerii wraz z bronią. — Zanieś to do chaty. Znam się trochę na takiej robocie, mogę się przydać Ichiribu.

XIII

Ostatnich pięćdziesięciu wojowników rozpląnęło się w dżungli, gdy wzgórze na wschodzie rozświetlił świt. Wobeku odprowadził ich wzrokiem, twarz miał poważną.

Wątpił, czy uda mu się zmylić Chabano... i rzeczywiście, nie udało się.

— Tak się boisz o życie ludzi z nie twojego szczepu? — zapytał wódz. Wobeku wyraźnie słyszał w jego głosie kpinę.

— Kwanyjczycy są teraz moim szczepem — odpowiedział Wobeku. — Czy ich wódz nie wierzy przysięgom złożonym mu w obecności Najwyższego Kapłana Ryku?

— Wierzę.

Chabano nie mógł powiedzieć nic innego. Może nie ufał Ryku, tak jak Wobeku nie ufał jemu. Jednak wypowiedzieć taką wątpliwość na głos... to nie licowało z mądrością wodza.

— Mam zaufanie do ludzi, których wysyłasz na pola i pastwiska Ichiribu — rzekł Wobeku. — Wykonają godną pracę, myśląc wroga. Ichiribu nie mogą sobie pozwolić na stratę tych ziem, nie ryzykując głodu. Jednak do ich obrony musieliby użyć tylu wojowników, że nie starczyłoby ich na obronę innych terytoriów. Boli mnie tylko, że nie mogę iść z nimi.

— Jesteś potrzebny tutaj, Wobeku.

Nie wspomniał, że Wobeku nie cieszył się zaufaniem kwanyjskich wojowników na tyle, by czuć się bezpiecznie z dala od wodza.

— Przez lata byłem bidui na pastwiskach — nalegał Wobeku. — Potem należałem do strzegącej pól uprawnych fandy. Znam każdą chatę, każdą dolinę, każde źródło na tej ziemi. Gdybym poszedł, nawet jako zwykły przewodnik, wysłani przez ciebie ludzie mieliby ułatwione zadanie. Więcej z nich przeżyłoby, aby chwalić się kobietom swymi osiągnięciami.

— Wobeku, kiedy zwyciężymy, nie wystarczy kobiet do słuchania naszych opowieści. Zabraknie też piwa, którym będziemy zraszać nasze gardła.

Wobeku przykląkł przed wodzem, podniósł się, gdy otrzymał pozwolenie, i odszedł. Dopiero kiedy

Chabano nie mógł go zobaczyć, ośmielił się uczynić niepoehlebny gest.

Chabano kusił bogów, ale to prawo wodza. Wobeku nie był wodzem i szczerze wątpił, czy kiedyś nim zostanie, nawet gdyby Chabano zdobył wszystkie ziemie aż do Słonej Wody. Marzył o tym, gdy godził się mu służyć, ale to były mrzonki młodego człowieka. Teraz, kiedy Wobeku przeżył więcej wiosen i poznał więcej prawd tego świata, zadowoliliby go, gdyby zakończył życie słysząc pieśń śmierci śpiewaną mu przez jego synów, podczas gdy kobiety obmywałyby jego ciało, a jego bydło i plony z jego pól zapewniłyby ucztę wydaną dla przyjaciół, gdy dym ze stosu ciałopalnego unosiłby go do bogów.

Pomyślał, że poprosi o Mokosę jako o pierwszą nagrodę za zwycięstwo. Była nie tylko miła dla oka, ale też bystra i zdrowa... dobra matka dla jego synów.

Conan sprawdzał właśnie wojowników, przygotowanych, by zejść do podziemi, gdy przybiegł chłopiec bidui i wezwał go do Seyganko. Twarz chłopca mówiła, że to bardzo pilne, więc Cymeryjczyk nie tracił ani chwili.

Skinął na Valerię, która odłożyła sakwy na tarczę i podbiegła do niego. Nawet po nocy wypełnionej miłosnymi igraszkami, Conan z przyjemnością patrzył na jej zwinne ruchy. Jeszcze większą satysfakcję dawała mu myśl, że będzie ją miał tuż za plecami, kiedy znów zanurzą się w zakłete tunele pod jeziorem.

— Valerio, możesz za mnie dokończyć? Sprawdzaj, czy wszyscy mają to, co mieli przynieść, czy są trzeźwi, i tak dalej...

— Zdaje się, że tylko pijak albo szaleniec zgłosiłby się na taką wyprawę — powiedziała z lekko drwiącym uśmiechem.

— Albo ci, którzy myślą, że Dobanpu mówi prawdę — odparł Conan.

— Jestem zaskoczona widząc cię wśród nich — szepnęła Valeria.

Conan wzruszył ramionami.

— Cóż, tak się składa, że dotąd nie złapałem Dobanpu ani jego córki na kłamstwie. To stawia go nieskończenie wyżej niż większość czarowników, z którymi miałem do czynienia. — Klepnął ją w ramię. — Po prostu udawaj, że wiesz co robisz...

— Tak jak ty w łożu?

— Kobieto, czy to moje udawanie sprawiło, że wczorajszej nocy wylaś jak wilczyca? Pół wioski cię słyszało. Tak mówią.

Valeria mruknęła jakieś przekleństwo, śmiejąc się pod nosem. Odwróciła się tyłem i Conan widział tylko, jak jej nagie ramiona drżą od powstrzymywanego śmiechu. Potem pospieszył do Seyganko.

Znalazł wodza siedzącego w kuchni obok przewróconej do góry dnem łodzi. Seyganko oglądał jej dno, jakby kryły się tam wszystkie tajemnice bogów, albo przynajmniej zwycięstwo nad Kwanyjczykami.

Seyganko miał z wąpnie wypisane na twarzy. Po części było tak dlatego, że przygniatał go ciężar prowadzenia ludzi na wojnę, której ani oni, ani cały szczerp mogli nie przeżyć. Conan nie był wiele starszy od Seyganko, ale znacznie częściej znosił taki ciężar i wiedział, że wcale nie stawał się on lżejszy wraz z nabraniem doświadczenia.

Drugi powód niepokoju Seyganko wkrótce się wyjaśnił.

— Widzieliśmy kwanyjskich wojowników w lesie, na granicy naszych pastwisk i pól. Znaleźniono kilka zabitych kóz i co najmniej jeden pasterz zniknął.

Conan skinął głową. To była sprawa sztuki wojennej, na której dobrze się znał, choć nie zawsze chciał się do tego przyznać.

— Nigdy nie prowadź wojny licząc na to, że wróg będzie czekał, aż na niego spadniesz jak nocnik z okna na wysokim piętrze. Chabano chce odciągnąć wojowników od ataku na siebie.

— Zrobi to, jeśli nie pozostawimy naszych stad i pól bez obrony.

— Stada mogą się przemieszczać, prawda?

— Tak, ale...

— Wyślij tylu wojowników, by ochronić pasterzy, kiedy będą przeganiać stada na południe, na wzgórze nad rzeką. Wtedy Kwanyjczycy musieliby maszerować dwa dni po otwartym polu, żeby do nich dotrzeć. Ty masz łuczników, a oni nie. Jak sądzisz, ilu żywych Kwanyjczyków dotrze do wzgórz?

— Rozumiem. — Seyganko błysnął krótkim uśmiechem. — Ale jeszcze nie zebraliśmy z pól. Jeżeli spalą nasze plony...

— Jak to, pozwolilibyście podpalaczom działać nie poderznąwszy im w nocy gardel? — zapytał Conan starając się zachować cierpliwość. Miał nadzieję, że brzemień odpowiedzialności nie ogłupiło Seyganko.

— To też można uczynić — rzekł Seyganko. Tym razem uśmiech na dłużej zagościł na jego twarzy. — Część ziarna zbierzemy i przeniesiemy, by nakarmić stada na wzgórzach. Zjemy je w tej czy w innej formie. Być może stada Kwanyjczyków też.

Conan poklepał Seyganko po ramieniu i obaj wymienili przysięgi, że będą chronić swe kobiety, gdyby któryś z nich nie przeżył wojny. Potem Conan wrócił do szybu — w samą porę, by zobaczyć, że Emwaya dołącza do szeregu stojących przy wejściu wojowników.

Przewrócił tylko oczami, mruknął: „Ach, te kobiety!” i spojrzał karcąco na Valerię, która wzruszyła

ramionami na znak, że nie ma sensu dyskutować z nią ani z Emwayą.

— No dobrze — sapnął. Odwrócił się do drużyny czterdziestu krzepkich wojowników i Emwayi.

— Ja zejść pierwszy. Jeśli przecisnę się bez trudu, to i wy dacie radę. Tylko Aondo przewyższał mnie wagą i wzrostem, ale jego zeżarły krokodyle.

— Nigdy nie myślałem, że będę współczuł krokodylowi — zawołał jeden z wojowników — ale to stworzenie pewnie już zdechło.

Dobrze było usłyszeć ich śmiech.

— Nikt nie zejdzie na dół, dopóki nie krzyknę i dopóki drabiny i sznury nie znajdą się na właściwych miejscach — dodał Conan. — Jeśli zobaczę, że któryś schodzi po podtrzymującej belce, sam go stamtąd zepchnę. Wtedy każdy następny będzie miał na nim miękkie lądowanie!

Wojownicy śmiali się jeszcze, gdy Conan obwiązał sobie wokół pasa sznur i zaczął schodzić w mrok.

Znów przyszło. Obecność tego oznaczała mięso i siłę życiową dla Złotego Węża. O ile mógł ocenić, było tam gdzie poprzednio.

Ale teraz wydawało się silniejsze, jakby nadchodził jakiś wielki zwierz.

Może tylko więcej dwunogich? Czy schodzili, by zaspokoić głód Złotego Węża? A może po to, by go upolować?

Wąż nie potrafił rozumować takimi słowami, ale odróżniał ofiarę od wroga. Wiedział też, że gdy nadejdzie czas ataku, nawet ci, którzy przyszli na polowanie, staną się zdobyczą. Tak było odkąd pamiętał, a pamiętał czasy, kiedy jeszcze nie mieszkał w tych podziemnych norach.

Jeden z wojowników, przyzwyczajony do polowania i walki w dżungli, instynktownie zaczął zbierać opadłe ze ścian grudy ziemi. Conan podniósł rękę, by go zatrzymać.

— Zostaw, przyjacielu. Tu nie ma Kwanyjczyków, którzy tropiliby nas po śladach. To, co tutaj mieszka, na pewno ma inne sposoby, by nas znaleźć. Oszczędzaj siły, byśmy pierwsi to coś znaleźli.

Magiczne światło wciąż oświetlało korytarze, jednak było trochę słabsze. Ale chyba tylko dlatego, że światło na schodach znikło razem z broniącymi go zaklęciami.

Dalej, w głębi korytarza, jarzyło się jasno i nienaturalnie jak zawsze.

Conan i Valeria jako jedyni z całej ekspedycji nie czuli niepokoju. Cymeryjczyk widział, jak ręce

wojowników zaciskają się na włóczniach i na amuletach. Niektórzy wojownicy chowali je za siebie, jakby się wstydzieli. Mieli nadzieję, że Niebieskooki Wódz, jak go nazywali, nie zobaczy tego.

Conan zakaszlał pozbywając się z gardła kurzu i stanął na przedzie.

— Nie powiem, że nie ma się czego bać, bo nie uważam was za głupców. Jesteście silnymi wojownikami Ichiribu, najlepszymi, jakich widziałem.

Taka przemowa nie oparłaby się zakłęciu odkrywającemu prawdę, ale nikt poza Emwayą nie potrafił go rzucić, a ona tego nie robi.

— Uważajcie gdzie stawiacie stopy, bądźcie cicho i porozumiewajcie się znakami. Oszczędnie pijcie i mało jedzcie. Nie schodźcie ze szlaku, nawet jeśli w odnodze zobaczycie skarby. Nade wszystko pamiętajcie, że zaskoczenie wroga podwaja siłę ataku. Zaskoczmy Kwanyjczyków wyłaniając się z miejsca, o którego istnieniu nie mają jeszcze pojęcia. Wyobraźcie sobie, ile wam to doda sił!

Taka myśl sprawiła wojownikom wielką przyjemność. Formując szyk marszowy spoglądali w tył i do góry, ale byli uśmiechnięci. Wszyscy prócz Emway i.

Złoty Wąż chwycił zębami pierwszy z leżących na jego drodze, kamieni i zaczął go odciągać na bok. Starał się zachować ciszę. Pamiętał, że na ogół pojawiająca się w podziemiach zdobycz miała dobry słuch.

Z wyjątkiem dwunogich, oczywiście. Tych nie pamiętał tak dokładnie jak stworów, które ostatnio dzieliły z nim podziemia, ale przypominał sobie, że dwunodzy byli bez światła niemal ślepi i w każdych warunkach prawie zupełnie głusi.

Jeżeli mięso i siła życiowa, którą wyczuwał, należały do dwunogich, mógł być mniej ostrożny, pracować szybciej. Mógł śmiało przesuwać kamienie, a w odpowiednim momencie zaatakować. Takie mniej więcej myśli krążyły w głowie Złotego Węża, w każdym razie tak by je zrozumiał ktoś taki jak Emwaya.

Ktoś taki jak Emwaya wyczułby też, że działania Złotego Węża poruszały zakłęcia krążące po korytarzach pod jeziorem. Rozchodziły się one jak fale wokół wrzuconego do wody kamienia i docierały do najdalszych zakątków podziemi, nawet do brzegów Jeziora Śmierci.

Chabano obejmował właśnie jedną ze swych niewolnic, gdy przybył posłaniec. Chciał najpierw skończyć z kobietą, ale zobaczył jego twarz.

Posłaniec miał na szyi ząb lamparta, był więc doświadczonym wojownikiem i jeśli coś przyprawiło go o taki wyraz twarzy, nie mogło zostać zlekceważone.

Klepnął niewolnicę w tyłek.

— Uciekaj, tylko szybko.

Kobieta wyglądała na rozczarowaną, ale przede wszystkim wystraszoną. Jeszcze w zeszłym roku niezadowolenie Chabano oznaczało śmierć dla niewolnicy.

— Odejdź! — krzyknął i podniósł rękę, by wymierzyć jej mniej delikatnego klapsa. — To nie twoja wina, że bogowie zesłali złe wieści!

Kobieta w pośpiechu nie zdążyła zabrać koszuli ani naszyjnika. Chabano wyprostował się i ostro spojrział na wojownika.

Ten, jak przystało na człowieka jego stanu, nawet nie drgnął.

— Ziemia pękła w dwóch miejscach nad brzegiem jeziora.

— Nie zauważyłem, żeby ziemia zadrżała.

— Nikt tego nie czuł, wodzu. Posłałem po znaczniejszych wojowników...

— Po Wobeku?

— Nie.

— Posłać po niego natychmiast! — Wojownik, w końcu wystraszony, przymierzał się do ucieczki. — Czeka! — usłyszał rozkaz. — Jak szerokie są pęknięcia?

— Jedno wygląda na naturalne. Nie jest głębsze niż wzrost człowieka i nie szersze niż ręka chłopca. Drugie jest tak szerokie, że wpadłby do niego wół i nie widać w nim dna. Ale...

Wojownik oblizwał usta. Chabano miał ochotę mu przyłożyć, ale wiedział, że to go tylko bardziej wystraszy.

— Jeśli nie widać dna, to co widać?

— Obrobione kamienie, może... może schody.

— Schody... — powtórzył Chabano. Wstał i podciągnął przepaskę, po czym wskazał na pióropusz. Wojownik podał mu go, potem też włócznię i maczugę.

Ubierając się, Chabano miał czas spokojnie pomyśleć. Pamiętał legendy o mieście pod jeziorem, nawet pod puszczą... a moc Dobanpu, jak się okazało, też nie była legendą. Jednak jeśli w tych legendach tkwiło choć ziarno prawdy, w porównaniu z magią owych starożytnych miast Dobanpu wyglądał jak dziecko.

To nie może być robota szamana. Ale pachniała czarami, a w tych sprawach...

— Wezwiesz Wobeku na naradę. Potem pójdziesz na Górę Burz i zanieśiesz tę wiadomość Ryku. Weź ze sobą zaufanych wojowników, żeby Ryku miał odpowiednią ochronę, jeżeli zechce do nas przyjść.

I żeby zdrada, którą może szykuje, wydała się od razu.

Posłaniec tupnął pięć razy i wybiegł tak szybko, jakby od tego zależało życie całej jego rodziny.

Chabano zdjął ze ściany najwspanialszą tarczę, tę, której skórę ozdabiały kawałki złota i kości słoniowej. Bogactwo, jakie wyczuł pod ręką, uspokoiło go. Jego myśli stały się przejrzyste.

Ziemię otworzyli bogowie albo ludzie. W obu przypadkach na pęknięcia trzeba mieć oko; musi wyznaczyć wojowników do tego zadania. W tym czasie większość jego wojowników, razem z Ryku, wycofa się na zbocze Góry Burz. Kiedy wróg się pokaże, zaatakujecie mocą Żywego Wiatru, albo włóczniami wojowników, jak będzie najlepiej.

Bitwa była pewna, i to na kwanyjskiej ziemi, czego Chabano pragnął uniknąć. Ale w jego myślach panował spokój — lwu łatwiej jest ugryźć tego, kto pcha głowę w jego paszczę.

XIV

Tam, gdzie znów zaczynało się światło, korytarz się rozszerzał, tak że wojownicy Conana mogli iść czwórkami, a nawet piątkami. Trzymana pionowo włócznia ledwo sięgała do sklepienia, a podłoga pokryta była ponurą, nieco szarawą skałą, niezbyt piękną, choć gładką jak marmur.

Takie drobnostki nie interesowały Conana. Przestronność korytarzy podpowiadała, że zbliżają się do serca tego, co znajdowało się pod Jeziorem Śmierci. Musiało to też być centrum magii, która od wieków wiązała ziemię i powstrzymywała ją od zasypania tego podziemnego labiryntu.

Cymeryjczyk został w tyle, by porozmawiać z Emwayą, która mimo że chwilami szła jak lunatyk, dotrzymywała kroku reszcie drużyny. Kiedy Conan do niej dołączył, znów była nienaturalnie sztywna. Zostawił ją w spokoju, wyrównał tylko krok. Przerwywanie pracy czarownikowi, choćby najbardziej przyjaznemu, nie mogło przynieść nic dobrego.

Gdy upłynął czas potrzebny do zjedzenia niewielkiego baraniego udźca, Emwaya ocknęła się, otrząsnęła jak mokry pies i spojrzała na Conana. Potem skinęła głową.

— To żyje i jest na naszej drodze. Chyba stało się silniejsze niż dotąd.

Nie należało pytać, czym jest owo „to”, ani czy jest niebezpieczne. Emwaya mogła wyczuwać tylko istotę, która napędza się cudzą siłą życiową i zapewne należało się jej obawiać. Ale Złoty Wąż, albo nawet krzyżówka smoka i nosorożca, to dla czterdziestu wojowników najwyższe zdrowe ćwiczenie.

Conan podążył na czoło grupy. Niektórzy wojownicy, widząc go biegnącego, przyspieszyli kroku. Dobył miecza i trzymał go poziomo w wyciągniętej ręce, tuż przed pierwszym szeregiem Ichiribu.

— Jeżeli któryś wyjdzie poza koniec miecza, oberwie płazem po łbie! — zapowiedział cicho, ale przenikliwie, aby głos dobrze się rozszedł. Mimo to kilku ludzi, słysząc rozchodzące się echo, niespokojnie spojrzęło po sobie. Nadgorliwi zwolnili krok. — W porządku — ciągnął. — Ten korytarz być może prowadzi pod jeziorem wprost do kwater kobiet Chabano. Ale może się też więc jak trop pijanego krokodyla. Pamiętajcie, że przed nami jeszcze daleka droga i oszczędzajcie siły!

Po tej przemowie Conan nie miał już kłopotów z nadgorliwcami; sam też mógł, idąc za własną radą, spokojnie maszerować. Choć nic nie wskazywało na zagrożenie, rozglądał się czujnie, a jego ręka nie puszczała rękojeści miecza. Od czasu do czasu sprawdzał, czy Emwaya nie wyczuła następnego wroga. Poruszali się dość szybko; Conan ocenił, że przeszli jakieś dwie mile, nim przystanęli na krótki odpoczynek.

Cymeryjczyk wyznaczył warty, a wojownikom niosącym dodatkowy sprzęt — liny, haki, pochodnie, ciężkie myśliwskie włócznie — nakazał go przejrzeć. Pozostali mogli swobodnie się rozsiaść. Ponure spojrzenie Conana zniechęciło ich do ruszania bukłaków z wodą, nikt też nie był głodny.

— Musimy być w połowie drogi od brzegu — szepnęła Valeria. — Jeśli idziemy w kierunku, o którym myślę.

— Ja też sądzę, że idziemy w tamtą stronę — odrzekł Conan. — Oczywiście możemy się...

Urwał. Rozległ się dziwny dźwięk — ni to szloch, ni to krzyk. Odwrócił się i zobaczył, że dwóch wojowników rzuciwszy broń podbiega do Emwayi, by ją podtrzymać.

Nie mogła się utrzymać na drżących nogach, zamknęła oczy i rękami zakryła uszy. Zapewne słyszała coś więcej swoim magicznym słuchem. Ale za chwilę wszyscy usłyszeli to samo w rzeczywistości.

Skały kruszyły się, toczyły, spadały z łoskotem, napelniając korytarze przeraźliwym echem. Teraz nie tylko Emwaya zakrywała rękami uszy. Wrzask Conana wybił się ponad łomot skał i też rozniósł się echem:

— Broń w pogotowiu!

Wojownicy pospiesznie zakładali tarcze i podnosili włócznie. Potem bez rozkazu ustawili się w szyk bojowy. Tragarze rzucili ładunek i otoczyli go kręgiem. Emwayę wnieśli do środka i niezbyt delikatnie położyli na zwiniętej drabinie sznurowej.

— Uważać na Emwayę! — krzyknął Conan. To był ostatni rozkaz. Nikt już jego słów nie słyszał ani nie musiał na nie czekać. Coś ogromnego sycząc sunęło po kamieniach.

Posłaniec dobiegł do Seyganko, jakby paliła mu się przepaska albo lampart gonił go przez całe jezioro. Zanim wykrztusił słowo, Seyganko ujrzał zjawisko, jakiego od lat nikt z Ichiribu nie widział — biegnącego szamana Dobanpu.

Podbiegł do Seyganko niezwykle szybkim krokiem, jak na człowieka w jego wieku. Odczekał tylko chwilę, by złapać oddech, i przemówił:

— Natychmiast trzeba wysłać łodzie. Zagrożenie jest większe niż myślałem.

— Ty chyba wcale nie myślisz, ojcie Emwayi, jeśli sądzisz, że możemy teraz wysłać łodzie. Ledwo połowa z nich jest załadowana, trzecia część wojowników nie zeszła jeszcze na ląd.

— Więc ruszajmy tym, czym można.

Seyganko uświadomił sobie swój gniew, kiedy usłyszał, jak trzeszczy ściskany przez niego trójząb. Starał się mówić spokojnie.

— Kto jest w niebezpieczeństwie?

— Ci, którzy zeszli pod ziemię. Muszę być bliżej nich, pomóc Emwayi walczyć z zagrożeniem.

— A co im grozi? — Seyganko nie potrafił nazwać ojca narzeczonej kłamcą, zresztą wiedział, że Dobanpu nie potrafi kłamać. Ale byłby przeklęty, gdyby rzucił nie przygotowanych do bitwy ludzi, w dodatku nie wiedząc dokąd!

— Istota, która siedzi pod jeziorem, tam gdzie Emwaya znalazła tunel... ta istota żyje, budzi się i rusza na tych, którzy zeszli. Emwaya będzie potrzebowała mojej pomocy, jeśli wojownicy w ogóle mają to stworzenie pokonać.

Seyganko wiedział, że nie usłyszy nic prócz tych zagadek. Nie było czasu do stracenia, mogli go mieć niewiele...

— Dobanpu, weźmiesz czółno i sześciu najsilniejszych, gotowych do drogi wioślarzy. Zaprowadzisz ich tam, gdzie zechcesz. Ja rozkażę pozostałym zebrać się tak szybko, jak to możliwe i dołączyć do ciebie jeszcze dwoma czólnami.

Dobanpu też uznał, że na więcej nie może liczyć. Odszedł pospiesznie.

Seyganko przywołał do siebie posłańców i doboszy z fandy. Kiedy zbiegał do brzegu, czółno Dobanpu już odbijało, a dobosze ciężko pracowali. Dudnienie mówiących bębnow niosło się nad lądem i wodą. Wskoczył do czółna i złapał najbliższe wiosło.

Dwudziestu lub trzydziestu wojowników wystarczy, by ochronić Dobanpu przed wrogiem. Słońce miało się ku zachodowi, a Kwanyjczycy w nocy bali się jeziora jeszcze bardziej niż w dzień.

A jeśli chodzi o innych wrogów — jeśli Dobanpu im nie sprosta, to im mniej wojowników stracą, tym lepiej. Szczep nie przetrwa, gdy zabraknie szamana, ale wojownicy zdążą jeszcze dać się we znaki ludziom Chabano. To przyniesie im uznanie bogów i wdzięczność ludów mieszkających w dole rzeki, których osłabieni Kwanyjczycy nie zaatakują.

Wiosło Seyganko głęboko zanurzyło się w wodzie, kiedy zaczął śpiewać najstarszą i dającą

najwięcej mocy pieśń wojenną Ichiribu.

Ryku usłyszał bębny sygnałowe z posterunku na wzgórzu nazywanym przez Kwanyjczyków Wzgórzem Wielkiej Tykwy. Nie rosły tam żadne tykwy, a kształt wzgórza także ich nie przypominał; Ryku zawsze zastanawiał się, skąd się ta nazwa wzięła.

Niemniej wzgórze było idealnym miejscem na punkt obserwacyjny; wartownik o bystrym wzroku widział stamtąd wszystko aż do wyspy Ichiribu. Niektórzy wartownicy, obdarzeni przez Ryku nadludzkim wzrokiem, mogli nawet dostrzec wypływające z wyspy łodzie.

I oto bębny sygnalizowały, że tak się właśnie stało. Ryku położył drewnianą tabliczkę na nasączonej ziołami skórze jelenia, chroniącej ją przed wilgocią i czarami. Zwinął skórę i włożył do stojącej w kącie komnaty szafki. Ta szafka była jedyną rzeczą, którą ze sobą przyniósł na Górę Burz. Była prezentem od człowieka, którego nazywał Ojcem; dzięki temu człowiekowi zawsze czuł się mniej osamotniony.

Teraz nawet sami bogowie nie mogli tego sprawić. Był Najwyższym Kapłanem Żywego Wiatru, choć rzadko używał tego tytułu. Jego krewni nie pochodzili z tej ziemi i tak być musiało. Gdyby osiągnął swą rangę w inny sposób, być może czułby jakieś pokrewieństwo z pozostałymi kapłanami, ale w tej sytuacji byli dla niego obcy i niegodni zaufania.

Ryku wyszedł ze swej komnaty, dotknął wiszącej u pasa sakiewki, co miało przynieść mu szczęście, i odwiązał wiszącą w wejściu słomianą zasłonę. Kiedy spadła, odwrócił się i udał do Groty Żywego Wiatru.

Słuch nie zawodził Conana. Naprawdę słyszał dudnienie, jakby taran walił w kamienną ścianę.

Z bocznego korytarza za nimi, wzbijając chmury kurzu, wytaczały się z łoskotem głazy większe od człowieka. Mniejsze kamienie wylatywały jakby ciśnięte machiną oblężniczą. Niektóre z nich uderzały w ścianę i rozpryskiwały się na kawałki, inne trafiały wojowników. Trzech padło na miejscu, dwóch kulejąc próbowało ucieczki.

Ci dwaj jako pierwsi padli ofiarą Złotego Węża, gdy wpełzł do korytarza ze swego legowiska.

Zatopił zęby w jednym z nich. Człowiek tylko przez chwilę wył w agonii, zanim opadł bezwładnie. Zęby węża miały długość palców Conana i tkwiły w szczęce wielkości końskiej głowy, nie było więc nawet istotne, czy wstrzykiwały jad, czy nie. Drugi człowiek zginął, gdy ogon, grubszy niż jego ciało, rzucił nim o ścianę. Nawet nie krzyknął. Trzask pękającej czaszki i łamanych kości rozległ się tak wyraźnie, że nikt nie miał wątpliwości, jaki go spotkał los.

Za to inni wojownicy podnieśli krzyk, widząc, co się dzieje z ciałami poległych. Zabłyśło wokół nich mdłe, zielonkawe światło, takie, jakie można ujrzeć tylko na najbardziej cuchnących bagnach, nawiedzonych przez demony i omijanych z daleka przez rozsądnych ludzi. Światło miało kolor

szumowin pływających na zastanej wodzie takiego bagna. Conan nie pamiętał, czy widział w życiu paskudniejszy kolor.

Ale pamiętał, że z tyłu została Emwaya, a jej los wiąże się ściśle z losem pozostałych. Odwrócił się i dopadł jej, akurat kiedy wyrwała się z rąk trzymających ją wojowników. Podbiegła do Złotego Węża, wznosząc wysoko jedną rękę, a drugą ściskając wiszący na szyi amulet.

Potwór zasyczał głośno, aż echo poszło, i rozwarł paszczę, tak że Conan mógł wyraźnie dojrzeć jej wnętrze. Było zielone, umazane krwią pierwszego wojownika. Daleko w głębi migotał ów ognik bagienny. Znacznie jaśniejszy blask bił ze złożonych z wielu kamieni oczu węża. W innych okolicznościach takie światło mogłoby wydać się piękne; teraz wznagało tylko grozę.

Na widok Emwayi wąż uniósł przednią część ciała. Rogaty łeb uderzył w sklepienie, sypiąc gradem drobnych odłamków. Ogon bił na boki, omal nie przewracając jednego z tragarzy, który zbyt zuchwale próbował odzyskać swój ekwipunek.

Od nosa do ogona potwór był dłuższy niż duża galera i grubszy niż spore drzewo. Złote łuski, wielkie jak cynowe talerze, zachodziły na siebie tak sprytnie, jak w najlepszej aquilońskiej zbroi. Niektóre wyblakły i były teraz jasnożółte, niemal białe. Conan zauważył, że wiele z nich pękło; kilka wyglądało na złamane i na powrót zrosnięte.

Najodważniejszy z wojowników, z tarczą na plecach, trzymając oburącz włócznię, wyprzedził Emwayę. Podskoczył i zadał jeden płynny cios, a grot włóczni zniknął między wyblakłymi łuskami. Złoty Wąż przechylił się jak drzewo na wietrze. Wojownik, wciąż trzymając włócznię i machając nogami, wyleciał do góry. Wąż zniżył głowę i kłapnął szczęką, chwytając wojownika za nogę. Ten nawet nie krzyknął; zebrał wszystkie siły i jeszcze głębiej wcisnął włócznię.

Udało mu się to w momencie, gdy zęby węża odgryzły mu nogę w połowie łydki. Wrzasnął, ale nie spadł. Pozostał zawieszony w powietrzu, niczym nie podtrzymywany, a znajome zielonkawe światło pobłyskiwało wokół krwi wypływającej z kikuta jego nogi.

Kiedy w końcu upadł, włócznia wyrwała się z szyi węża. Zielonkawa krew trysnęła z rany. Tam, gdzie padła na skałę, unosił się z niej dym; gdy napotkała zwłoki jednego z zabitych, ciało spopieliło się i odpadło od białych kości.

Jeśli kiedyś Conan wątpił w grozę czającej się w tych głębinach magii, teraz w nią uwierzył. Za to wątpił, by jeszcze kiedykolwiek chciał narażać się dla ognistych kamieni.

Emwaya zachwiała się i wsparła się na nim, ciągle trzymając ręce przed sobą, jakby chciała się bronić.

— Szybko — wyszeptała. — Każ następnemu rzucić włócznię.

— Ty! — zawołał Conan. Jego rozkazujący głos poderwał wojowników. Ten, do którego się zwrócił, cofnął się i włożył w rzut całą swoją siłę i odwagę. Trafił niedaleko rany zadanej przez pierwszego wojownika.

Łuska pękła, ale tym razem krew sączyła się tylko wąską strużką. Conan przyjrzał się ranom. Pierwsza z nich już się zasklepiła. Jedynie smuga krwi na szyi węża świadczyła o tym, że był ranny. Krew, która wypłynęła na podłogę, też już wysychała nieopodal zwłok wojownika, który stracił nogę. Przez cienką skórę i tańczące wokół niego zielonkawe światło widać już było kości.

Emwaya odetchnęła głęboko i chrapliwie.

— Musimy wabić go, żeby się zbliżał, i ranić za każdym razem. Trzeba utrzymywać dystans. Jego rany goją się, ale nie całkowicie. Będzie tracił siły, już ja się o to postaram.

— Jak długo może tak walczyć?

Złoty Wąż zasyczał boleśnie i wyzywająco. Syk rozniósł się tak głośnym echem, że Emwaya musiała krzyczeć wprost do ucha Conana.

Kiedy zbliżył się o następne dziesięć kroków, powiedziała pospiesznie:

— Zginie szybko, jeśli mój ojciec zdoła połączyć swoją moc z moją. Razem możemy odebrać mu zdolność zdobywania siły życiowej. To ona pozwala mu goić rany.

Conan pomyślał, że czarowników nie było nigdy tam, gdzie potrzeba.

— Hej! — wykrzyknął podnosząc miecz. — Będziemy z nim walczyć wycofując się. Tragarze, na tyły! Włócznie w pierwszym szeregu! Za wszelką cenę bronić Emwayi! I na miłość wszystkich bogów, nie zbliżać się do potwora!

Twarze wojowników, nawet tych najodważniejszych, mówiły, że nie trzeba im dwa razy powtarzać ostatniego polecenia. Conan złapał jedną z zapasowych włóczy i dołączył do drugiego szeregu, a Valeria podbiegła i stanęła obok Emwayi.

Jakby kierowała nimi jedna myśl, cała drużyna cofnęła się dziesięć kroków. Zachęcony tym wąż zniżył głowę i podpełzł, tym razem jednak nie zaatakował tak zuchwale. Włócznia i trójzab poleciały w jego kierunku. Włócznia weszła głęboko, ale trójzab odbił się od sterzącego na nosie rogu. Wojownik, który go rzucił, chciał podbiec i odzyskać broń, ale rozkaz Conana zatrzymał go w szeregu.

Była to chyba najdziwniejsza bitwa, w jakiej Conan brał udział. Przerośnięte węże nie były znowu taką rzadkością — zwłaszcza gdyby ocenić to po ranach, jakie Conan odniósł walcząc z nimi. Ale jeszcze nigdy nie walczył z wężem dysponującym własną magią, przewodząc przy tym drużynie wojowników.

Doskonałych wojowników, pomyślał widząc, jak jeden z procarzy używa swojej broni, ciskając kamień. Pięknie trafił, w samo płonące oko. Conan spodziewał się, że oko nie wypłynie, tylko pęknie, ale nie stało się nic podobnego. Wzburzyło się, tylko jak galareta, nieco zamgliło i na chwilę zbladło, po czym znów rozblęskło zielenią.

Stwór zasyczał, najwyraźniej z bólu. Emwaya zagryzła wargi aż do krwi i ostrzegła wszystkich:

— Uwaga! Będzie atakował!

Uratowało to życie przynajmniej trzem ludziom. Ogromna głowa wycelowała dokładnie tam, gdzie by stali, gdyby w porę nie dołączyli do szeregu. Dwadzieścia kroków dalej drużyna zatrzymała się czekając na dwóch wojowników, którzy zostali, by ugodzić bestię włóczniami. Jeszcze raz krzyk Conana uratował jednemu z nich życie, gdy ten próbował uderzyć węża maczugą w nos. Mężczyzna dołączył do towarzyszy, bez maczugi i włóczni, ale zdrów i cały.

Potem drużyna znów cofnęła się o trzydzieści kroków. Emwaya wymachiwała rękami, tak głośno recytując zaklęcia, że przekrzykiwała syk węża. Włócznie teraz już dłużej pozostały w ciele potwora, a krew też obficie i dłużej płynęła.

Zwycięstwo było w zasięgu ręki, pomyślał Conan, mimo że taka bitwa mogła się przyśnić tylko szaleńcowi. Zwycięzą, choćby tylko jeden człowiek ocalał, by postawić nogę na martwym wężu.

Wtem syczenie wzmogło się, a Emwaya krzyknęła ostrzegawczo. Śmiertelny taniec zaczynał się na nowo.

XV

Te czółna nie były najlżejsze i najszybsze wśród tych, jakimi dysponowali Ichiribu, choć przecież ich budowniczości cieszyli się dobrą sławą wśród ludów zamieszkujących brzegi Jeziora Śmierci. Wioślarze też nie należeli do najsilniejszych czy najbardziej doświadczonych.

Seyganko po prostu nakazał pierwszej z brzegu dwudziestce ludzi zająć miejsca w trzech wolnych czółnach i ruszyli pod komendą Dobanpu. Przemknęło mu wprawdzie przez myśl, że jednak lepiej było poczekać trochę, wybrać najlepszych wioślarzy i wziąć lepsze czółna. To pozwoliłoby im szybciej płynąć. Jeśli zbyt późno dotrą na miejsce, Emwaya może zginąć — Dobanpu dał to wyraźnie do zrozumienia.

Po chwili jednak zauważył, że łodzie wprost fruną przez wodę, jakby wiosłowali w nich niezmordowani bogowie. Popatrzył na szamana, który siedział na rufie ich czółna, i zauważył że nikły uśmiech zagościł na jego twarzy.

Seyganko wstydził się swoich poprzednich myśli, ale rozpierała go też duma. Oto sam Dobanpu uznał, że młody wódz wart jest jego pomocy. A może to tylko bezpieczeństwo Emwayi poruszyło jej ojca?

Rzeczywiście, wiosła poruszały się tak szybko, że ledwo dało się za nimi nadążyć wzrokiem, jak za dobrze rzuconą włócznią. Wojownicy wcale nie byli spoceni czy zasapani. Seyganko przypomniał sobie, że zaklęcia, które podwajały siłę człowieka, mogły go potem mocno osłabić. Ci wojownicy będą musieli nie tylko wiosłować, ale też walczyć, zanim słońce zakończy jutrzejszy dzień.

Tymczasem przemierzali Jezioro Śmierci z szybkością właściwą dotąd tylko ptakom. Na okrzyk Dobanpu Seyganko podniósł wiosło, a wszyscy wiosłarze przerwali pracę. Pozostałe dwa czółna wkrótce dołączyły rozpędem do nich i zatrzymały się.

Nagle, zanim Seyganko zdążył coś powiedzieć czy choćby się ruszyć, Dobanpu wstał ze swego miejsca, chwycił zawieszony na szyi amulet i wyskoczył za burtę. Przeciął wodę całkiem bezszelestnie, wojownicy nie usłyszeli nawet najlżejszego plusku, jak przy nurkowaniu zimorodka. Przez chwilę widać jeszcze było nogi szamana, lecz po chwili i one znikły, pochłonięte przez głębiny.

Wojownicy, kiedy odzyskali oddech, podnieśli wrzawę.

— O bogowie, a to stary głupiec!

— Gdzie on się pcha?

— Utopi się!

— Przedtem skrzydlica go dorwie!

— Nie umie pływać!

Seyganko uciszył ich:

— Ojciec mojej kobiety umie pływać, to pewne. Tu nie ma żadnych ryb, tylko to coś, z czym ma walczyć. A jeśli chodzi o resztę... żadnego szamana nie nazwałbym głupcem. Zwłaszcza gdybym sądził, że wróci i przypomni sobie, co powiedziałem. Jeśli nadal macie inne zdanie, to chociaż trzymajcie języki za zębami. Zapomnieliście, kto może nas podsłuchiwać? — Seyganko wskazał kwanyjski brzeg. Zapadła cisza.

Złoty Wąż uśmiercił jeszcze dwóch wojowników, zanim drużyna nauczyła się z nim walczyć. Razem było już dziesięciu zabitych lub poturbowanych tak ciężko, że do niczego się nie nadawali. Pozostali wojownicy byli zdenerwowani. Stawali oto przeciw wrogowi, którego nie można nawet poważnie zranić, a cóż dopiero zabić, choć Emwaya obiecywała, że będzie inaczej. To nie mogło podnieść ich na duchu.

Mimo to nie stracili nic ze swojej siły i sprytu. Biegali przed węzem jak muchy przed głową konia, kłując z taką samą niemiłosierną wytrwałością. Niektórzy śpiewali nawet pieśni wojenne między wypadami, dopóki Conan nie nakazał im oszczędzać siły.

Taka odwaga i dyscyplina ucieszyły Conana, chociaż niezupełnie go zaskoczyły. Wiedział od lat, że w Czarnych Królestwach wychowywali się wojownicy, którzy mogli stanąć do bitwy w każdym miejscu na świecie. Nie spodziewał się tylko, że tylu ich spotka tak daleko w głąb lądu. Tym bardziej był zadowolony ze swoich towarzyszy. Być może gdy Złoty Wąż wyzionie ducha, może więcej niż jeden człowiek będzie mógł postawić nogę na jego trupie.

Rozległ się krzyk. To Emwaya potknęła się na śliskim podłożu. Już nad nią stała Valeria, trzymając miecz i gotową do rzutu włócznią. W mgnieniu oka stanęło przed nią jeszcze pięciu wojowników. Szamanka zaciskała zęby z bólu. Bujne włosy uratowały jej głowę przed rozbiciem, ale nadal poruszała rękami walcząc z niezwykłą mocą Złotego Węża.

Po chwili wstała. Conan zauważył, że wąż nie zaatakował ani jej, ani jej obrońców. Nauczył się, czym grozi dobrze użyte żelazo, czy wreszcie wyczerpywały się jego siły?

Conan wiedział, jak niebezpieczne jest złudzenie, że przeciwnik jest słaby albo głupi. Jednak nie mógł pojąć, jak cokolwiek mniejszego niż Góra Burz mogło opierać się cięgom, jakie jego drużyna sprawiła Złotemu Wężowi.

Nagle grzmot wstrząsnął korytarzem. Conan mógłby przysiąc, że widział, jak wąż podniósł się z ziemi na szerokość dłoni. Wojownicy wypuścili z rąk tarcze, na sklepieniu pojawiły się rysy. Potem dookoła zaczęły się sypać odłamki kamieni, a po drugiej stronie węża stanął ociekający wodą Dobanpu we własnej osobie.

Wszyscy byli wstrząśnięci, chyba nawet potwór, jednak momentalnie się otrząsnął i ruszył do ataku na Dobanpu. Szaman stał niewzruszony, wodząc palcami po amulecie. Valeria wrzasnęła z przerażenia, za nią tuzin wojowników, a nawet Conan.

Wąż zatrzymał się tuż przed Dobanpu. O ramię od szamana ogromny rogaty łeb zastygł nagle, jakby zacisnęła się na nim pętla, albo jakby powietrze nabrało twardości skały. Dobanpu podniósł rękę i mieniący się złotem świetlny łuk połączył go z Emwaya. Światło wniknęło w niego i znikło bez śladu, tylko jego oczy dziwnie pojaśniały, ale Conan nie był pewien, czy to nie złudzenie.

Dobanpu odwrócił się i z zawrotną jak na człowieka w jego wieku szybkością wbiegł do korytarza, którego nikt dotąd nie zauważył. Znow wszyscy jęknęli z przerażenia, a Emwaya zmarszczyła brwi.

— Czy twój ojciec oszalał? — krzyknęła Valeria. Conan pokręcił głową. Jeśli Emwaya nie okazywała strachu, Dobanpu na pewno miał jakiś plan. Tyle że ten plan trzeba będzie urzeczywistnić.

— Co mamy robić? — zapytała Valeria.

— Zdaje się, że on zamierza zaprowadzić tę istotę do miejsca, które uznał za odpowiednie. Dużo siły użył, żeby tu dotrzeć, nie poradziłby sobie bez naszej pomocy. Ale w miejscu, którego szuka, znajdzie jakiś sposób, żeby uśmiercić węża.

Conan przeklął sam siebie za to, że spodziewał od Emwayi jasnej odpowiedzi. Valeria spojrzała na Emwayę wściekłym wzrokiem.

— Chcesz, żebyśmy poszli za tym stworem do jakiejś nory, gdzie z łatwością nas załatwi? Mamy zaufać tylko czarom twojego ojca?

— Tak.

— Conanie...

— Później mnie przeklniesz — powiedział. — Na razie zastanów się, czy mogłabyś postawić choć dwa swoje włosy na to, że wydostaniemy się stąd, jeżeli Dobanpu zginie.

Valeria przyznała mu rację. Wyskoczyła na czoło drużyny i podniosła miecz.

— Naprzód, psie wypierdki! Odwrócił się do nas tyłem, to znaczy, że ucieka!

Wojownicy chyba jej nie zrozumieli, a ci, którzy zrozumieli, nie uwierzyli. Wiedzieli jednak, że nie mogą pozwolić, żeby kobieta Niebieskookiego Wodza zawstydziła ich prowadząc atak. Rozległy się bojowe okrzyki i wojownicy rzucili się w pogoń za wrogiem.

Ryku wpatrywał się w świetlny wir; w takiej formie Żywy Wiatr ukazywał się kapłanom. Stał na samym brzegu skalnej półki, zamiast siedzieć na miejscu przeznaczonym dla Najwyższego Kapłana. Nigdy nie czuł się swobodnie na tamtym miejscu, a teraz szczególnie zależało mu, by nic nie zmużyło jego spokoju. Być może to tylko bajka, że Żywy Wiatr wyczuwa, gdy ktoś się go boi albo nie jest pewny siebie... ale takie bajki często zawierały w sobie ziarno prawdy.

W dodatku Ryku nie podobało się to, co widział. Nawet nie o to chodziło, że Żywego Wiatru nie okrywał dym, jak nakazywał rytuał. Celowo nie przywołał dymu, uznając to za przestarzały zwyczaj.

Żywy Wiatr mienił się purpurą i szafirem, a barwy układały się we wzory przyciągające wzrok. Ale purpura coraz bardziej przypominała krew, podczas gdy szafir stawał się coraz bledszy. Ryku słyszał też odległy dźwięk, który wydawał się dochodzić zewsząd i znikąd. Nie wiedział, jak go opisać. Wyobraził sobie tylko, że gdyby pszczoły umiały śpiewać pieśni bojowe, brzmiałoby to bardzo podobnie.

Nawet zapach Groty Żywego Wiatru zmienił się. Zawsze pachniała świeżo i panował w niej chłód, mimo że tkwiła głęboko pod zboczami Góry Burz i dochodziło do niej mało powietrza. Teraz wypełniał ją zapach puszczy.

A właściwie co w tym dziwnego? Ryku uznał, że Żywy Wiatr zasłużenie otrzymał swoje imię. Dlaczego nie miałyby przybrać innych cech, skoro się przemieniał?

Mimo wszystko musiał użyć całej swej wiedzy, by zachować spokój. Dlaczego go to zaskakuje? Potężna, starożytna magia kryła się w tej ziemi, magia nietknięta przez wieki; może to sami bogowie Góry Burz właśnie się budzą.

Ryku uznał wreszcie, że jest już wystarczająco spokojny, by zasiąść na miejscu Najwyższego Kapłana. „Niech bogowie się budzą, powiedział do siebie. Niech się budzą, a zobaczą, że jestem ich przyjacielem, a moi wrogowie są ich wrogami. Wtedy nie będę potrzebował nawet Dobanpu, mając bogów za przyjaciół”.

Emwaya, jakby bez słów rozmawiała z ojcem, prowadziła całą drużynę tropem Złotego Węża.

Właściwie nie potrzebowali jej pomocy, bo potwór syczał prawie bez przerwy i wijąc się naprzód znaczył drogę krwią, która stawała się coraz gęstsza.

Conan trzymał język za zębami. Wolał, żeby nadzieja, która w nim się budziła, nie udzieliła się innym. Od fałszywych nadziei wojownicy stawali się nierozważni, a nierozważni wojownicy często ginęli z ręki mniej groźnych przeciwników niż Złoty Wąż.

Dzięki Emwayi drużyna posuwała się dużo szybciej, bez niej musieliby uważać na każdy krok. Conan nie orientował się, jak daleko już zaszli, zaczynał wątpić, czy wszyscy wojownicy wytrzymają takie tempo. Tragarze dyszeli coraz ciężiej, lżej ranni będą musieli niedługo odpocząć.

Conan nie chciał dzielić drużyny, zostawiając lekko rannych razem z dodatkowym ładunkiem. Czy zdołają ponownie się połączyć, jeśli rozdzielą się w tych głębinach? A zresztą wąż być może zna jakiś sposób, by nagle zawrócić i niespodziewanie spaść na tę łatwą zdobycz.

Do nozdrzy Cymeryjczyka dobiegł znajomy zapach. Nie całkiem przyjemnie go wspominał, ale w końcu te ogromne grzyby uratowały jego i Valerię, kiedy pierwszy raz przemierzali podziemia. Taki zapach długo pozostaje w pamięci.

Dochodzili do pieczary pełnej grzybów. Conan zastanawiał się, po co one tam rosną, skoro Złoty Wąż najwyraźniej żywił się mięsem. Emwayę za bardzo pochłaniała rozmowa z ojcem, by zwrócić uwagę na cokolwiek prócz okrzyku wprost do ucha. Nie zamierzał jej przerywać.

Korytarz prowadził ostro w dół; ślady zielonej krwi pojawiały się coraz częściej i były coraz świeższe. Wojownicy musieli zwolnić pogoń, by nie wchodzić w te wciąż dymiące plamy cierpienia i śmierci. Kiedy jeden z wojowników nieopatrznie się pośliznął, od razu podskoczył trzymając sparzoną rękę nad głową, jak trofeum.

— Krwawi! Krwawi bez przerwy! Naprzód, bracia, niech się wykrwawi na śmierć!

Nagle korytarz ostro zakręcił; krew była teraz także na ścianach. Conan znów wysunął się na czoło. Valeria trzymała się tuż za nim. Potwór mógł czaić się za tym zakrętem, nawet jeśli Dobanpu żył jeszcze — a sądząc po wyglądzie Emwayi, miał się dobrze.

Nagle pysk węża uderzył w zdezorientowanego wojownika na lewo od Conana. Zęby przeszyły powietrze, ale róg zahaczył za ramię i cisnął wojownikiem o ścianę. Conan usłyszał, jak trzasnęła jego czaszka.

Cymeryjczyk podskoczył i pchnął. Miecz przeciął łuski i wszedł głęboko w gardło bestii. Trysnęła krew; rana była długa i najgłębsza z tych, jakich potwór dotąd doznał.

Syk węża przeszedł w rodzaj bulgoczącego ryku. Krew opryskała Conana, Valerię, Emwayę i kilku wojowników. Paliła skórę. Conan zamrugał i potrząsnął głową, by pozbyć się jej z oczu; ręką wytarł usta i spojrzał na klingę. Nie zauważył uszkodzeń.

Usłyszeli głos Dobanpu:

— Przygotujcie ogień! Kiedy wprowadzę węża między ziemne owoce, podpalcie je!

Conan i Valeria nie tracili czasu na zastanawianie się nad sensem słów szamana. Spojrzenie Emwayi też zniechęcało do dyskusji. Wąż wił się w szerszej części korytarza.

— Krzesiwo! Przynieść krzesiwo i pochodnię! Szybko! — krzyknęła Valeria.

Przybiegł jeden z tragarzy. Valeria wykrzesła iskrę. Wysuszona, nasiąknięta tłuszczem trawa natychmiast się zajęła. Nie rozbłysła jednak żywym, żółtopomarańczowym płomieniem, tylko mdłym jak krew węża fioletem, obrzydliwym jak czary, z których pomocą wąż wysysał siłę życiową.

Valeria trzymała pochodnię przed sobą. Wąż powoli cofał się coraz dalej między grzyby. Conan stał obok Valerii; miecz i włócznię miał w pogotowiu. Zobaczył, że Dobanpu podnosi rękę i rzuca w pysk węża coś, co wyglądało jak garść jego zgęstniałej krwi. Wąż posunął się jeszcze trochę naprzód, po czym się zatrzymał. Opuścił łeb w wysokie grzyby.

Pochodnia rzucona przez Valerię poszybowała nad wężem i wpadła w kępę grzybów.

Zapaliły się tym samym mdłym płomieniem co pochodnia, wydzielając taki sam gęsty dym. Złoty Wąż zadrżał od głowy do ogona; podrzucił głowę, jakby chciał przebić sklepienie i wyjść na otwartą przestrzeń.

Nie udało mu się. Kiedy wstał, Conan zobaczył, że z jego wciąż otwartych ran wydobywają się płomienie i dym. Krew z zielonej stała się czarna. Złote łuski też poczerniały. Dym wychodził gardłem, nosem, wreszcie oczami.

Kiedy tak wszyscy oglądali ten spektakl, Conan przyciągnął Valerię do siebie i objął. Czuł jej drżenie. Włożył miecz do pochwy, odrzucił włócznię i drugą ręką przytulił Emwayę.

Stali tak, a rozniecony z pomocą czarów Dobanpu ogień pożerał grzyby i Złotego Węża. Zwierz nie poddawał się śmierci do końca. Chociaż zwęglone łuski odpadły od ciała, wciąż nie przestawał się wić. Conanowi zdawało się, że słyszy ciche skrobanie, nawet wtedy, gdy szalejące płomienie całkiem zakryły cielsko.

To była jego ostatnia oznaka życia. Dym zrobił się tak gęsty, że wszyscy musieli obwiązać sobie szmatami twarze. Niektórzy nawet je zmoczyli. Emwaya, niespokojna o ojca, wpatrywała się w dym.

Wtem dym zawirował i wypłuł chwiejącą się postać Dobanpu. Szaman kasłał jak opętany; prawie zupełnie oślepiony, mało nie nadział się na miecz Valerii. Kobiety przytrzymały szamana, aż wykasłał z płuc cały dym, i podały mu wodę. Gdy odzyskał głos, skinął głową w podziękowaniu i sapnął:

— Musimy stąd uciekać! Nie wiem, jak długo ten ogień będzie płonął ani ile dymu z niego powstanie. Może wypełnić całe podziemia.

— Cudownie! — krzyknęła Valeria. — Uratowaliśmy się przed Złotym Wężem tylko po to, żeby się udusić jak króliki w norze!

— Oszczędzaj siły na bieg — poradziła Emwaya — może ich ci zabraknąć. — Emwaya pierwszy raz od (Jłuższego czasu przemówiła swoim normalnym, ostrym tonem. Conan wziął to za pomyślny znak.

Valeria tak nie sądziła. Mimo to posłuchała jej rady. Tak jak wszyscy, milcząc pobiegła w górę korytarza. Dym gęstniał tuż za nimi.

— Wobeku — odezwał się kwanyjski wojownik — przybył posłaniec od strażników wielkiej dziury w ziemi.

Wobeku podniósł się i potrząsnął głową, by pozbyć się resztek snu. Któregoś dnia może zacząć odnosić się do niego z większym szacunkiem. Przynajmniej przestali już przezywać go „Ichiribu Wodza”.

— Jaką przyniósł wiadomość?

— Czuje dym.

— Dym? Jak z ognia?

— Tak mówi.

Wobeku wstał i założył strój bojowy, co go zupełnie rozbudziło. Wtedy też zauważył, że puszcza jest cichsza niż zwykle. Pospolite nocne ptaki i owady przeważnie omijały kwanyjską stronę jeziora, ale las nigdy nie był w nocy zupełnie cichy. Aż do teraz. Wobeku przeszedł dreszcz. Zdawało mu się, że czeka go walka z przeciwnikiem nie całkiem naturalnym.

— Dopilnuj, żeby bębny ostrzegły Chabano i Ryku — rozkazał. — Niech wojownicy pilnujący mniejszej dziury wrzucą do niej te kłody, które przygotowaliśmy. — Niewiele to mogło pomóc przeciw nieziemskim najeźdźcom, ale gdyby mieli stamtąd wyjść ludzie, czekała ich długa noc wypełniona rąbaniem drewna.

— Zbierz strażę przy wielkiej dziurze — polecił na koniec. — Nie za blisko. Każdy ma być w pełnym rynsztunku. Tragarze, kobiety i dzieci niech wrócą do wiosek. Natychmiast!

Kwanyjczyk już miał oddać Wobeku honory, gdy przypomniał sobie, z kim rozmawia. Skłonił tylko głowę i pobiegł.

Wobeku szybkim krokiem podążył tam, gdzie być może odbędzie się jego ostatnia bitwa. Zanim przebył połowę drogi do swego stanowiska, usłyszał mówiące bębny.

Zdawałoby się, że przed dymem mogą uciekać szybciej niż przedtem cofali się przed Złotym Wężem. Teraz nie musieli się co chwila zatrzymywać, nie było przecież sensu rzucać włóczniami w kłębiącą się ciemnofioletową ścianę, która podążała za nimi krok w krok.

Gdybyż tylko mogli oddychać! Dym pchał przed sobą niewyobrażalny żar; gorące smugi oplatały uciekających jak liany. Conan zaryzykował i spojrzął za siebie; natychmiast spowiła go chmura dymu i zaczął kasłać jakby miał wypluć płuca. Utrzymał się na szczęście na nogach, przebierając nimi automatycznie, zanim sienie ocknął z chwilowego zamroczenia. Inni wojownicy, choć czasem się potykali, dotrzymywali mu kroku. Tych, którzy upadli, towarzysze podnosili i ciągnęli ze sobą.

Nikt nie chciał zostawić przyjaciela na pastwę podziemi i fioletowego mroku. Nawet gdyby w dymie nie czyhały cienie dziwnych kształtów, trudno było sobie wyobrazić przebywanie tutaj. Conan i Valeria widzieli te cienie, Emwaya i Dobanpu również, jednak nic o nich nie mówili. Conan mógł się tego po nich spodziewać, jak po każdym czarowniku, ale nie chciał obrazić ludzi, którzy uratowali mu życie. Tak jak Valeria, poszedł więc za radą Emwayi i nie marnował sił na zbędne pytania.

— Tu skręcamy — zawołał Dobanpu. Wskazał wąską szparę w ścianie. Wokół niej ziemię pokrywało wyschnięte błoto, a dym mieszał się ze smrodem butwiejącej roślinności.

Mało obiecujące jak na drogę ucieczki, ale Dobanpu wyraźnie był pewny swego, a jak dotąd można mu było ufać. Poza tym Conan nie miał chęci czekać, aż ogień się wypali. Wszystkie grzyby we wszystkich pieczarach nie dałyby tyle żaru i dymu. W tym ogniu tkwiły czary, i to takie, przed którymi rozsądni ludzie wiali najszybciej jak można, nawet jeśli mieli akurat ze sobą przyjaznego czarownika.

— Na górę! — krzyknął Conan pokazując szczelinę. Mogło to świadczyć albo o jego autorytecie, albo też o desperacji wojowników, kiedy czterech z nich bez chwili wahania wskoczyło w czeluść. Za nimi jeszcze czterech, z drabinkami sznurowymi i innym sprzętem potrzebnym w czasie wspinaczki. Potem Emwaya wcisnęła się przed kolejną czwórka.

Na protest Dobanpu wystawiła z powrotem głowę.

— Ojcie, wspinam się szybciej od ciebie. Kto wie, co napotkamy tam na górze, jakich zaklęć trzeba będzie użyć? Bądź gotów mi pomóc, jeśli zawołam.

Zniknęła. Dobanpu rozejrzał się bezradnie. Nie wyglądał już jak czarownik, ale jak ojciec patrzący na dziecko skaczące w otchłań.

— Valerio! — zawołał Conan. — Ja pilnuję tyłów. Ty dołącz do Emwayi!

Valeria poprowadziła następną grupę wojowników. Tak szybko znikali w szczelinie, że Conan zastanowił się, czy droga na powierzchnię nie była łatwiejsza niż przypuszczał. Jeżeli znaleźli schody...

— Conanie! — krzyknęła Valeria. — Tu są schody, prowadzą na samą górę! Widać niebo! Spiesz się!

Conan nie potrzebował dalszej zachęty. Dym spowijał już jego stopy, owijał się wokół kolan, dochodził do pasa. Spróbował ciąć go mieczem, jakby był żywym wrogiem; dym cofnął się. Ale miecz tak się rozgrzał, że z trudem go utrzymał. Zrozumiał, że jeśli pozwoli, by dym go otoczył, zginie.

Dobanpu krzyknął coś ostro i oparł się o ścianę, jakby nagle osłabł. Ściana dymu wycofała się, tak jak wcześniej Złoty Wąż, a żar się zmniejszył. Conan niemal wrzucił szamana do szpary i wcisnął się za nim.

Znalazł schody i rzeczywiście zobaczył gwiazdy jaśniejące na nocnym, bezchmurnym niebie. Pociągnął za sobą Dobanpu, lecz szaman oparł mu się.

— Muszę nałożyć na schody zaklęcia obronne — sapnął. — Inaczej ten czar, który niesie dym, pójdzie za nami, złapie nas w pół drogi i spali...

— Jak wolisz — rzekł Conan. Dyskutowanie z czarownikiem było jeszcze bardziej beznadziejne niż walka z nim. Cymeryjczyk zwyciężył w bitwie wielu czarowników, ale chyba żadnego nie zdołał przegadać.

To zaklęcie wymagało więcej niż po trzykroć trzech słów. Kiedy Dobanpu skończył, szczelina pociemniała od dymu, ale najmniejsza smużka nie przedostała się przez nią. Powietrze w szybie przesiąkło stęchlizną, ale było czyste. Zaczęli się wspinać.

Ledwo zdążyli dołączyć do ostatniego wojownika, kiedy usłyszeli krzyk Emwayi.

Krzyk dopłynął po ciemnej powierzchni jeziora aż do łodzi Seyganko. Wszyscy z trzech pierwszych łodzi go usłyszeli, ale tylko Seyganko usłyszał go też w myślach. Rozpaczliwie szukał w nim jakiejś wiadomości.

Emwaya! Co ci grozi? Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Wiedział, że aby jej krzyk dotarł tak daleko na jezioro, musiała być niedaleko brzegu. Zapewne była już blisko powierzchni ziemi.

Jednak nie przyniosło mu to pociechy ani nie odpowiedziało na pytania. Zanurzył głębiej wiosło i spojrzął za siebie. Potem wykrzyczał na całe gardło swój okrzyk wojenny i znów pociągnął wiosłem.

Pozostałe czółna wyprzedzały go, choć wiosłarze pracowali bez pomocy czarów, wyężdżając jedynie własne siły. Stu najlepszych wojowników Ichiribu popłynęło na drugą stronę jeziora, by bronić zbiorów i bydła. Z tych, co pozostali, z górą czterystu płynęło czółnami ku kwanyjskiemu brzegowi, by zmierzyć się z wrogiem na jego własnej ziemi. Jedynie garstka pozostała do ochrony wyspy.

Jakby wojenny okrzyk Seyganko był sygnałem rozpoznawczym, na dziobach nadpływających łodzi zabłysły pochodnie. Za jego plecami sunęła po jeziorze ognista tyraliera.

Uniósł wiosło jak włócznię i tak trzymał, aż szereg czołen zrównał się z nim. Wtedy znów wydał okrzyk wojenny. Tym razem wojownicy odpowiedzieli, wypełniając krzykiem noc i jezioro od brzegu do brzegu. Jeżeli dotąd Kwanyjczycy nie byli świadomi, kto do nich nadciąga, niech teraz szykują się do walki.

Seyganko ponownie zabrał się do wiosłowania. Chwilowe poczucie tryumfu zmaćła świadomość, że nic więcej nie usłyszał od Emwayi — ani słuchem, ani myślą.

Conan przeskakiwał po dwa stopnie naraz, chociaż pokrywał je mech i pokruszone kamienie. Raz pośliznął się i byłby spadł, ale złapał się wystającego ze ściany korzenia i tylko dzięki temu, Dobanpu nie został zmiażdżony jak śliwka.

Schody kończyły się o wzrost człowieka od powierzchni, ale dla najlepszych Ichiribu skok na taką odległość to dziecinna igraszka. Wszyscy stali już twardo na ziemi, kiedy Conan do nich dołączył.

Pierwszym, co zobaczył, był kwanyjski wojownik padający z włócznią w udzie. Złapał jego tarczę i dobył miecza. Rozglądał się szukając Valerii i Emwayi.

Znalazł je przy drzewie, które unosiło się nad ziemię na powykręcanych korzeniach. Każdy korzeń był grubszy od Złotego Węża. Valeria rąbała włócznię kilku naciskających ją Kwanyjczyków, dwóch innych chwyciła już Emwayę. Gdyby ich koledzy, tak gorliwie nacierający na Valerię, nie zablokowali im odwrotu, dawno by z nią uszli.

Zobaczywszy Conana walczącego z Valerią Kwanyjczycy odwrócili się, w pośpiechu zahaczając się tarczami. Ten błąd okazał się śmiertelny dla jednego z nich. Conan jednym ciosem pozbawił go głowy, po czym odskoczył, by pozwolić ciału upaść.

Pozostali uformowali groźną ścianę z tarcz. Za chwilę mieli się przekonać, że inni też posiadli sztukę walki tarczą, niekoniecznie w szkole Wielkiego Chabano. Conan mieczem zbił włócznię jednego z nich, zaczepił tarczą grot włóczni drugiego i kopnął. Był bosy, ale stopy miał twarde jak skóra bawołu, a kopniak niósł ze sobą siłę jego masywnej nogi. Wojownik jęknął i lecąc w tył chwycił się towarzysza, którego wyrwał z szyku. Conan zamarkował cios, zmuszając go do podniesienia tarczy. Ciął pod nią, a noga Kwanyjczyka odpadła tuż nad kolanem.

Po zebrach Conana prześliznęła się włócznia, o mało go nie raniąc. Obrócił się i przerąbał drzewce na pół. Potem zaszarżował na wojownika jak byk, przyciskając mu do piersi jego własną tarczę, tak że tamten aby widzieć, musiał ją obniżyć. Ostatnia rzecz, którą zobaczył, to połyskująca w świetle gwiazd klinga spadająca wprost na jego głowę, by ją rozłupać na dwoje.

Valeria ścięła następnego przeciwnika, a pozostali Kwanyjczycy, oceniwszy szansę po śmierci kolejnego kolegi, uknęli w ciemność. Conan uderzył tarczą w plecy jednego z tych, którzy pojмали Emwayę; rozległ się chrupot pękającego kręgosłupa. Valeria podskoczyła do drugiego, chwyciła go za włosy, pociągnęła do tyłu głowę i poderżnęła gardło.

Emwaya była wolna. Założyła ręce na piersi i przez chwilę patrzyła w ziemię, po czym nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Ojczy?

Dobanpu zbliżył się i wyciągnął rękę, by jej dotknąć, jakby nie całkiem wierzył, że jest prawdziwa. Ujęła jego dłoń i uśmiechnęła się.

— Czuję się dobrze... chyba.

— Później się upewnimy — rzekł Dobanpu. Jedną ręką chwycił amulet, a drugą przytrzymał sakwę przy pasie. — Ludzie–Bogowie nie są chyba dzisiaj tym, czym byli. Wyczuwam waśnie, które być może ich osłabiły. Lecz jeśli wciąż władają Żywym Wiatrem...

Przerwały mu okrzyki wojenne Kwanyjczyków. Conan rzucił tarczę i wyciągnął sztylet.

— Żywy Wiatr może poczekać. Ktoś tu w pobliżu wciąż wydaje wojownikom rozkazy! — Wepchnął Emwayę w ramiona ojca i zawołał do Valerii:

— Znajdź drogę do jeziora i sprawdź, czy da się do niego podejść. To miejsce się nie nadaje. Musimy mieć wodę za plecami!

Valeria zniknęła bezszelestnie w ciemnościach. Spomiędzy drzew zaczęli wyskakiwać Kwanyjczycy.

Wobeku prowadził wojowników atakujących wroga, który wyszedł spod ziemi. Nie tylko honor popychał go do tego miejsca. Pamiętał, że jeśli Kwanyjczycy zwyciężą pod jego wodzą, stanie się wreszcie dla nich wojownikiem.

Gdyby biegł szybciej, spadłby na Ichiribu, zanim zdążyliby ustawić szyk. Zginąłby, ale dałby w ten sposób dość czasu towarzyszom, by uderzyli na rozproszonego wroga. Wtedy nawet szybkość, sprawność i stal Cymeryjczyka nie uratowałyby nieprzyjaciół.

Zamiast tego Wobeku poszedł do walki tak, jak uczył Chabano. Najpierw ustawił swoich ludzi we właściwym szyku, potem dopiero nakazał atak. Sam wyskoczył naprzód w ostatniej chwili.

Posuwająca się za nim kwanyjska tyraliera wyszła spomiędzy drzew nieco zdeformowana. Pierwsza seria lekkich dzid poszła głównie w krzaki, a jedna otarła się nawet o jego nogę. Wobeku warknął ze złością na idiotę, który ją rzucił. Przywołał do siebie ludzi.

Od jego tarczy odbił się kamień. Wobeku dał krok naprzód i schylił głowę, a procarz zarzucił procę na jego tarczę i pociągnął. Wobeku nie puścił tarczy, tylko dał się pociągnąć razem z nią, a potem rzucił się całym ciałem. Procarz zginął z jego włócznią w brzuchu.

— Yaygo! — Wobeku wydał rytualny okrzyk, głoszący, że zabił swego pierwszego dziś wroga.

W następnej chwili ktoś o mało nie zdobył prawa wykrzyknięcia tego samego nad nim. Wojownik po jego prawej stronie nagle znikł — wpadł do dziury w ziemi. Wojownik Ichiribu pojawił się na jego miejscu i zwarł się tarczą z Wobeku, zadając ciosy nad nią, pod nią i po bokach.

Dwukrotnie lekko zranił Wobeku, zanim ten mógł oddać cios włócznią — w sam brzuch, ale nie śmiertelnie. Wojownik nawet nie jęknął z bólu, Dalej dźgał, za każdym razem mniej dokładnie, ale tak samo odważnie.

Taka właśnie bitwa udawadniała Wobeku mądrość Chabano. W walce „każdy za siebie” często nie udawało mu się śmiertelnie ugodzić wroga, ponieważ musiał uważać jednocześnie na swoje boki i tyły. W kwanyjskiej tyralierze nawet w takiej drobnej potyczce flanki były dobrze chronione. Gdyby jeszcze za nim, jak zwykle, stała druga linia, na tyły też nie musiałby uważać.

Jeszcze raz pchnął i omal nie upadł, gdy włócznia przeszła powietrze. Wpatrzył się w miejsce, gdzie stał jego przeciwnik, zobaczył że inny Kwanyjczyk robi to samo. Ichiribu zniknął jak zaczarowany. Przed nimi leżało tylko kilka ciał, ledwo połowa z nich to byli Ichiribu.

Wojownicy Chabano nie mieli z kim walczyć. Wobeku machnął włócznią nakazując kilku ludziom zajrzeć do dziury w ziemi i sprawdzić, co tam jest. Nie znaleźli nic poza śladami stóp, które pokazały, jak Ichiribu się tu dostali.

Przez czary? A jeśli przez czary, to czy w ten sam sposób zniknęli? Wobeku ukląkł i przyjrzał się ziemi okiem doświadczonego myśliwego. W mroku niełatwo było coś dostrzec, ale pochodnie ujawniłyby ich czyhającym wrogowi.

Kiedy jego wzrok przywykł do ciemności, zobaczył ślady prowadzące w kierunku brzegu. Przywołał najlepszych tropicieli, dał im nowe włócznie i wysłał tym tropem. Ich zadanie: dowiedzieć się, dokąd Ichiribu poszli, i nie wdając się w walkę przysłać wiadomość. Puścił też posłańca do doboszy; wkrótce bębny znów przemówiły.

Cokolwiek Ichiribu robili pod ziemią, już to skończyli. Teraz zapewne chcieli utrzymać przyczółek dla oddziałów nadchodzących od jeziora. Wobeku zamierzał pokazać im, że dla bezpieczeństwa potrzebowali znacznie więcej niż tylko chroniącej ich tyły wody.

Odwrót nocą, po nieznanym terenie, to jeden z najtrudniejszych manewrów. Tak przynajmniej twierdzili doświadczeni wojownicy. Conan uczestniczył już w wielu wyprawach i wiedział, że to prawda.

Mówiono nawet, że to nie może się udać, jeśli ludzie są niezdyscyplinowani; Ichiribu cechowała idealna karność. Dlatego do brzegu dotarli wszyscy, którzy mogli utrzymać się na nogach, kiedy zarządzano odwrót. Niektórzy kuleli, dwóch nieśli towarzysze, ale wszyscy byli obecni.

Jednak Conan dysponował tylko dwudziestką zdolnych do walki wojowników. Bitwa ze Złotym Wężem sporo ich kosztowała, a potem uderzyli Kwanyjczycy. Zapewne padło też wielu z nich, mimo

to jego drużyna stawiała do bardzo nierównej walki.

Plan bitwy wymagał, żeby Ichiribu dokładnie rozpoznali szlaki wiodące do brzegu, tak by mogli zastawić zasadzkę. Jeśli atakujący wojownicy Chabano wpadną na plażę w rozsypce, nie zdążą uformować tyraliery.

Plany, myślał czasem Conan, są dla bogów, kapłanów i urzędników. Wojownikowi musi wystarczyć szczęście i ostra klinga.

Spojrzenie na jezioro dodało mu ducha. Z zatkniętymi na dziobach czółen płonącymi pochodniami, Ichiribu pruli do brzegu. Ognista linia ciągnęła się przez całe jezioro, aż do Góry Burz. Kwanyjczycy pewnie już wiedzą, co się święci; to może ich zmusić do pośpiechu.

Pośpiech w czasie wojny to broń obosieczna. Jeżeli dotrze się gdzieś szybko, można łatwo zwyciężyć. Jeżeli natomiast dotrze się tam szybko, ale nie w szyku i z osłabionymi siłami, można się pożegnać z przednią strażą.

Usłyszawszy trzask gałązki Conan obrócił się momentalnie, z mieczem gotowym ciąć ciemności. Na widok postaci, która się z nich wyłoniła, opuścił broń.

— Seyganko! Dobrze cię widzieć.

— Ciebie również, Cymeryjczyku. Jak się ma Emwaya?

Conan uśmiechnął się. Wódz Ichiribu musiał najpierw zapytać o swoją kobietę. Ciekawe, czy on też kiedyś będzie czuł coś takiego do kobiety. Nie stanęła jeszcze na jego drodze żadna podobna do Belit. Nawet Valeria nie mogła zająć jej miejsca!

— Zmęczona, ale ma się dobrze. Jest z nią Valeria. Jak się tu dostałeś nie zauważony?

— Moje czółna zgasiły pochodnie i wiosłowaliśmy cicho. Przywiódłem trzydziestu ludzi. Zaskoczenie wiele daje.

Zapewne tak, ale setki pozostałych wojowników, którzy teraz pływają w kółko i czekają na sygnał z brzegu, też by się przydały. Seyganko chciał zwycięstwa czy chwały — chwały zdobytej kosztem krwi Cymeryjczyka?

Nic dobrego nie mogła przynieść kłótnia wodzów tuż przed śmiertelną bitwą. Conan ugryzł się w język, uświadomiwszy sobie, że jeśli Seyganko będzie niepotrzebnie szarżował, też nie doczeka ranka.

— Dobrze. Idź i zapytaj Dobanpu, jak blisko mogą podejść.

— Dobanpu?

— Tak. Jest zmęczony, ale też ma się dobrze. Obawia się, że bogowie Góry Burz mogą wmieszać się dziś w nasze sprawy. Lepiej nie posyłać ludzi tam, gdzie Dobanpu nie będzie ich chronił.

Seyganko chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale Conan ponaglił go, by poszedł do szamana, który mógł mu też lepiej opisać podziemną bitwę. Potem Cymeryjczyk znalazł sobie niezbyt spróchniałą kłodę, usiadł na niej i zajął się czyszczeniem broni.

Niemożliwe, by taka cisza trwała długo. Jego drużyna rzuciła wyzwanie ludziom... i nie tylko ludziom. Nim noc się zestarzeje oba rodzaje wrogów nadciągną ze swoimi siłami. A Conan uważał, że nikomu nie zaszkodzi stanąć do walki z czystym mieczem.

XVII

Bębny, posłańcy, nawet jego własne oczy przekazywały Chabano sprzeczne wieści. Mimo to zbiegał właśnie z góry do jeziora na czele swoich wojowników.

Bębny i wzrok mówiły mu, że Ichiribu płynęli jeziorem do kwanyjskiego brzegu. Posłańcy twierdzili, że wrogi oddział przez jakieś czary wyskoczył z ziemi i trzyma przyczółek dla głównych sił.

Chabano miał nadzieję, że to nie żaden podstęp. Zyskałby wielu wrogów wśród krewnych wojowników, którzy zginęli, gdyby przelał kwanyjską krew obdarzając zaufaniem Wobeku. Na szczęście zabitych nie mogło być więcej niż garstka, nawet jeśli padli ofiarą nieumiejętności Wobeku.

Za plecami Chabano biegło ponad pięciuset najprzedniejszych wojowników. Każdy niósł tarczę i trzy włócznie, którymi tak świetnie się posługiwali. Kiedy dotrą do brzegu, nie będą nawet mieli co robić.

Zastanawiał się, dlaczego Ryku się nie odezwał. Na pewno wiedział o wszystkim, co się działo, włącznie z czarami, które rzucał nie tylko trzęsący się szaman Dobanpu!

Teraz czary się nie liczyły. Dobanpu miał władzę nad dmuchawką Wobeku, ale nic nie zrobi pięciu setkom Kwanyjczyków. Nim wydusi z siebie zaklęcie zdolne zabić choćby kozę, gardło, serce i brzuch będzie miał naszpikowane włóczniami!

Conan zaprowadził drużynę Ichiribu, która miała przygotować zasadzkę, na wiodącą od brzegu ścieżkę. Teraz kucał pod łukowato zakrzywionym korzeniem i starał się odnaleźć wzrokiem swoich ludzi. Im mniej ich zobaczy, tym lepiej; będzie to dowodziło, że dobrze posiadli sztukę maskowania się.

Dostrzegł jednego i cicho gwizdnął, potem wskazał mu ręką krzak, za którym lepiej byłoby się schować. Wojownik trzy razy uderzył głową w ziemię. Conan miał ochotę go skłąć, że ceregiele przedkłada nad posłuszeństwo, ale tamten po chwili przeczołgał się do nowej kryjówki.

Ledwo się ukrył, gdy do uszu Cymeryjczyka doszło tupanie wielu szybko idących ludzi. Conan wyjął sztylet, a wolną rękę oparł na kupce wydobytych ze strumienia kamieni. To będzie walka na bardzo

krótki dystans, zbyt krótki dla miecza; trzeba się zachowywać jak najciszej. Jeśli kilkudziesięciu Kwanyjczyków zginie, zanim się zorientują, że już się zaczęło, Chabano będzie miał kłopot z przywołaniem ocalałych ludzi do porządku. Seyganko w tym czasie wysadzi wszystkich swoich na ład. To wstrząśnie dyscypliną oddziału Chabano, choć wojownicy w zasadzce będą musieli zwijać się jak w ukropie. No, ale czyż nie wszystkie bitwy tak się kończyły, niezależnie od tego, jak się zaczynały?

Odgłos kroków Kwanyjczyków na przemian to narastał, to zaczynał słabnąć. Czasem całkiem cichł. Niewielu miało słuch jak Conan, który, nawet gdy cichło tupanie, słyszał szmer wielu oddechów i rozkazy wydawane szeptem.

— Wciąż idą — mruknął do stojącego obok. — Przekaż dalej: niech każdy uważa też na tyły.

Jeżeli Chabano coś podejrzewa, zatrzyma główne siły i wyśle przodem zwiadowców, którzy poruszają każdy krzak po obu stronach ścieżki. Kwanyjczyki straciliby w ten sposób mnóstwo czasu, ale oszczędziliby ludzi, a wojownicy Conana znaleźliby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Conan wyszeptał następny rozkaz:

— Kiedy już zaatakujecie, nie starajcie się zachować ciszy! Wrzeszczcie, krzyczcie, zdzierajcie gardła...

— Żeby myśleli, że dwudziestu to tysiąc? — domyślił się jego towarzysz. Conan skinął głową.

Znów usłyszeli maszerujących Kwanyjczyków. Szli bardzo wolno, powłócząc nogami. Conan wziął kamień i zważył go w dłoni, gotów do rzutu.

Pojawił się pierwszy Kwanyjczyk. Pozwolili mu przejść, podobnie jak kolejnym dziewięciu. Dziesiąty dostał kamieniem w twarz. Cofnął się, wypływając krew i wybite zęby, wprost na ukrytego Ichiribu. Ten wbił mu w plecy krótką włócznię.

— Jaaah — haaaa! — ryknął Conan wyskakując na ścieżkę. Pchnął ponad grotem wystawionej włóczni, prosto w piersi Kwanyjczyka, zanim ten podniósł tarczę. Chwycił kamień i rzucił daleko w górę ścieżki, gdzie tłoczyła się masa wojowników przygotowujących się do ataku.

Im szybciej nadchodzili następni, tym mniej mieli miejsca, żeby atakować. Conan po mistrzowsku wybrał miejsce, gdzie szlak był wąski, a porastająca boki roślinność nie do przebycia. Chabano też pomagał, pozwalając, by pośpiech dyktował mu ruchy.

Conan i pół tuzina towarzyszy wiązało czoło kwanyjskiej kolumny przez dłuższy czas. Jednak wreszcie przyszedł moment, kiedy Cymeryczyk rzucił ostatni kamień i usłyszawszy, jak uderza w tarczę, wyciągnął miecz. Mieczem i sztyletem, które tańczyły w jego rękach, jakby żyły własnym życiem, ciał pierwszy szereg Kwanyjczyków. W utworzoną przez niego wyrwę wpadli Ichiribu, kłując włóczniami, waląc maczugami. Tymczasem kamienie, trójzęby, gałęzie — co tylko wpadło wojownikom w ręce, nękało oba kwanyjskie skrzydła.

Conan miał teraz nadzieję, że Chabano wyjdzie na czoło, a szczepowy zwyczaj i charakter

Najwyższego Wodza popchną go do pojedynku z Conanem. Takie starcie mogło mieć tylko jeden wynik. Zasadzka zakończyłaby całą bitwę, a nawet wojnę, zwycięstwem Ichiribu.

Conan troszkę się cofnął, trzymając gardę i robiąc uniki, by stać się trudnym celem dla włóczni. Szukał Chabano. Wreszcie dostrzegł człowieka, który musiał być wodzem. W tej samej chwili ziemia zatrzęsa się pod nimi.

Ryku odbył rytuały przywołujące Żywy Wiatr z taką łatwością, jakby je wyssał z mlekiem matki. Biła z niego duma i odwaga. Nie bał się nawet śmierci za to, że odbywa je sam — taką osiągnął moc.

Jednak kolory Żywego Wiatru tylko na chwilę stały się normalne. Potem znów przeważyła ciemna purpura, a szafir jedynie blado majaczył. Dziwne odgłosy i zapach znikły, choć ich wspomnienie tkwiło w pamięci Ryku. Musiał je zagłuszyć, wyprzeć, tak jak odpiera się dzika nadzianego na włócznię. Inaczej zniszczą jego pewność siebie.

Czas na rytuał najtrudniejszy ze wszystkich. Kiedyś już wysyłano całą moc Żywego Wiatru poza Górę Burz; można spróbować to zrobić jeszcze raz. Jeśli się uda, Ichiribu znikną bez potrzeby rzucenia jednej kwanyjskiej włóczni.

Nie, powiedział do siebie Ryku, pomińmy słowo „jeśli”. Na pewno wezwie Żywy Wiatr i wyśle go tam, gdzie zechce.

Usiadł prosto. W jednej ręce trzymał laskę, w drugiej tykwę pełną mądrze zmieszanych ziół. Zawiesił tykwę na lasce, sięgnął do środka i wziął szczyptę. Reguła i zdrowy rozsądek nakazywały kapłanowi zaczynać od małej porcji. Ryku pochylił się, rozwarł kciuk i palec wskazujący i rozrzucił zioła. Zniknęły niemal natychmiast, niewidoczne na tle wirujących barw Żywego Wiatru. Nie było widać, kiedy dotarły do celu, ale Ryku poznał, bo cała grota zatrzęsa się jak tykwa rzucona o kamienną ścianę. Złapał laskę i sięgnął po tykwę, żeby ją odłożyć w bezpieczne miejsce.

Wirujący słup purpury i szafiru, świetlisty jak zawsze, wyskoczył naprzód, odłączając się od Żywego Wiatru. Zbliżył się do tykwy, dotknął jej i porwał z końca laski Ryku.

Kapłan krzyknął, wstał i podbiegł do brzegu półki. Zdumienie zmieszane ze strachem odbierało mu zmysły, osłabiało dyscyplinę myśli. Rzucił się, żeby chwycić tykwę w momencie, kiedy słup światła zaczął zanurzać się w przepaści. Dotknął jej nawet, ale słup podniósł się ponownie i zmienił w purpurowe i szafirowe płomienie, które owijały się wokół siebie i wokół jego dłoni. Jęknął jak konające zwierzę, gdy płomienie przeżarły mu dłoń na wylot.

Ból i paniczny strach spowodowały, że zapomniał, iż stoi na brzegu półki skalnej. Zachwiał się; tam, gdzie chciał postawić stopę, była już tylko przepaść. Wyciągnął rękę i poczuł, jak paznokcie łamią się o skałę. Zwalił się w dół.

Ból płonącej ręki nie miał znaczenia wobec męki Ryku, kiedy połykał go Żywy Wiatr. Ale ryk wiatru był zbyt głośny, by ktoś mógł usłyszeć jego jęki.

— Do mnie! Z powrotem, na brzeg! Teraz, kozie zadki!

Krzyk Conana przywołał harcówników Ichiribu. Kilku rzuciło się w krzaki, ale wróg zagroził im odwrót. Przynajmniej połowa ocalałych wojowników dołączyła do Cymeryjczyka.

Mimo że ziemia nadal się trzęsła, puścili się biegiem w dół szlaku. Drzewo wywróciło się w poprzek ścieżki tuż za nimi, na szczęście nie uderzyło nikogo. Po kilkuset krokach Conan zatrzymał się; kazał reszcie biec dalej, a sam przyjrzał się Kwanyjczykom. Obawiał się, że ogarnięci paniką rzucą się za nimi i stratują samą swą liczbą. Ale Chabano przejął komendę. Maszerowali szybkim krokiem zostawiwszy tylko starszych wojowników i chłopców, by pozbierali rannych i zabitych, a może także zabezpieczali odwrót.

Jedno było pewne; śmierć Chabano zabrałaby Kwanyjczykom serce, ale i głowę... co wyszłoby Ichibiru na dobre, gdyby tylko Conan miał choć cień pomysłu, jak tego dokonać. Osobiście go wyzwąć? Cymeryjczyka trafiłoby z tuzin włócznie, zanim Chabano by go usłyszał!

Dołączył do swojej drużyny jako tylna straż. Choć nie lubił się spieszyć, przyznawał, że czasem para mocnych nóg stawała się najlepszą bronią.

Biegący wojownicy zauważyli, że trzęsienie ziemi się skończyło, a od strony Góry Burz nadchodził dziwny żar.

Chabano wysłał kilku ludzi przodem, przez zwalone drzewo. Nie chciał ryzykować ciosu od jakiegoś zdesperowanego Ichiribu, który mógł czyhać za drzewem.

Nie poleciały żadne włócznie. Chabano podskoczył wysoko, jak w dzieciństwie. Gdy wylądował, jego kolano przeszył ostry ból, co mu przypomniało, że nie jest już dzieckiem. Nie zachwiał się jednak. Na jednym ramieniu trzymał włócznie, na drugim tarczę. Wysunął się przed czoło głównych sił, gdy nagle niebo zaczęło zmieniać kolor. Zrobiło się purpurowoszafirowe. Chabano przypomniał sobie, że to barwy Żywego Wiatru. Zatem Ryku przysłał mu jednak swoją moc. Ani chwili za wcześniej! Gdyby musieli walką torować sobie drogę do jeziora, a potem jeszcze zetrzeć się ze świeżymi siłami na plaży, żaden szczerp nie miałby po dzisiejszej bitwie dość ludzi, by zasiedlić choć jedną wioskę.

— Waaa — jeeh! — krzyknął. Kwanyjczycy podchwycili okrzyk i wykonali rozkaz. Stopy tłukły ubitą ziemię, wojownicy wrzeszczeli ze zwierzęcej rozkoszy, włócznie biły o tarcze.

Przez ten czas barwy cofnęły się do połowy nieba. Stały się czystsze i bardziej jaskrawe, tańczyły i wiły się jak węgorz w strumieniu. Potem skurczyły się jeszcze bardziej, aż stały się świecąca oślepiającym blaskiem kulą.

Chabano podniósł włócznie i tarczę, by Żywy Wiatr dojrzał jego znaki i rangę i wiedział, kogo ma słuchać. Ryku sprawił się wspaniale. Przekazywał moc Żywego Wiatru bezpośrednio Chabano!

Biedny głupiec, nie wyobraża sobie, jak nikła jest nadzieja, że ją kiedykolwiek odzyska.

Chabano nie posiadał się z radości. Podrzucił na wiwat włócznie, gdy nagle zobaczył, że ognista kula purpury i szafiru leci ku niemu. Światło i włócznia spotkały się — tam, gdzie była włócznia, pozostał tylko popiół i krople stopionego żelaza, które spadły na Chabano jak deszcz. Wrzasnął zaskoczony bólem, kiedy kropla metalu przepaliła mu skórę na ramieniu i wgryzła się w ciało.

Otoczający go wojownicy krzyczeli jeszcze głośniej; czuł, że wielu miałoby ochotę rzucić się do ucieczki. Odwrócił się, wyciągnął lekką dzidę i zagroził, że przebije nią pierwszego, który wyłamie się z szyku. Jednak zamiast jednego ujrzał dziesiątki uciekających wojowników i była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył. Zanim zdołał rzucić włócznie, ogarnął go Żywy Wiatr.

Chabago jęczał tak samo jak Ryku, gdy Żywy Wiatr go pożerał, lecz nikt tych jęków nie słyszał. Niektórzy po prostu dlatego, że sami umierali, ale większość nie słyszała nic poza krwią szumiącą w uszach, gdy uciekali.

Prawie wszyscy ludzie Conana dobiegli już do brzegu, kiedy na wzgórzu pojawił się ogień. Cymeryjczyk był jeszcze na szlaku z jednym wojownikiem. Wysłał go naprzód, a sam dobrze się ukrył, by zobaczyć, co się dalej stanie.

Ziemia znów się zatrzęsała, gwałtowniej niż poprzednio. Conan usłyszał trzaski padających drzew i jęki przygniatanych Kwanyjczyków. Słyszał też krzyki innych wojowników, ale nie były to okrzyki wojenne.

Nie lubił mieć do czynienia z potężnymi czarami; jeszcze mniej podobała mu się sytuacja, kiedy nie wiedział, jakiego przeciwnika ma przed sobą. Podniósł się z mieczem w dłoni... i już wiedział, że nie będzie musiał iść dalej, żeby dowiedzieć się, co się działo w górze.

Jakaś istota z purpurowego i szafirowego światła, w kształcie człowieka, ale wysoka jak świątynia, kroczyła szlakiem. Tam, gdzie trafiły jej stopy, unosił się dym... ten sam smrodliwy purpurowy dym, który Conan pamiętał z podziemi.

Te same moce, które władały pod ziemią, wyzwoliły się z Góry Burz. Dlaczego? Conan nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Miał tylko nadzieję, że Kwanyjczycy, choć byli wrogami, uszli z życiem. Śmierci w takiej formie nie życzyłby nawet Stygijczykowi!

Rzucił się lasem do jeziora, wiedząc, że ta istota, jeśli zechce, może go dogonić. Miał tylko nadzieję, że wybierze łatwiejszą drogę szlakiem. Może widmo nie będzie chciało przedzierać się przez drzewa grubsze od jego nóg.

Gdyby Conan zamierzał ratować tylko swoje życie, pewnie oglądałby się co chwila nie bacząc, że przez to zwalnia. Ale że musiał ratować Valerię i wszystkich Ichiribu, pruł przez krzaki jak po płaskim terenie w biały dzień.

Magiczne światło bijące od potwora trochę rozjaśniało drogę, ale i tak wszędzie kładły się cienie, w których czyhały drzewa i krzaki. Dwa razy omal nie stracił przytomności; na korze i sterczących gałęziach zostawiał strzępy skóry i całe fragmenty ubrania, jednak mocno trzymał broń, kiedy potykając się wpadł na brzeg.

Znalazł się trochę bardziej na północ niż Ichiribu. Światła pochodni zdradzały, że stoją w szyku, przygotowani na spotkanie Kwanyjczyków.

Conan zaklął najgłośniej jak umiał, włócznie uderzyły o siebie, a głowy obróciły się w jego kierunku.

— Do łodzi! — krzyknął. — Dzidami nie możemy walczyć z tym, co na nas idzie. Musimy wejść do wody i mieć nadzieję, że to nie umie pływać.

Szczupła postać o przyciemnionych dymem jasnych włosach wybiegła z okręgu.

— Conanie! Myśleliśmy, że to cię dostało!

Cymeryjczyk i jego kobieta mieli tylko chwilę na uściski. Gdy się rozdzielili, każde wzięło pod komendę jedną drużynę Ichiribu. Oddalili się, aby bronić tyłów wycofujących się wojowników.

Seyganko akurat posyłał wojowników po czołna, kiedy podszedł do niego Dobanpu. Emwaya z całej siły ścisnęła jego rękę; widać było, że nie podoba jej się pomysł ojca. Kiedy szaman zobaczył Conana, uklonił się i powiedział:

— Conanie! Każ swojej kobiecie pilnować mojej córki, aż wypełnię swoje zadanie.

— Zadanie? — Conan nic nie rozumiał.

— Nie mogę nakazać duchom, by odwiodły od nas Żywy Wiatr, a tym bardziej, żeby go zniszczyły. Kiedyś miałem taką moc; mógłbym ją mieć nawet teraz, gdybym nie wyczerpał się walcząc w podziemiach. Ale mogę wywołać bitwę duchów, tak by pracowały za mnie, jak słonie tratujące wieś wroga.

— Musimy... — krzyknęła Emwaya.

— Musisz teraz zachować ciszę, a potem zostać dobrym szamanem Ichiribu — rzekł Dobanpu. — A także dobrą żoną dla Seyganko. Zasluguje na to.

Potem Dobanpu zdjął pióropusz i resztę ubrania. Mając na sobie tylko przepaskę, amulet i sakwę, z królewską godnością zszedł do podnóża szlaku.

Dotarł tam na kilka uderzeń serca przed świetlistym potworem. Przez chwilę zdawali się patrzeć sobie w oczy, a potem Dobanpu podskoczył, lekko jak chłopiec bidui.

Wzniósł się wyżej niż ktokolwiek mógłby to zrobić o własnych siłach. Całą swoją moc włożył w cios, jaki zadał w pierś upióra. Conan spodziewał się, że Dobanpu odbije się od widma, spadnie na ziemię jak rozdarta lalka i zostanie zmiażdżony; jednak przykleił się do niego jak mucha do lepu.

Wtem szamana ogarnął dym... i już go nie było. Przez chwilę Conanowi wydawało się, że na wpół oślepiionymi blaskiem oczami zobaczył ludzki kształt we wnętrzu potwora. Potem on też zniknął.

Po chwili zniknął też potwór. Rozległ się przy tym grzmot, który pewnie słyhać było aż w Bossonii. Zerwał się wiatr, który łamał dorosłe drzewa, wywracał czółna i przewracał ludzi na piach i kamienie.

Conan i Valeria wczepili się palcami w plażę, jakby trzymali się rei w czasie sztormu. Zamknęli oczy przed krążącym w powietrzu piachem i kamieniami, mogli więc ocenić, co się dzieje dookoła, tylko po odgłosach, z których najgłośniejszym był wiatr.

W końcu ustał, i wtedy dały się słyszeć krzyki i jęki. Conan podniósł się na czworaki i zobaczył, że wojownicy pospiesznie odsuwają się od miejsca, które pokryła roztopiona skała. Wypływała ze szczeliny utworzonej w miejscu, gdzie, jak oceniał Conan, stał potwór, kiedy został zniszczony.

Kiedy lawa doszła do jeziora, wystrzeliły w powietrze kłęby pary. Jeszcze więcej pary unosiło się zza drzew, zapewne ze szczeliny, którą Conan i jego drużyna wydostali się z podziemi. Wtem Valeria ścisnęła rękę Conana i wskazała na jezioro.

Było mocno wzburzone. Ogromne wiry pojawiały się i znikwały, woda pryskała na wszystkie strony, śnięte ryby pływały po powierzchni, zanim wiry wciągnęły je w głąb. Kilka czółen otoczyła lawa i zaczęły płonąć; inne porwała spieniona woda.

Conan założyłby się, że podziemne korytarze utraciły już magiczną moc i teraz przegrywały bitwę z masami napierającej z góry ziemi. To położy kres płomieniom i wszelkim żywym stworzeniom, które tam przetrwały. A co z tymi stworami, które żyły w wodach podziemi? Również zginą, tak jak czary, czy przeniosą się do Jeziora Śmierci?

Conan wrzasnął na jakiegoś głupca, który chciał skoczyć do wody, by ratować porwane czółno. Zobaczył Seyganko, który kroczył brzegiem i upominał ludzi, by nie zbliżali się do wody.

Conan oczyścił Valerię z piasku i pozwolił, by zrobiła to samo z nim.

— Krwawisz — . powiedziała. — Powinniśmy byli zabrać jakieś maści.

— Nie przeszkadza mi to. Lepiej nie podchodzić do wody, póki Emwaya nie wytłumaczy, co się stało.

— Jeśli wie.

— Widziałaś jej minę. Ojciec na pewno powiedział jej, co zamierza zrobić z... z Żywym Wiatrem.

Valerię wstrząsnął dreszcz. Nagle chwyciła miecz i wskazała nim na wynurzającego się z krzaków wojownika w kwanyjskim pióropuszu i z tatuażami Ichiribu.

— Wobeku! — Conan i Valeria krzyknęli jednocześnie.

Zdrajca trzymał ręce tak, że były widoczne.

— Wielcy wodzowie, zrobicie ze mną co chcecie, ale proszę, najpierw mnie wysłuchajcie. Pragnę zawierzyć ludzi, którzy są pod moją komendą, łasce Ichiribu i ich wodzów. Mogę też wskazać tych z młodszych wodzów Kwanyi, którzy skłonni są do rozmowy o pokoju między naszymi szczepami.

Conan i Valeria spojrzeli po sobie. Wiedzieli że różne kwanyjskie klany rywalizują między sobą. Ichiribu mogliby wykorzystać te niesnaski i zażądać pokoju na swoich warunkach.

— Czy to ty zamordowałeś bidui? — spytała Valeria.

— Nie, nie ja. Aondo.

Conan usłyszał w jego głosie nutę prawdy.

— To jest sprawa dla Seyganko i Emwayi — powiedział. — Połóż się na tarczy, żeby nikt nie przebił cię włócznią, dopóki nie wrócimy. Nie pozwól swoim ludziom pokazywać się. I módl się, żeby to, co mówisz, okazało się prawdą!

Wobeku złożył potężną przysięgę i przybrał uległą postawę. Zrobił to nawet z pewną godnością i Conan pomyślał, że tkwią w nim jeszcze resztki honoru.

— Spieszmy do Seyganko, zanim ktoś zakłuje naszego emisariusza — mruczał pod nosem. — A już myślałem, że to koniec!

— Nie będziemy mogli wyruszyć, póki jezioro się nie uspokoi — przypomniała mu Valeria. — Nie będę siedziała z założonymi rękami, gdy inni pracują. Ale potem... — Objęła go w pasie. — Pójdziemy w dół rzeki, do Wybrzeża Kupców. Ciągle mam te ogniste kamienie... jeżeli żaden Złoty Wąż nie przywlecze się za nimi, kupimy za nie okręt.

— Ty sobie kupisz okręt — sprostował Conan. Jej dotyk rozgrzewał mu krew, tak jak zawsze, ale zbyt dobrze poznał inne strony jej natury. — Nas dwoje na jednym statku... to by podzieliło załogę! Zresztą ja wolę zostać na lądzie, aż Barachanie zapomną imię Conana z Cymerii.

— Oni może zapomną — powiedziała Valeria uśmiechając się promiennie. — Ja nie.